

KATARZYNA
ZYSKOWSKA - IGNACIAK

Upalne lato Marianny

Dziękuję Ci za nasz ostatni spacer...
I Tobie Mamo, że tak wiele ocaliłaś od zapomnienia.

Taki to już los mój będzie,
Takie to już miłowanie:
Przywitanie, pożegnanie,
Pożegnanie, wspomnianie...
Oczy twoje widzę wszędzie,
Oczy twoje mnie całują
Z dali, z dali mnie miłują,
Z dali, z dali mnie żałują,
Nie przychodzą na wyzwanie,
Jeno błyszczą, jak w legendzie,
W dali, w dali, zewsząd, wszędzie, -
Taki to już los mój będzie, takie to już miłowanie:
Przywitanie... pożegnanie...

Julian Tuwim
(7 X 1915)

Rozdział I

Marianna

Lipiec dopiero się zaczyna, ale jest już niezwykle parno i gorąco, a okoliczne pola złocą się od młodych kłosów, które spuszczają pokornie główki przed zarem lejącym się z nieba. W takie dni tylko cień może dać ukojenie. Choć przed rozpalonym słońcem nie da się uciec. A uczucia zrodzone w takie lato nie dadzą się już zapomnieć. Nigdy.

Gdzieś z oddali rozedrgane powietrze przynosi ze sobą dźwięki wsi, którym wtóruje jednostajne, drażniące brzęczenie tysięcy owadów. Ukrywają się wśród falujących, młodziutkich łąnów, w kielichach kwiatów, w wysokich trawach. I głośno akcentując swoje istnienie, nieprzerwanie wygrywają uwerturę wakacji.

Przebudzona po długich miesiącach uśpienia przyroda znów pulsuje niepohamowaną chęcią życia. I silnie kontrastuje ze starą, choć zadbaną fasadą okazałego domu, z którego przez szeroko pootwierane okna wydostają się na zewnątrz odgłosy przygotowywanego właśnie obiadu. Monotonna muzyka natury łączy się z pojedynczymi dźwiękami fortepianu, wydobytymi z instrumentu czyjąś niewprawną ręką.

Pod rozłożystymi konarami starego orzecha, którego opiekuńcze ramiona poruszane podmuchami głaszczą szary dach dworu, na kraciastym kocu leży młoda dziewczyna. Fałdy jej letniej, zwiewnej sukienki, usłanej drobnymi kwiatkami, co chwilę unosi ciepły powiew. Oczy ma zamknięte, ale nie śpi. Po jej ładnych, pełnych ustach błąka się uśmiech. Drobną figurą sprawia, że wygląda na najwyżej szesnaście lat - mniej niż ma w istocie. W falujących, jasnych włosach, ściętych krótko, zgodnie z modą, igrają promienie. Tworzą roziskrzoną aureolę wokół ładnej, młodej twarzy. Gdzieś w zasięgu szczupłej dłoni leży porzucona książka.

Widocznie nie doczekała się, by choć zaczęto lekturę, bo tylko wiatr, co jakiś czas, trzepocze nią, szeleszcząc przy tym kartkami.

Marianna nie ma czasu na czytanie. Zbyt wiele przyjemnych myśli krąży po jej młodziutkiej głowie. Tyle się ostatnio dzieje. Więc gdy leniwie przeciąga się na kocu, jej świadomość wędruje w nieodległą przeszłość. Do świeżych jeszcze wspomnień. Zanim świat przesycał się żarem. Do tegorocznej wiosny, wypełnionej zmudną pracą. Godzin spędzonych z nosem w książkach. Do dręczącego ją strachu i kwitnących kasztanów. Gdy cały park wokół budynku liceum uścieliły białe, rachityczne konwalie. To dziwne, ale ich zapach zawsze kojarzy się Mariannie nie z początkiem, a z końcem życia. Inaczej niż wszystkim. Ale też te wiosenne kwiaty to zarazem zapach perfum jej babki, Leokadii. Z ich duszącą i mdłą nutą głowy. Nutą serca. Nutą starości...

Przed oczami Marianny kwitnie maj. Z cieplejszym wiatrem, kielkującymi na drzewach listkami i z egzaminem dojrzałości, zdawanym przez niedojrzałych. Dającym patent na dorosłość - urzędowo opieczętowanym, papierowym potwierdzeniem przynależności do świata praw, przywilejów. Obowiązków? Czy jedno nie może się obyć bez drugiego? Marianna z niecierpliwością czeka, by dowiedzieć się, jak to jest być naprawdę dorosłym.

Maturę uzyskuje ze wspaniałymi ocenami. Takie wyniki to przepustka do przyszłości, jaką sobie wymarzyła. To gwarant radości ojca, szacunku Gabrieli, satysfakcji stryja. I możliwość wyrwania się spod ich opiekuńczych skrzydeł. Spod czujnych spojrzeń. Na studia.

Trzeba jeszcze tylko przewyciężyć niepokój oczekiwania na rezultat konkursu świadectw. Bo może byli lepsi?

Nie było.

Tydzień temu nareszcie przyszedł ten dzień, kładąc kres nieprzespanych nocy, kres niepewności. Obawy umierają za starą bramą, wśród białych, przybrudzonych przez czas budynków uniwersytetu. Nowego uniwersytetu w młodej, kulejącej demokracji. Na jednej ze ścian przy głównym dziedzińcu wisi tablica informacyjna - wyrocznia decydująca o losie - która widzi tyle samo nieokiełznanych wybuchów radości, co powstrzymywanych z trudem łez zawodu. W piersi Marianny młode serce wali niczym dzwon. Staje... Zamiera.

Jest!

Na liście studentów odnajduje swoje, perfekcyjnie wykaligrafowane nazwisko. Widnieje wśród innych, przyjętych na pierwszy rok prawa, studentów.

Nikt się po niej nie spodziewał, że dopnie swego. Nikt nie wymagał dalszej edukacji. Przecież, tak, jak jej matka i babka, może poprzestać na byciu li tylko czyjąś żoną. A później matką. Raczej tego właśnie oczekiwano. Ale Marianna nie chce takiego życia. Nie będzie powielać utartego przez pokolenia schematu. Nie zostanie w domu, by grzecznie czekać, aż jakiś miły, nudny i zamożny syn jednego z sąsiadów poprosi ją o rękę. Choć takie życie zazwyczaj przypada panienkom z dobrego, ziemiańskiego domu. Z rodziny z tradycjami. W której kobieta nie musi spędzać życia nad książkami, nie musi pracować.

Ale niespokojna natura Marianny nie godzi się na wybranie takiego, bądź co bądź, społecznie akceptowanego i łatwego do przewidzenia scenariusza. I dlatego dziewczyna tak bardzo chce studiować. Prawo. W sumie wszystko jedno co. Prawo czy lewo. Byle osiągnąć cel! Byle wyjechać z domu. Byle uciec od obowiązujących tam konwenansów. Życ wbrew nim, ale zgodnie ze sobą.

Być może Marianna rzeczywiście nie pała wielką miłością do „prawa” i zapewne ojciec łatwiej by zrozumiał, gdyby jej

wybór padł na jakiś bardziej odpowiedni, jego zdaniem, dla kobiety dział nauki - ot, choćby historię sztuki - ale on nie ma w zwyczaju ingerować w decyzje rozpieszczonej, ukochanej córki. Dlatego i tym razem kochający papa, z wrodzonym sobie spokojem, akceptuje kolejny jej kaprys. A teraz już nie ma nadziei na to, że ambitne plany się nie powiodą. Jej nazwisko widnieje na liście!

Dziewczyna przez chwilę stoi oniemiała pod tablicą informacyjną. Potrącana i szturchana łokciami przez zebranych w zbity tłum innych, podobnych do niej, młodych ludzi. I z radosnego oszołomienia wrywa ją dopiero głos przyjaciółki, który dobiega gdzieś spośród morza rozgorączkowanych głów.

- Marianna. Marianna! Dostałaś się?

Wywołana w ten sposób dziewczyna nie musi nawet odpowiadać. Wyraz triumfu na jej twarzy mówi przyjaciółce więcej, niż mogą wyrazić słowa.

Teraz ich przyjaźń będzie mogła trwać dalej, niezmacona. Co prawda Krystyna wybrała wydział medycyny, ale przecież obie są studentkami na tym samym uniwersytecie. Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Na tej młodej, świeżo odrodzonej uczelni, w równie młodym kraju. Kraju, który ma zaledwie dwadzieścia jeden lat i dopiero uczy się życia. Na nowo. Popołnia błędy młodości, przeżywa pierwsze wzloty i upadki. Pulsuje pragnieniami i nadziejami. Stanowi niemal żywy, rozbuchany organizm, który wciąż chce więcej. I więcej...

Teraz Marianna będzie częścią tego pędu, tych przemian. Piłsudskiego już nie ma - odszedł głos narodu, przewodnik zbłąkanych owieczek. Ale jest ona. Dorastająca. Pełna nadziei. Nie potrzebuje drogowskazów - i tak pójdzie swoją drogą. Świat już na nią czeka - a ona czeka, by go odkryć. Pragnie wbić mocne zęby we wszystkie smaki młodości - aż sok

poznania spłynie jej po brodzie. Bez kurateli rodziców. Z wierną przyjaciółką u boku.

Znają się od dziecka, bo majątek Aleksandra Boruckiego, ojca Marianny, leży pod Kamieńczykiem, gdzie praktykę lekarską prowadzi doktor Wieruszewski, ojciec Krystyny. Życie dziewczynek się splata. Razem dorastają. Wspólnie kończą te same szkoły, dzielą troski, radości i przez lata rodzi się między nimi siostrzana przyjaźń. I choć są jak woda i ogień, marzenia mają podobne. Acz kierują nimi zupełnie różne pobudki.

Pociąg do domu, skąd ze stacji ma je zabrać ojciec Marianny, będzie dopiero za dwie godziny, mogą więc zatopić się w tłumie przechodniów, przespacerować po skąpanym w słońcu, pełnym gwaru Nowym Świecie i uczcić sukces ciastkiem u Bliklego.

Głośnie życie dużego miasta - które tak bardzo różni się od t jej sielskiego, wiejskiego - fascynuje Mariannę. Wprawia w zachwyty. Teraz będzie częścią tej kolorowej fali. Z dala od wpajanych form, stałych pór posiłków, konnych przejażdżek, od całej tej mazowiecko - ziemiańskiej tradycji, która szczerze ją nuży...

Jest ciepło, ale upały dopiero się zbliżają. Stare kamienice kładą długie cienie - w ich chłodzie można się schronić przed słońcem. Marianna jest tak zatopiona w snuciu przed przyjaciółką planów na przyszłość, że zupełnie nie zauważa, kiedy niedbale narzucony na ramiona sweter - który mimo protestów i ładnej pogody nadopiekuńcza Gabriela nakazuje jej ze sobą zabrać - zsuwa się powoli i upada na chodnik. Marianna nie przepada za tym jasnozielonym sweterkiem, którego mankiety zdobi drobny haft w czerwone kwiaty, bo uważa, że jest dla niej, młodej, ale już jednak kobiety, zbyt dziecinny. I ta miniaturowa łąka zostałaby zmieciona najpewniej z warszawskiego bruku przez buty spieszących się

w różne strony przechodniów, gdyby nie czujne oko młodego mężczyzny, który idzie w dość dużej odległości za roześmianymi dziewczynami od samej bramy uniwersytetu.

Przekraczają próg kawiarni - ona wciąż zatopiona w rozmowie z Krystyną - i wtedy, nagle, czuje czyjś dotyk na ramieniu. Muśnięcie obcej dłoni. Odwraca się energicznie w stronę intruza, który stoi tuż za nią, blisko. Tak blisko, że niemal wyczuwa bijące od niego ciepło.

Lekko zdyszany młody mężczyzna w śniadej dłoni trzyma ów znieawidzony element garderoby.

- To pani? - rzuca szorstko, bez śladu uśmiechu na twarzy. - To znaczy - waha się - to, zdaje się, jest pani sweter?

Jest bardzo szczupły i wysoki. Ale nie chudy. Ma wysportowaną sylwetkę, ciepłą oliwkową karnację i kruczoczarne włosy, które wydają się tym ciemniejsze, że kontrastują z niemal przezroczystym błękitem zmrużonych oczu. Mężczyzna z nieukrywanym, choć chłodnym zainteresowaniem taksuje twarz Marianny. Jest w tym spojrzeniu coś bezczelnego. Dziewczyna czuje, jak uderza ją fala gorąca. A może to wina upału? Przez moment nie potrafi wydobyć z siebie głosu i ma wrażenie, jakby ta sekunda trwała wieczność.

- Tak - odpowiada w końcu powoli i odbiera z lekkim zażenowaniem zieloną zgubę. - Dziękuję.

Po tej skąpej odpowiedzi mężczyzna przez chwilę pozostaje na miejscu, ale już nie ma nic więcej do powiedzenia. Przez sekundę wygląda, jakby chciał coś dodać. Jakby powinno między nimi paść jeszcze jakieś zdanie. Ale obojgu słowa grzęzną w gardle, więc nieznajomy w milczeniu kłania się obu kobietom, a później, równie szybko, jak się pojawił, na powrót wtapia się w tłum sunący Nowym Światem. Krótką chwilę ciszy wypełniają odgłosy ulicy.

Marianna pozostaje w miejscu - odprowadza go wzrokiem. Trwa w pół słowa, w pół kroku - do zapachu kawy i słodczy ciastek. Ktoś próbuje ją wyminąć w drzwiach kawiarni, ktoś lekko potrąca. A ona stoi oczarowana urodą młodego mężczyzny. Tarasuje wejście.

- Wchodzą panie? - słycać czyjś zniecierpliwiony głos.

W odpowiedzi Krystyna ciągnie przyjaciółkę do środka. Zajmują miejsce przy oknie. Z widokiem na nowe życie, na Nowy Świat. Ich nowy świat.

Znajomy głos wyrywa Mariannę z zamyślenia:

- No no, Marie... - mówi Krystyna, naśladowując francuski akcent licealnego, niedarzonego specjalną sympatią profesora.

- Zaczynam żałować, że nie wybrałam prawa.

- Nie rozumiem. - Marianna sadowi się na niewygodnym, giętym krześle i przenosi nieobecne spojrzenie na uśmiechniętą twarz współtowarzyszki.

- Chyba żartujesz? - Tamta uśmiecha się rozbawiona. - Nie zauważyłaś, w co był ubrany?

- W garnitur? - odpowiada niezbyt roztropnie, bo przecież, jakie to ma znaczenie, w co ubrany był nieznajomy. Wciąż widzi jedynie świdrujące, bladoniebieskie spojrzenie. Wciąż czuje na sobie jego oddech.

- Oj głuptasie, o czapkę mi chodzi. Z emblematem twojego wydziału...

Marianna milczy, nadal nie mogąc się pozbyć obrazu jasnych oczu mężczyzny. Tak doskonale przystojnego i tak różnego od chłopców, którzy dotąd zaprzęтали jej młodą głowę. Przez moment czuje coś, o czym przecież jej, dobrze wychowanej pannie, nie wolno nawet pomyśleć... Ma wrażenie, że w jej skroniach szybciej pulsuje krew i czuje, że oblewa się rumieńcem. Drżące z niespodziewanego zdenerwowania dłonie, w których trzyma odzyskany sweter,

chowa pod szydełkowy obrus przykrywający okrągły blat stolika.

- Piękny niczym Brodniewicz, nie sądzisz? - Marianna słyszy słowa przyjaciółki, które z trudem przedzierają się przez jego obraz. Obraz powoli rozmywa się, blednie. Znika.

- Marie!

- Może... - cedzi.

- Chyba nie stracisz głowy dla jakiegoś nieznajomego poznanego na ulicy. Przecież nawet nie wiesz, kto to. - Krysia przygląda się bacznie przyjaciółce, po czym szeroko się uśmiecha. - Rzeczywiście, nasz pobyt w Warszawie ciekawie się zapowiada.

Marianna ani słowem nie napomyka podczas reszty popołudnia o tamtym spotkaniu, ale jego wspomnienie jeszcze długo zaprzęta jej głowę. Nie rozumie, co się z nią dzieje. I dlaczego nie może się skupić na rozmowie z przyjaciółką. Nawet emocje związane z przyjęciem na studia wydają się blednąć, gdy przed oczami staje dziewczynie obraz tamtego człowieka. I jak nazwać to uczucie, to wewnętrzne drżenie, którego nie umie pohamować? Przecież nie można się zakochać, ot tak. W kimś, kogo widziało się tylko chwilę, kogo zupełnie się nie zna. O kim wie się tylko tyle, że ma piękne oczy? Choć przecież oczy są zwierciadłem duszy - tłumaczy sobie, w młodzieńczej naiwności. Czy można w jednej chwili zakochać się w czyjejs duszy?

I co może o tym wiedzieć taka niedojrzała kobieta? Po egzaminie dojrzałości z łaciny i francuskiego, ale nie z miłości.

Marianna żyje według sztywnych reguł, jakimi od zawsze rządzi się świat. Prawa ma mężczyzna. Kobieta ma wobec mężczyzny obowiązki. Ale ona tak nie chce, nie zamierza tak żyć.

Ucieknie z tradycyjnie prowadzonego domu. Ucieknie przed regułami. Zawsze robiła to, na co miała ochotę. Już w szkole w kontaktach z rówieśnikami. Nie oblewał jej rumieniec, gdy zostawała z którymś ze szkolnych kolegów tête - à - tête. Miała wobec nich sporo śmiałości. I świadomość swojej kielkującej dopiero kobiecości, która jednak - wie o tym dobrze - dość mocno oddziałuje na płęć przeciwną. Ale ci młodzi mężczyźni - jeszcze chłopcy o mentalności dzieci - w których towarzystwie dotąd się obracała, adorują ją tak nieporadnie. Mariannę szczerze bawią te niezdarne zaloty. Bawią i mało obchodzą. Śmieszają ją ukradkowe, spłoszone spojrzenia, niedokończone zdania. Romantyczne westchnienia nie wywołują szybszego bicia serca, panięskich rumieńców. Nie powodują drżenia kolan i nie nasuwają myśli o tych niejednoznacznych, przemilczanych sprawach, które ostatnio coraz bardziej zaprzatają jej głowę. Owszem, czasami daje się zaprosić któremuś ze szkolnych kolegów na krótki spacer lub karnawałowy bal organizowany przez dyrekcję licem. Czasami obdarza nawet takiego wniebowziętego szczęśliwca zdawkowym, przelotnym pocałunkiem. Ale zakochać się? Romantyczne porywy serca, równie platoniczne, jak głupie, są raczej domeną Krysi, która od lat podkochuje się w jednym i tym samym mężczyźnie. Oczywiście w tajemnicy i ze szlachetną niepewnością na jakąkolwiek wzajemność.

A tymczasem Marianna już czuje, że prawdziwa miłość to nie słodkie pocałunki, o smaku podarowanej w oparach zakłopotania bombonierki w kształcie serca, która ma oznaczać: „kocham”, a mówi: „ckliwy bałwan”. To krew i łzy. Żar, a potem rozpacz. Przyciąganie i odrzucenie. I coś jeszcze, coś, o czym nie mówi się głośno. O czym nie wypada myśleć. Coś mrocznego, niezwykłego, szalonego. Namiętność...

Ale te prawdy zna na razie tylko z książek. Nie skończyła jeszcze osiemnastu lat. Jest kobietą, która ma już piersi, ale nie

ma jeszcze prawa, by myśleć, po co je ma. Ukryte gdzieś tam, pod kremową, jedwabną bluzką.

Na studiach - dorosła. W domu - dziecko. Biologicznie - zdolna do rodzenia. Kulturowo - niezdolna do suwerennych decyzji. Obyczajowo? Być może skostniały świat nigdy nie pozwoli Mariannie, by je podejmowała...?

Chociaż przecież w czytanych potajemnie „Wiadomościach Literackich” obiecują zmianę. Obyczajową rewolucję... Marianna chce być częścią tej rewolucji. Wojownicza Marianna - rewolucjonistka. Nosi przecież imię, które zobowiązuje.

Teraz nie myśli jednak o nowych ideach i przewrotach. Jest skupiona tylko na nim. Na tajemniczym nieznanym. Gdyby tak mogła znowu go spotkać. Jeszcze raz spojrzeć w oczy, poczuć dotyk na ramieniu... Choć to przecież niemożliwe. Warszawa wydaje jej się taka ogromna. Jak odnaleźć tego jednego pośród biegu tłumów? Ale gdyby...? Może Krystyna się nie myli i ich drogi skrzyżują się na jednym wydziale, gdy rozpocznie się rok akademicki.

Zjada kawałek ciasta czekoladowego i popija go kawą. Nie taką, jak podaje się w jej domu dzieciom - pachnącą palonym zbożem, polami, spokojem. Tutaj sączy gęstą, czarną arabicę. Pierwszy raz. I choć usta wypełnia jej głęboki, gorzko - kwaśny smak, nie krzywi się. Może właśnie tak - intensywnie - smakuje dorosłość? Kawa pachnie jak coś zakazanego, niezwykłego. Kofeina pobudza zmysły...

Wełniany koc ma krótkie, ostre włoski. Drażnią rozgrzaną skórę, pobudzając krążenie. Marianna wygrzewa się w słońcu padającym na jej twarz przez usłane liśćmi konary masywnego orzecha. Bezpłodnego. Zbyt starego, by wydał jeszcze owoce, ale za to niezwykle rozłożystego, pięknego. Znowu, na wspomnienie tamtego dnia, przeciąga się niczym kot, a kąciki ust unoszą się bezwiednie w rozmarzonym

uśmiechu. Gdyby teraz nad dziewczyną stanęła Gabriela, zapewne pomyślałaby, że jej podopieczna rozmyśla o odniesionych ostatnio sukcesach. W jak dużym byłaby błędzie... Niepoprawna Marianna marzy. Ale wcale nie o zgłębieniu arkanów prawa. Na pewno nie o paragrafach, kodeksach, precedensach.

Gdzieś w głębi domu trzaskają drzwi, porwane nagłym przeciągiem, a chwilę później do uszu dziewczyny dobiegają ciężkie kroki idącego korytarzem mężczyzny, Ten na moment zatrzymuje się, żeby z kimś porozmawiać - słysząc przytłumione głosy - po czym kieruje się w stronę otwartych na ogród, przeszklonych drzwi werandy mieszczącej się na tyłach domu. Marianna podciąga się na łokciach, patrzy w tamtym kierunku i leniwym ruchem poprawia podwiniętą przez bezwstydną podmuchy sukienkę. Nie wie, czemu - może by zachować pozory, że jednak nie leniuchowała przez ostatnie godziny - szybko podnosi leżące obok Niebezpieczne związki Choderlosa de Laclosa. W przekładzie „Boya”. Ciekawe, czy ów niepokorny tłumacz by się uśmiechnął, wiedząc, że tę skandalizującą powieść czytuje się na katolickiej, mazowieckiej wsi?

Kroki słysząc coraz bliżej.

Mężczyzna nadchodzi.

- Nie za wcześnie na takie lektury, Marie? - pyta, stając nad córką.

Aleksander Borucki to mężczyzna nadal dość młody, który bezspornie wciąż może podobać się kobietom. Jest średniego wzrostu i dość mocnej budowy. Cały urok ujmują mu jednak lekko przygarbione plecy i nieschodzący z twarzy uśmiech smutnej rezygnacji, które wraz z przedwcześnie posiwiałymi włosami dodają mu zapewne z górą dziesięć lat. Od śmierci ukochanej żony radość gości na jego ustach tak rzadko... Praktycznie tylko wtedy, gdy widzi swoje dzieci. I

tak też dzieje się teraz. Patrzy z czułością na piękną, rozkwitającą córkę. Rozpromienia się, a w jego oczach błyszczą iskierki rozbawienia.

- Młode damy nie powinny czytywać lubieżnych romansów.

- Ależ, tatku - mówi Marianna z teatralnym oburzeniem, przesuając się na bok, by zrobić ojcu miejsce na kocu. - Nie jestem już dzieckiem, a poza tym - śmieje się perliście - po prostu chciałam poznać lepiej gatunek powieści epistolarnej. Profesor Matuszewski nie zdążył tego z nami przerobić.

- Terefero, moja panno. - Uśmiecha się na to niewinne kłamstwo, siadając obok równie niewinnej córki, i gładzi z czułością, nieśpiesznie, jej mieniące się w słońcu włosy.

Po chwili dodaje, przyglądając się jej z zadumą:

- A swoją drogą, widzisz, nadal nie mogę się przyzwyczaić, że mam w domu nie dziecko, a dorosłą kobietę. Przyszłą panią mecenas.

To duma czy strach? W Kamieńczyku jest bezpiecznie, to ostoja tradycyjnych wartości... Ale Warszawa? Ta Warszawą...

A może to wcale nie strach przed życiem - poza granicami jego świata, poza granicami wsi - pędzącym coraz dynamiczniej, w rytmie fokstrota? Może to tylko odwieczna, pełna obaw rodzicielska miłość, przerażona ciągłym przemijaniem. Dzieci tak szybko dorastają.

Ojciec jako człowiek o niezwykle łagodnym usposobieniu, przed którym los postawił trudne zadanie samotnego wychowania dorastającej córki, pobił ją niemal we wszystkim. Wymaga jednego, by dziewczyna zdobyła wykształcenie odpowiednie dla jej społecznej pozycji. Aby była miła, uprzejma i kulturalna. W przyszłości troskliwa wobec dzieci i uczynna dla męża - jak wszystkie kobiety w tej rodzinie. Ale nie ma wątpliwości, że wszystkie te przymioty

charakteru córka na pewno odziedziczyła po matce - uosobieniu łagodności i dobroci. Dlatego też nie należy jej robić wykładów, nie ma potrzeby, by o tym rozmawiać. W ogóle po co poruszać niewygodne tematy z dzieckiem - przecież każde zna swoją powinność wobec rodziców. Dobre geny załatwią wszystko. I czy Marianna nie ma dostępu do książek? Z książek dowie się o życiu wszystkiego, co potrzeba. Wszystkiego, o czym ojciec nie chciałby mówić głośno. Więc niech sobie czyta, co chce. Są sprawy, o których lepiej nie dyskutować, o których łatwiej jest nie rozmawiać z dojrzewającą kobietą.

I Aleksander Borucki nie ma odwagi, by to zmieniać. Marianna o wszystkim musi dowiedzieć się sama - jego mała córeczka. Wychowanie przez zaniechanie...

- I jak tam, tatku, Gryf?

Gryf. Idealnie zbudowany, piękny arab, jeden z kilku rezydujących w stajniach kamienieckiego majątku i oczko w głowie jego właściciela.

- Nadal nie chce jeść - mówi ze smutkiem ojciec. - Weterynarz niby go przebadał, wydawałoby się, że wszystko jest dobrze, ale poprzednie lekarstwa na apetyt nie zadziałały i nie wiem, czy nie sprowadzić do Gryfa lepszego lekarza. Poczekam jeszcze kilka dni, ale zwlekać też nie ma co, bo mi zwierzę z głodu padnie.

- To pewnie będzie tato jechał do Warszawy? - pyta z nadzieją w głosie, bo podróż ojca byłaby pretekstem do przejażdżki również dla niej.

- Pewnie tak - odpowiada zamyślony. - Przy okazji porozmawiałbym z ciocią Weroniką o twoich studiach.

Marianna smutnieje, Czar pryska. Nadzieja umiera. Cały czas wierzyła, że ojciec jednak pozwoli jej na wynajęcie stancji z Krysią i nie wyśle pod czujne - na pewno zbyt czujne - oko ciotki. Staropanieńskie, wnikliwe oko. Smutne i

dociekliwe. Jakież Krystyna ma szczęście, że nie ma rodziny w stolicy...

Tymczasem ciotka Wera, siostra matki Marianny, poczciwa kobieta o gołębim sercu, ale dość chłodnym usposobieniu, rezyduje sama w dużym mieszkaniu przy ulicy Erywańskiej. Sama, tylko z gospodynią. Wśród kilku ziejących pustką pokoi, których przestrzeń wypełniają dzieła sztuki, piękne meble oraz drogie bibeloty. Ale brak w tych wnętrzach ludzkich oddechów, które przywróciłyby te przedmioty do życia. Jeden z tych martwych pokoi ciotka z radością przeznaczy na sypialnię Marianny.

Weronika jest starą panną, a jako że nigdy nie była przymuszona do pracy zarobkowej, całe życie poświęca pomocy w różnej maści przykościelnych ochronkach i innych tego typu przybytkach pomocy społecznej. Czy na jej usposobienie wpływa kontakt z wszelkimi nieszczęściami i biedą tego świata, czy może jest tak „surowa” od zawsze? I może to dlatego, że pomimo okazałego majątku nigdy nie znalazł się chętny do jej ręki? Marianna nie zna kolejności tych zdarzeń. Błogosławi jednak w duchu dzień, kiedy ojciec podjął decyzję i odrzucił propozycję szwagierki, która sugerowała, że lepiej, aby to ona, kobieta, zajęła się wychowaniem „biednych sierotek”. A zapewne decyzja ta nie była dla Aleksandra prosta. Matka Marianny, Elżbieta, umarła bowiem w połogu, po narodzinach drugiego dziecka, gdy dziewczynka miała zaledwie dziesięć lat. Pan Aleksander długo czekał na syna, a kiedy los mu go ofiarował, w zamian zabrał ukochaną żonę.

Został więc z dorastającą córką i niemowlęciem. Mimo przepełniającego go bólu po tragedii, która uderzyła tak nagle, i strachu, czy podola obowiązkowi, dzieci wychowują się w Kamieńczyku. Z kochającym ojcem, na wsi, gdzie mają przecież wspaniałe warunki - mimo kryzysu gospodarczego

majątek prosperuje bardzo dobrze - ale też w bród tu świeżego powietrza, którego przecież nie uświadczyłyby w Warszawie.

Od śmierci matki mija już ósmy rok, ale Marianna nie ma wątpliwości, że ciotka, na wieść o uniwersyteckich planach siostrzenicy, ponowi propozycję roztoczenia nad nią opieki. I z radością spełni prośbę przyjęcia dziewczyny na czas studiów pod swój dach. Co gorsza, zapewne w pełni się w tę opiekę zaangażuje. Gdyby jeszcze Weronika mieszkała dalej od uniwersytetu, być może dziewczyna miałaby szansę wyperswadować ojcu pomysł ich wspólnego mieszkania, ale tak - żegnaj wolności.

Odpycha tę myśl. Dziś nie zamierza zaprzętać sobie tym głowy. Jest piękny lipcowy dzień. Przed nią - mimo wszystko - jawi się całe to wspaniałe, studenckie życie. Z ciotką na karku czy bez. Zmienia więc temat, by nie wdawać się z ojcem w dyskusję, która i tak skazana jest na niepowodzenie. Wszystko już postanowione.

- Ma coś dzisiaj jeszcze tatko do załatwienia? - pyta.

- Nie, córeczko. Po obiedzie chciałbym odpocząć, bo mnie staremu ten upał coś ostatnio okropnie daje w kość, a potem muszę jeszcze posprawdzać księgi. Zresztą, jeśli się ten gorąc nie skończy, to całe plony pójdą na marne. I te pożary... Już podobno pod Łochowem dwa domy się spaliły.

Marianne niewiele obchodzą ani plony, ani pożary - prócz tego w niej samej - ale ujmuje dłoń ojca i czule ją całuje. - Nie martw się, tatku, bo rzeczywiście szkoda twojego zdrowia. Już starczy, że Gabriela ma nad wszystkim pieczę. - No tak! - Mężczyzna klepie się w kolano z zafrasowaną miną. - I widzisz, d propos starości i Gabrieli. Przez te nasze pogawędki zapomniałem, że prosiła na obiad. Zupełnie mi to uleciało z głowy. Oj, zła będzie Gabrysia.

Oj, będzie - myśli Marianna, podnosząc się wraz z ojcem z koca i idąc w stronę werandy. W domu wszyscy doskonale

znają raptowne usposobienie gospodyni, która bardzo nie lubi, gdy domownicy spóźniają się na posiłki - a niepodzielnie rządzi domem i z niemal matczyną troską patrzy, jak pan Aleksander chodzi z głową w chmurach, zapominając o jedzeniu. Dziewczyna wie, że dostaną oboje burę. Ale gdyby nie Gabriela...

Obiad rzeczywiście stoi już na stole. Półmiski parują, obok zimna waza - chłodnik? Jadalnię wypełnia zapach domu, pieczonych przepiórek, które jeszcze wczoraj biegały po kamienieckich polach, i świeżych, zielonych ogórków, które toną w białym, obfitym jeziorze gęstej śmietany. Pachnie dostatkiem i bezpieczeństwem.

Dookoła stołu uwija się Zosia, poprawiając nakrycia - porcelana musi lśnić, srebro dawać czysty, zimny błysk, wykrochmalone serwetki trzeba poskładać równo, acz finezyjnie. Za dziewczyną krok w krok podąża sporo od niej niższy chłopiec - Michał. Droczy się z nią, przedrzeźnia, zaczepia, gdy ta uwija się pod karcącym spojrzeniem gospodyni. Przeszkadza. Ale bez złośliwości. W końcu nadal jest dzieckiem. Czystym, jeszcze nieskażonym cynizmem - którym każdy nasiąka wraz z dorastaniem. Żeby stworzyć niewidzialną ochronę przed ciosami, jakie gotuje świat. Na razie Michał jest od tego wolny. Biega szczęśliwy i rozbawiony. A służąca odgania się od niego jak od natrętnego owada, choć wcale nie jest zła. Lubi to radosne dziecko.

W drzwiach na pana Aleksandra czeka Gabriela, która - być może także zmęczona duchotą - dziś litościwie oszczędza wszystkim wymówek, kręcąc jedynie z dezaprobatą głową.

Gabriela

Kobieta o przysadzistych kształtach i okrągłej twarzy, zwieńczonej misternym kokiem przetkanym zalewie kilkoma siwiejącymi pasmami, która zawsze - bez względu na pogodę i panującą w danym roku modę - chodzi w czarnej prostej

sukience przed kostkę. Gospodyni jest jeszcze dość młoda - choć niespełna osiemnastoletniej Mariannie wydaje bardzo dojrzała. A może nawet stara? Chociaż pewnie to wrażenie potęguje surowość czarnych strojów, które Gabrysia nosi? Może to żałoba? Może asceza? Może skromna natura? Gabriela też ma swoje tajemnice.

Ten zgrzebny entourage może jednak zwieść obcą osobę, nieznającą jej temperamentu. Patrząc na nią z boku, można by ją uznać za odrobinę ociążałą intelektualnie i łagodną. Tymczasem Gabriela jest wulkanem energii - mimo tuszy - i chyba najbardziej zaradnym mieszkańcem kamienieckiego majątku. To ona, od śmierci pani Elżbiety, stanowi najważniejszy żeński pierwiastek tego domu i myśli o tym wszystkim, o czym pan Aleksander nie ma nawet pojęcia.

Jest jeszcze babka Leokadia. Ale ta stanowi tu już tylko pierwiastek starości. Nie miesza się do prowadzenia domu. Nie ma do tego siły? Głowy? Chyba nawet, gdy była młoda, za bardziej odpowiednie dla siebie zajęcie uznawała grę na fortepianie i haftowanie monogramów na chusteczkach. Zawsze była tylko panią. A dom, majątek, potrzebuje silnej ręki. Sprawnego zarządzania.

I jest Gabriela.

Szczyściem w nieszczęściu, które spotkało Aleksandra wraz ze śmiercią żony, była właśnie ona. Opiekowała się małą Marianną i nowo narodzonym Michasiem, który spokojnie rósł pod jej opieką. Zajmowała się dziećmi z istic matczyną troską, a domem tak, jakby był to jej własny. Być może miała gwałtowne usposobienie i łatwo się unosiła - co często na własnej skórze odczuwała reszta służby - ale była jak osty w krainie łagodności. Głęboko sprawiedliwa, wyrozumiała. Wzbudzała ogólny szacunek. Dodatkowo posiadała wyjątkową przenikliwość, a jej obserwacje zawsze były niezwykle celne. Nigdy też swoich sądów nie dusiła w sobie.

Szybko ubiera je w proste, często dosadne słowa. Jej zdanie w tym domu zazwyczaj okazywało się ostatecznym.

Obiad. Gabriela posiłki często jada wraz z ojcem i dziećmi, a także niekiedy ze starszą panią Leokadią, matką Aleksandra, która złożona pogłębiającą się chorobą sporadycznie gości przy rodzinnym stole, a coraz częściej spędza dni w swoim pokoju. Gospodyni już od lat traktowana jest bardziej jak członek rodziny, aniżeli pracownik. Zresztą pan Aleksander ma wtedy sposobność, by omówić z nią wszelkie domowe sprawy, poczynając od gospodarskich, finansowych, a na tych związanych z opieką nad dziećmi kończąc.

Posiłki w tym domu to jednostajny szum rozmów. Wstydlivy odgłos srebrnych sztućców, muskających delikatnie porcelanę. Savoir vivre - w tej rodzinie powszedni dzień nie zwalnia od odświętnych form. Gabriela coś mówi. Michał niepostrzeżenie zsuwa na podłogę kawałeczki mięsa, które lądują przy pysku jego pupila, wyżła Anatola. Rosyjskie imię - pod tym dachem - nadaje się tylko dla psa. Spokojny obiad czwartkowy przebiega bez wzniosłych dyskusji o sztuce, filozofii, muzyce. A tylko orbituje swobodnie wokół różnych spraw, nieistotnych z punktu widzenia Marianny. Słucha, ale jednym uchem, zatopiona we własnych myślach. Do czasu.

Zosia podaje deser. Galaretka, truskawki i bita śmietana - słodko drżąca góra zwieńczona śniegiem nieczułym na upał.

Gabriela pyta:

- Był pan dzisiaj we wsi?

- Byłem - odpowiada pan Aleksander. Podnosi łyżeczkę do ust. Rozpływa się w smaku świeżych owoców. Smaku słońca, lata...

- A może coś pan słyszał o tym wypadku konnym? Jakiś letnik podobno. Z konia spadł. Zosia przyniosła nowiny.

Gabriela, mimo że stateczna, ploteczki lubi - czym innym żyć na tym odludziu? A i ojciec czasami, trochę dla rozrywki, trochę z ciekawości, lubi z gospodynią porozmawiać o błahych sprawach. Poza codziennością. Księgami, plonami...

- Nie słyszałem. - Patrzy na Gabrielę i uśmiecha się pod wąsem, widząc nieukrywane rozczarowanie na jej twarzy. - Ale na pewno, gdyby to było coś poważnego, to weterynarz by mi wspomniał. A poza tym jak letnik, to i pewnie mało kogo we wsi obchodzi.

- Ale to nie byle letnik. - Gabrysia zdrapuje łyżeczką kremowy szron ze szczytu truskawkowej góry. - Co prawda młody, ale to przyjaciel siostrzeńca księdza dobrodzieja. Podobno zaledwie wczoraj na letnisko zjechali, a dziś już takie nieszczęście.

Pan Aleksander z błyskiem rozbawienia w oczach spogląda ponownie na kobietę i mówi:

- Ha, to Gabriela już wszystkiego sama się wywiedziała, a mnie za język ciągnie?

- Oj! Ja tam nic nie wiem...

Czy Mariannie się wydaje, czy Gabriela się rumieni? Niczym grzeczne dziecko przyłapano na małym grzeszku.

Rozmowa schodzi na inne sprawy. Michał nie daje ojcu spokoju, wypytując o możliwe powody choroby jego ukochanego Gryfa. Marianna kończy deser i czeka, aż uczyni to również ojciec, by móc odejść od stołu. Zgodnie z zasadami dobrego wychowania.

Wreszcie domownicy rozchodzą się do swoich pokoi na poobiedni odpoczynek. Gabriela do dalszej pracy - zarządzić kolację, dopilnować karmienia zwierząt, wypielić przydomowy ogródek...

Marianna próbuje czytać, leżąc na swoim łóżku, ale nie może zapomnieć słów gospodyni. A więc Zenon przyjechał na wakacje - myśli. - Piękny, wesoły Zenek.

Siostrzeniec proboszcza od lat dziecięcych przyjeżdżał na wakacje do sielskiego Kamieńczyka i Marianna zna go świetnie. Starszy od niej o kilka lat, bardzo ładny chłopiec i do tego warszawiak, bardzo jej imponował. Chyba każda miejscowa dziewczyna w tajemnicy się w nim podkochiwała. Jednak od dwóch lat się tu nie pojawiał. Myślała, że pochłoneły go studia. Nowe obowiązki. Dlatego Marianna zaskoczona jest nagłą wizytą starszego kolegi.

Dziewczyna uśmiecha się nieznacznie. Jeśli ten ranny trafił do doktora Wieruszewskiego, to niedługo wszystkiego się dowie. Krystyna na pewno nie omieszka przynieść nowin.

I rzeczywiście nie musi długo czekać.

Michał już śpi. Ojciec ślęczy nad jakimiś papierami w swoim gabinecie. Starsza pani, która dziś znowu czuje się gorzej, drzemie w swoim pokoju, po zaordynowaniu jej przez Gabriellę przeróżnych medykamentów. Marianna pozostawiona sama sobie siedzi na werandzie, rozparta w rozłożystym fotelu, z nogami przerzuconymi przez jego miękką poręcz. Czyta z rosnącym zainteresowaniem porzuconą na czas obiadu lekturę. Jest jej trochę wstyd wobec ojca, że popołudnie spędziła beczynn timer, więc postanawia nadrobić zaległości.

Z gramofonu dobiegają trzeszczące dźwięki obracającej się monotonicznie płyty, akompaniujące którejs z arii Carusa. Zza otwartych na oścież drzwi werandy, na której siedzi Marianna, dochodzą do jej uszu drżące odgłosy. Powietrze niemal wibruje od zabiego skrzeku. Odległego. Niesionego tu aż znan rzeki i pięknie harmonizującego z koncertem światowej sławy tenora. I ze skrzypcami niezmordowanego świerszcza, który pod ścianą domu postanowił ulokować swą malutką, utkaną z traw scenę. Dźwięk wielkiego świata i mazowieckiego pustkowiecia stapia się w jedno. Zmrok mętnieje, otulając coraz ciaśniej drzewa w ogrodzie.

Z lampy stojącej na stoliku obok na kartki książki pada przytłumiony snop światła. Na twarzy dziewczyny rysuje się głębokie skupienie. Lektura ją pochłania - tyle niemoralności... Dwuznaczne słowa pobudzają młodą wyobraźnię. Z lekkim wstydem czyta cudze listy, choć to tylko słowa bohaterów książki, tylko wyobraźnia pisarza. Ale Marianna ulega nastrojowi, zatapia się w intrygę. Czuje coraz silniejsze emocje. Pożądanie niegodne miłości. I jego niszczycielska siła, która zabija tę miłość. Nic już nie uratuje duszy wicehrabiego de Valmont.

Oczy Marianny biegną tam i z powrotem po czarnych robaczkach liter. Wciąż i wciąż. Niebezpieczna lektura Niebezpiecznych związków.

Jakiś ruch za oknem odrywa ją od czytania. Jest już na pewno około dziewiątej i dlatego z tym większym zaskoczeniem obserwuje wiotką postać z długimi pszenicznymi włosami, zaplecionymi w dwa opadające na plecy warkocze. Niespodziewany gość odstawia rower pod jednym z drzew i szybko przemyka od strony przydomowych, warzywnych grządek Gabrieli. Biegnie cicho przez ciemny ogród i właśnie staje w otwartych na oścież drzwiach werandy.

Panna Krystyna. Z dobrego domu. Wymknęła się nocą z tego domu. Jest zdyszana i rumiana od biegu - piękna. Na jej ustach kwitnie szelmowski uśmiech, gdy z bardziej wystudiowanym niż rzeczywistym zmęczeniem pada na fotel naprzeciwko przyjaciółki.

- Ojciec wie, gdzie się szwendasz po nocy? - pyta trochę zła Marianna, bo nie ma ochoty przerywać czytania. Wicehrabia de Valmont. Zakład o duszę i zakazane uczucia wydają się ciekawsze niż rozmowa z przyjaciółką.

- Od kiedy to tak przejmujesz się konwenansami? To zazwyczaj moja domena. - Krysia śmieje się. - Ojciec pojechał

do jakiegoś nagłego przypadku, a matka źle się dziś czuła, więc położyła się wcześniej. Zresztą ona i tak nie zauważyłaby mojej nieobecności... Chciałam ci powiedzieć... A noc taka piękna...

Marianna uśmiecha się pod nosem.

- Widzę, że jesteś w romantycznym nastroju. Czyżby wydarzyło się coś szczególnego, że tak biegasz rozemocjonowana w środku „pięknej nocy”?

- Nie żartuj ze mnie. - Krysia robi obrażoną minę. - Kiedy ja z narażeniem swojej czci przybiegam, żeby przynieść ci wieści...

- Tak, wiem - Marianna gra znudzenie - Zenon przyjechał. Na twarzy Krysi rozkwita rumieniec, więc by go pokryć, dziewczyna rzuca lekko:

- A tam Zenek. Myślę, że jest coś, co cię bardziej zainteresuje.

Bardziej niż Zenek? Marianna unosi głowę znad książki i przekrzywiając ją, z lekkim uśmiechem patrzy w oczy Krystyny. Wiem moja dobra duszo, wiem. Widzę, jak się potajemnie kochasz w tym chłopaku. Wybrałaś studia pod wpływem ojca? Czy może straciłaś serce któregoś upalnego lata dla sympatycznego studenta medycyny? I kochasz go, kochasz... Beznamiętnie, czysto, platonicznie i bez szczególnej wiary w szczęśliwe zakończenie tej historii.

- Myślałam, że po dwóch latach tęsknoty za niedościgłym panem Zenonem nic cię bardziej nie zainteresuje.

Przyjaciółka próbuje opanować zmieszanie i na wspomnienie swojego potajemnego uczucia, widząc drwiący uśmiech Marianny, odpowiada cierpko:

- Mnie może nadal obchodzi, ale tobie niewdzięczna, biegając po nocy, z narażeniem godności, chciałam powiedzieć o czymś jeszcze ciekawszym. Ale jeśli nie...

Z urazą podnosi się z fotela. Jednak Marianna jednym ruchem ręki ściąga dziewczynę z powrotem do pozycji siedzącej.

- Oj już, już... Przepraszam i obiecuję więcej sobie z panienki i jej romantycznych porywów serca nie stroić żartów.

Kryścia wciąż się dąsa, gdy patrzy na przyjaciółkę, na której oblicze powraca naturalny, spokojny wyraz.

- Dziś po południu przyjaciela pana Zenka, podczas przejażdżki, poniósł koń. Wiesz, ten niespokojny ogier ze stajni księdza Piotrowskiego.

Jedyna oznaka życia w nudnym domostwie nudnego księdza.

- No i ten człowiek troszkę się poobijał. Naturalnie, nic poważnego mu się nie stało, ale ksiądz nalegał, żeby ojciec go obejrzał. A że akurat byłam w gabinecie... I teraz trzymaj się, pani wszystkowiedząca. Dam sobie obciąć oba warkocze, jeśli zgadniesz, kto to jest!

Kryścia się śmieje.

- Jak nic Eugeniusz Bodo albo Franciszek Brodniewicz, bo tylko przy nich, jak sądzę, zbladłaby w twoich oczach uroda czarującego Zenona. - Widzi niezadowoloną minę przyjaciółki, więc dodaje już poważniej: - A cóż mnie to może obchodzić?

- Jak uważasz - zawiesza głos - ale sądziłam, że będziesz zainteresowana.

O tak. Marianna bardzo chce wiedzieć. Wszystko, o wszystkim, Wciąż głodna jest świata, a tu w Kamieńczyku... Cóż ciekawego może się tu przydarzyć? Tu nic nie ma. Świat zaczyna się gdzieś tam, za lasem. Przy brukowanym trakcie na Warszawę. Ale zanim wyruszy w tamtą stronę...

- No dobrze. Więc kto to jest? - W sercu ją pali zniecierpliwienie, na twarzy wciąż tkwi maska teatralnej obojętności.

- Zygmunt Jasiński - Krystyna mówi to takim tonem, jakby informacja była co najmniej ściśle tajna.

I co mnie to może obchodzić. Nie znam pana - myśli sobie Marianna. Z uczuciem zawodu wypuszcza wstrzymywane powietrze.

- No to niepotrzebnie biegałaś po nocy, bo ja żadnego pana Zygmunta Jasińskiego nie znam. - Opuszcza głowę z zamiarem powrotu do lektury.

Przyjaciółka nie ustępuje.

- Znasz, znasz. - Robi pauzę, by wzmocnić jeszcze dramaturgię chwili, po czym, jak gdyby od niechcienia, rzuca: - To jest znalazca twojego zielonego swetra.

Oczy Marianny zwracają się na uśmiechniętą twarz Krystyny. Teraz nie ukrywa już zaskoczenia. Już nie potrafi grać. On?!

Piękny, tak doskonale piękny. I te oczy, o których nieustannie myśli. Od tygodnia. Bez przerwy. Zimne, obojętne, hipnotyzujące, pożądliwe, bezdenne...

Jakimś nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu te oczy, być może otulone już w tej chwili snem, znajdują się w Kamieńczyku? Tu, w tej zapomnianej przez Boga miejscowości - kropce zbyt małej, by warto ją było umieszczać na mapie. Znalazł się tu jakimś niezwykłym zrzędzeniem losu. Przypadek? Czy to możliwe, że to tylko przypadek? A może każdy ma zapisany swój los... I Marianna wierzy, że to przeznaczenie przywiodło go ku niej. Tak miało być. To będzie niezwykle lato...

On!

Leży na starym dębowym łóżku w gościnnej sypialni na plebanii. Pewnie w tym samym pokoju, w którym zwykle nocował Zenek, goszcząc u wuja. Od strony drogi. Raz tam była. Snop światła pada przez okno na równo skoszoną trawę. Soczysta zieleń i zimna biel plebanii. Klasycystycznej.

Okazał się. On w środku. Śpi. Nie... Może rozmawia z Zenkiem? O czym rozmawiają młodzi mężczyźni? O sztuce, polityce? O kobietach? Na plebanii? Pewnie czytają. Kawalerska sypialnia w domu księdza - na pewno czytają...

- Jesteś pewna, że to on? - pyta i czuje, jak mimowolnie zaczynają pocić się jej dłonie.

- Pewna? Marie, ja z nim rozmawiałam. Ojciec stwierdził, że to nic poważnego. Bez złamań, kilka szwów. Zakładałam mu opatrunek. Zamieniliśmy nawet ze sobą parę zdań...

Marianne rozpala ciekawość.

- O tamtym spotkaniu?

- Nie. Tak po prostu. - Zamyśla się. - Bo widzisz, on mnie chyba nie pamięta, a ja udałam, że też go nie poznaję...

Rozdział II

Leokadia

Marianna czeka na niedzielną mszę. Z zapartym tchem - bez tchu. Nie, nie tęskni za Bogiem. Wcale nie ma pewności, że on tam, w górze naprawdę jest, że czuwa nad wszystkim. Nad nią. Nie potrzebuje do zbawienia duszy monotonnego, śmiertelnie nużącego kazania księdza Piotrowskiego. On mówi w kółko o bojaźni, o śmierci, o karze, a ona nie chce się bać - to słabość - i bardzo mocno pragnie żyć. Bezkarne.

Ale tym razem chce zobaczyć czerwone mury, ołtarz, ławy. Przede wszystkim ławy. Wypełnione po brzegi. Tymi co zawsze, no i... Jest pewna, że w kościele nie zabraknie siostrzeńca księdza. A Zenek nie będzie sam.

Od czwartkowej, wieczornej wizyty Krystyny nie może się na niczym skupić. Gabriela się cieszy - bez przerwy ponaglana przez panienkę o obrabianie najnowszej sukienki przed niedzielną wyprawą do Kamieńczyka. Może na to nieboskie stworzenie w końcu spłynie łaska Pana? Może Marianna nawróci się na jego ścieżkę? Gabrysia od dawna się domyśla, że Marianna odrzuca wiarę. Ale może właśnie dojrzała? Może zrozumiała, że bez Boga nie da się żyć? No bo w co innego wierzyć? W kim pokładać nadzieję na tym łez padole?

Gospodyni, jak zawsze latem, ma wiele obowiązków, ale sukienkę trzeba przed niedzielą dokończyć - niech się panienka wystroi dla Niego.

I stroi się. Dla „niego”.

Długie godziny. Piątek i wciąż brak jakiejkolwiek wiadomości od Krysi. A Marianna bez zaproszenia teraz do przyjaciółki nie pójdzie. Nic po sobie nie pokaże. A tamta pewnie już z Zenkiem, nad Liwcem. Pikniki, zabawy... Bez Marianny?

W sobotę koło południa pan Aleksander wraca z Kamieńczyka. Z pełnymi rękami sprawunków. Marianna rzuca pozornie niedbale pytanie: „Co tam, tatusiu, słyhać we wsi, nie widział tato Krystyny?”. I spada kamień z niezrozumiale zazdrosnego serca, bo Krysia z rodzicami i bratem w piątek rano wyjechała do ciotki, gdzieś pod Łochów. Na jakąś rodzinną uroczystość, Wracają dziś wieczorem. „A pod domem doktora kolejka coraz dłuższa, będzie miał Adam co robić, jak wróci. Bądź spokojna, córeczko. Jutro Krysie zobaczysz. Co ty na to, żeby doktorostwo zaprosić na niedzielny obiad?”.

A więc Krysia wyjechała. Nie widziała Zenka. Nie widziała "jego", Byle jakoś przetrwać do niedzieli. Ten czas tak wolno płynie.

Całą sobotę, już spokojniejsza, Marianna spędza nad coraz bardziej zajmującymi kartami Niebezpiecznych związków, co pan Aleksander obserwuje z marsową miną. Oczywiście nie ma śmiałości, by wyperswadować córce czytanie tej dość perwersyjnej, w jego mniemaniu, literatury. Bo w jakie słowa ubrać niestosowność tej książki? To wyuzdanie jednoznaczne, ten erotyzm kipiący między pozornie gładkimi zdaniem. Jak córkę odwieść od chęci poznania tabu? Niech sobie czyta. Byleby o nic nie pytała. Byleby mieć święty spokój.

I Marianna sobie czyta. Czyta i rozmyśla. A nieuczesane myśli kłębią się jej w głowie.

Markiza de Merteuil, pani de Tourvel. Zło i dobro. Woda i ogień. Krysia i Zenek. Ona i ten Jasieński. Jak dwa przeciwne bieguny - tego, co fascynujące i niedozwolone i tamtego, co mdłe, nudne i nieciekawe.

Marianna czyta i naiwnie roi sobie, aby zobaczyć w jego oczach choć odrobinę hrabiowskiej żądzy. Och gdyby dobrotliwy tatko wiedział, jak czasami mam nieczyste myśli. Ale ojciec nie przeczuwa...

W niedzielny poranek sukienka jest skończona, a Marianna - co stanowi dość niezwykły obrazek - jest wyszykowana do wyjazdu, jeszcze zanim gotowa jest reszta mieszkańców. Po śniadaniu, podczas którego Michaś bez przerwy trajkuje do ucha siostry, wyprowadzając ją tym z równowagi, dziewczyna niechętnie idzie, by przed wyjściem jeszcze szybko odwiedzić babkę - wiekowa dama nadal nie wstaje z łóżka. Pani Leokadia wyraźnie nie ma siły ani ochoty na dłuższe rozmowy, więc wizyta nie trwa długo. Dobrze. I tak Mariannę interesują dzisiaj zgoła inne sprawy. I te ciągle narzekania starszej pani. Głowa. Zawroty. Łupanie. Albo, co gorsza, dyskusja na temat jej wyjazdu do Warszawy, którym to planom matka jej ojca nie jest przychylna.

Babciu, czasy twojej młodości dawno już minęły. Świat się zmienia. Polska jest wolna. Ja też chcę.

Babka - jako dama starej daty - uważa bowiem, że dziewczyna taka jak Marianna i bez warszawskich rozrywek jest nazbyt rozpieszczona, swobodna. Jak to teraz mówią - „wyzwolona”. Pobyt w dużym mieście jeszcze bardziej wypaczy kształtującą się i podatną na wpływy osobowość, a uniwersyteckie środowisko niechybnie zwiedzie wnuczkę na manowce.

Leokadia jest stara - Marianna nigdy taka nie będzie. Nigdy! Jak można nie chcieć wiedzieć więcej? Jak można zamykać się w domu przed całym tym ciekawym światem? Ona wcale nie uważa, że wykształcenie kobiecie szkodzi, a jedyną słuszną drogą do szczęścia jest szybki ślub i gromada rozkrzyczanych dzieci. Matka to już nie człowiek. To tylko matka. A przecież Marianna chce mieć świat u swych stóp. Świat, a nie dziecko uwieszone u spódnicy, u nogi. Jak ołowiana kula.

Ale babka wie swoje - pierworodne dziecko Aleksandra ma zamiar wylądować na własną prośbę i życzenie na

poniewierce w stolicy, w złym, nieodpowiednim dla młodej damy otoczeniu. Być może zszargać nazwisko. A chyba to nazwisko do czegoś zobowiązuje? Noblesse oblige...

Dziś taka rozmowa się nie odbywa. Dziś starsza pani nie ma na nią siły. Marianna zaś nie ma na nią ochoty.

Powóz zostaje podstawiony pod frontowe drzwi dworu. Ojciec, jak zwykle elegancki i szarmancki, pomaga wejść po schodkach przysadzistej Gabrieli, która mimo upału jak zawsze ubrana jest w swą czarną niedzielną suknię - ascetyczną w kroju. Ta niedzielna tym się tylko różni od jej pozostałej garderoby, że uszyta jest z ładnego jedwabiu. Pod stójką przypiętą ma niewielką złotą kameę. Niedużą, nierzucającą się w oczy, ale kunsztownie wykonaną. Skąd ją ma? Nigdy nie opowiadała Mariannie, jak weszła w posiadanie tego eleganckiego klejnotu, który jakoś do niej nie pasuje. Może to jej kolejna tajemnica?

Michał, jak co niedzielę, zostaje ubrany - nie bez oporu - w marynarską bluzę i krótkie białe spodenki. Mały żeglarz bez jachtu. Na nogi wkłada niewygodne, acz wytworne czarne lakierki zapinane na sprzączkę. Ciężko w nich biegać, ale da się klęczeć.

I Marianna - w nowej sukience. Białej w drobne zielone groszki. W zielonym jej do twarzy. Złotomiedziane włosy przyszyżone są krótko i wyzywająco. Na nie nakłada kapelusz - słońce zbyt szybko obsypuje jej twarz pocałunkami. Niewielki dekolt

odśłania alabastrową, niemal przejrzystą skórę. Młodą, gładką. Szczupłe nogi - mimo upału - oblekają cieniutkie pończochy. Na stopach ma jasne czółenka na niewielkim obcasie. Gabrysi się nie podobają. Nie wypada... do kościoła na obcasach? Dzieło wieńczy odrobina różu na policzkach - gospodyni widzi tylko to, co chce zobaczyć. Dobrodusznie chwali swoją podopieczną:

- Marie tak zdrowo dziś wygląda.

Są gotowi. Odświętni. Jada. Gabriela - na spotkanie z Bogiem. Pan Aleksander - na spotkanie z sąsiadami. Marianna - na spotkanie z pragnieniami.

Do kościoła leżącego zaledwie półtora kilometra od dworu Boruckich najkrótsza droga wiedzie najpierw przez obsadzoną drzewami aleję wśród pól, później wzdłuż niskiego, sosnowego zagajnika. A na końcu przez rozległe łąki, które niczym zielony dywan otulają meandrującą wstążkę rzeki. Rozgrzane powietrze niesie daleko charakterystyczny zapach sitowia i wilgotnych bagnistych łągów rozciągających się wokół powoli płynących wód Liwca. Gdzieś nad głowami jadących słychać konkurencyjne arie dwóch słowików. A może one wcale nie śpiewają, może tylko się skarżą na upał?

Dojeżdżają szybko i zatrzymują się przed otynkowanym na biało, klasycystycznym budynkiem plebanii. Stąd, już na piechotę, ruszają do głównych drzwi majestatycznej budowli z czerwonej cegły.

Kościół.

Jak tu chłodno w porównaniu z upałem na zewnątrz - myśli Marianna, wchodząc do środka świątyni.

Gdy przekraczają próg, ławy są już pełne parafian. Wypełnione przez wielu ludzi siedzących w nienaturalnej ciszy, w której najmniejszy szelest roznosi się przepraszającym echem. Marianna nie ma w zwyczaju rozglądać się, gdy tu wchodzi. Nie ma tu nic ciekawego, nic nowego, nic, co choćby odrobinę tchnęło świeżością. Ściany wieńczą te same obrazy, słońce niezmiennie pada przez witrażowe okienka z Męką Pańską, ukrzyżowaniem, zmartwychwstaniem. W kolorowym świetle męczeńskich szkiełek widzi te same od lat, zmęczone twarze, które - jak to bywa w małych, hermetycznych środowiskach - zna na pamięć.

Ci „lepsi”, którym udało się wyjść z łona dobrze urodzonych matek, i ci, którzy zapłacili, by poczuć się „lepszymi”, siedzą w ławach. „Gorsi”, którym ani fortuna, ani biologia nie sprzyjają, muszą stać. Zarówno wśród jednych, jaki drugich są tacy, którzy zatopieni są w głębokiej, szczerzej modlitwie, oraz ci, co głęboko udają - pewnie nawet przed sobą - że wierzą. Marianna nie potrafi ich odróżnić - jest na to jeszcze za młoda, ale już na tyle dojrzała, że wie, iż część tych uduchowionych twarzy tylko gra. Tak jak ona. Bo ktoś, kiedyś, gdy jeszcze nie miała prawa głosu, zanurzył jej ciało w chrzcielnicy i rozpiął rolę, którą należy dobrze odtwarzać, by nie zostać wyrzuconym z teatru. Teatru, który jest wiekową instytucją i ma dwa tysiące lat.

Marianna zaczerpuje wody z kropielnicy. Ostrożnie klęka - byle nie podrzeć pończoch - i żegna się. Podnosi się i rusza do przodu, po drodze łapie to jedno porozumiewawcze spojrzenie. Wzrok Krystyny. Ona wie, co czują. Akceptuje, choć nie rozumie. Po chrześcijańsku - myśli. Krysia nie gra. Ona wierzy prawdziwie.

Marianna wie, że teraz tylko wyraz skupienia i zadumy musi wyrysować się na jej jasnej, niewinnej buzi — i ojciec oraz Gabriela będą usatysfakcjonowani. Co z tego, że ona w głębi serca nic sobie z tych rytuałów nie robi - ot, tradycja. Tego od niej wymagają. Niech wierzą, że wierzy. Ciężko by im było zrozumieć, że ją zupełnie nie obchodzi to kazanie. Coniedzielny, nic w jej duchowość niewnoszący obowiązek. Jałowa godzina spędzona na błędzeniu myślami daleko od chłodnych neogotyckich murów - ale dziś będzie inaczej.

Krystyna siedzi z matką, ojcem i starszym bratem w ławie blisko ołtarza. Niby rozmodlona, lecz gdy Marianna ją mija, dostrzega przez ułamek sekundy - zmierzając wraz z rodziną na swoje stałe miejsce w ławce przed Wieruszewskimi - jak przyjaciółka nieznacznie zerka w lewą stronę od głównej

nawy. Podążając za wzrokiem Krysi, z morza znajomych głów Marianna wyłuskuje te dwie nowe, które powinny się tam dziś znaleźć. Jedną tak jasną, że niemal białą - jakże Zenek wyrósł przez te dwa lata. Jest chyba nawet przystojniejszy niż kiedyś, przemyka jej przez głowę - i tę drugą, czarnogranatową, dziś bez studenckiej czapki. To on.

Gabriela, ojciec, ona i Michał. W takim cotygodniowym porządku zajmują swoje miejsca, a tam po drugiej stronie ołtarza - oni. Jest przyjemnie chłodno, ale Mariannie robi się dziwnie gorąco. Zenek i tamten - Zygmunt Jasiński. Przypomina sobie słowa przyjaciółki: Zygmunt. Nie mógłby nazywać się inaczej. Jest w nim coś równie dostojnego, jak w brzmieniu jego imienia. Królewskiego imienia dla księcia z bajki.

Sadowiąc się, Marianna przechyla nieznacznie głowę w tamtą stronę. Niepostrzeżenie. Nikt nie zauważy. Nikt nie uchwyci przelotnego spojrzenia.

A jednak się myli.

Na twarzy Zenka patrzącego w jej kierunku widzi ciepły uśmiech, który mówi: „Witaj, Marianno, pamiętam Cię, ależ wydorostałaś”. Ukrywając zażenowanie, nieznacznie odwzajemnia nieme pozdrowienie, po czym jej spojrzenie chwyta wzrok tego drugiego... Bez skrepowania patrzącego na nią. Może nawet zbyt bezczelnie. Kłania się jej, lekko schylając głowę - ona czyni to samo i szybko zwraca twarz ku ołtarzowi.

Czuje, jak palą ją policzki - zupełnie jak wtedy na ulicy. Jakiż on piękny, doskonalszy niż obraz w jej pamięci. I teraz już wie, jest całkowicie pewna - on też ją pamięta.

Dźwięczy dzwonek niesiony przez małego chłopca w komży - jak uderzenia drobnego deszczu o szybę - odrywając Mariannę od zakazanych myśli. Ksiądz Piotrowski wychodzi z zakrystii. Wszyscy wstają - szmer setki stóp przerywa ciszę,

łączy się pod półkolistym zwieńczeniem sufitu z pierwszymi dźwiękami organów. Marianna też podnosi się z miejsca. Bezwiednie, walcząc, by znowu nie spojrzeć w tamtą stronę. Ale nie, nic po sobie nie może pokazać. Czuje ramię ojca przy swoim - tutaj musi udawać, że skupiona jest na kazaniu. Usiąść, wstać, uklęknąć, przeżegnać się, usiąść, wstać, uklęknąć, przeżegnać się - amen. On na nią zerka. Jest pewna. Czuje. Wie.

Ksiądz monotonicznie czyta kazanie. A później mówi o zjednoczeniu, o wrogu stojącym u bram, o obronie...

Jej wróg też czeka u bram, siedzi w ławie kilka metrów dalej. Ale Marianna nie zamierza się przed nim bronić.

...i gdy ojczyzna wzywa, należy jej chronić. Jak cnoty, jak wiary, jak nadziei...

Czemu ta msza musi tak długo trwać? Niczym boska wieczność? Ktoś szepcze z prawej strony. To Gabrysia.

- Marianno, idziesz?

Kobieta wychodzi z ławki i pytająco zerka w kierunku dziewczyny.

Po co miałabym się, Gabrysiu, spowiadać? Czy to grzech, że nie wierzę w to, co ty? - dziewczyna przecząco kręci głową. Kobieta odchodzi więc na bok sama, czekając spokojnie na swoją kolej, by zostawić winy w konfesjonale.

Młody kleryk, za kratami, które mają dać złudzenie anonimowości, wysłucha jej grzechów z wypiekami na twarzy, z nie czystymi myślami, mokrymi dłońmi wygładzi stulę. A później zabierze jej grzechy, jej myśli kosmate i nieczne uczynki. Zaniesie je do Boga albo odda w niepowołane ręce... I cyk. I odpuszczone. Poproś tylko służebnico, by Pan ci przebaczył, a On wszystko odpuści. A potem znowu zgrzesz, uklęknij, opowiedz mi o tym, przyznaj się, posyp głowę popiołem i jeszcze raz... Ja ci zawsze... Wszystko...

Msza trwa w nieskończoność. Marianna skupia się na kolejnych czynnościach. Jak przy gimnastyce - byle tylko nie myśleć o tamtych oczach.

Powietrze aż pod sam wysoki strop przepętnia usypiający głos księdza Piotrowskiego.

Baranku boży... Jak to długo dzisiaj trwa. Bez końca.

Ciało Chrystusa... Jaki on przystojny.

Chleb i wino... Jak smakują jego usta?

Przekażcie sobie znak pokoju... Tak by poczuć jego dotyk na skórze.

Głosy z chóru i metaliczny dźwięk organów wrywają Mariannę z zamyślenia. Zbawienie nadeszło - koniec mszy.

Wszyscy powoli wychodzą ze swoich ławek i suną w stronę snopu światła wpadającego do kościoła przez ciężkie, wysokie drzwi z zewnątrz. Zapach murów, świec i ten charakterystyczny, dębowych ław... Woń starości przeplata się z ludzkim potem, brudem i świętobliwą „czystością”, ustępując miejsca równie drażniącym oparom rozgrzanej ziemi, suchej trawy i kwaśnego drewna, z którego zbudowano większe i mniejsze, bogate i te odrapane ubóstwem domy przy drodze prowadzącej do kościoła.

W tłumie gdzieś ginie jasna i ciemna głowa, a dziewczynę za rękę łapie Krystyna. Dopiero gdy są na zewnątrz i znowu ciasno otula je ciężka pierzyna upału, Marianna uśmiecha się do przyjaciółki. Stają z boku, by dopełnić niedzielnego rytuału - po mszy należy odbyć krótką pogawędkę z sąsiadami, księdzem. A czasem także z jakąś lichą ubraną starą kobietą, której przedwcześnie zmarł syn, co pracował u jaśnie pana, a która nie ma teraz za co żyć.

I te rozmowy zawsze są krótkie i wyglądają podobnie. „Pan się ulituje i wspomůže samotną matkę” - mówi ona. A pan oczywiście się lituje. Bo po pierwsze, znajduje się pod kościołem, a tu nie wypada w swej wielkoduszności i

bogobożności odmawiać pomocy bliźniemu. A po wtóre, czeka na niego wspaniały, niedzielny obiad, którego na pewno nie da się przejeść. „Przyjdź, dobra kobieto, dziś po południu do dworu, to dostaniecie nieco jedzenia” - odpowiada więc on dobrotliwie. „Bóg zapłać, jasnie wielmożny panie. Bóg zapłać”.

Dzieci biegają pomiędzy rozmawiającymi grupkami dorosłych. Dookoła słychać szum rozmów, śmiechy. Krystyna nachyla się nad uchem przyjaciółki i szepcze:

- Ładnie ci w tej nowej sukience. - Mruga porozumiewawczo.

- Specjalna okazja, co?

- Nie wiem, o czym mówisz - odpowiada Marianna, choć doskonale rozumie.

A przyjaciółka udaje, że nie słyszy oburzenia w jej głosie.

- Ale pan Zenon się zmienił. I taki się zrobił przystojny. Prawda?

- Od kiedy mówisz o nim „pan” Zenon? - pyta ze śmiechem.

- No wiesz? Wtedy byliśmy dziećmi. A teraz... Teraz bym nie miała śmiałości mówić mu na „ty”.

Milczą. Marianna myśli nad słowami przyjaciółki - czy rzeczywiście wszystko się zmieniło przez te dwa lata? Czy już jesteśmy dorośli?

- I co sądzisz o jego przyjacielu? Według mnie to bez dwóch zdań tamten z Nowego Świata.

Oczywiście, że to on. Jak Krystia może mieć wątpliwości? Czy tylko ja tak głęboko zajrzałam wówczas w te jasne oczy, że nie mogłabym ich pomylić z żadnymi innymi?

- No cóż... - zaczyna najbardziej obojętnym tonem, na jaki ją stać w tej chwili - wydaje mi się.

Wyraz twarzy Krystyny się zmienia. Odsuwa się od przyjaciółki i lekko dyga. Marianna odwraca się za jej

wzrokiem w stronę, z której do uszu dziewcząt dobiega monotony głos księdza Piotrowskiego.

- Niech będzie pochwalony... Panienci... - Odsuwa się. Za jego plecami stoi dwóch młodych mężczyzn. Wskazuje swoją gładką, niespracowaną dłonią w ich kierunku. - Panowie koniecznie chcieli się przywitać. Zenona, mojego niezdolnego siostrzeńca, już panny znają.

- Wuju - Zenek nazwany dobrotliwie „niezdolnym” przerywa proboszczowi i z udawanym oburzeniem uśmiecha się szeroko, jak stary przyjaciel, który z radością wita dawno niewidziane towarzyski letnich zabaw. Kłania się Mariannie i Krystynie. - Witam szanowne panie.

Panie dygają, jak je nauczono w ich dobrych domach.

- Widzicie go? Jaki z niego galant. - Ksiądz z pobłażliwym uśmiechem kręci głowę, po czym odwraca oczy od błaznisko uśmiechniętego siostrzeńca w stronę jego towarzysza. - Poznajcie, dziewczęta, przyjaciela Zenona i mojego gościa, pana Zygmunta Jasińskiego.

Wywołany mężczyzna schyla nieznacznie głowę, nie spuszczać wzroku z nowo poznanych kobiet. Nie spuszcza wzroku z niej. Tylko z niej. Czy inni też to widzą? Czy Mariannie tylko się wydaje, że połączyła ich jakaś niewidzialna nić? Ona też nie dostrzega już nikogo innego. Krysi, Zenona, księdza Piotrowskiego, tłumy ludzi, biegających dzieci. Jest tylko on.

Głos księdza przerywa ciszę:

- Pozwól, mój drogi, że ci przedstawię... Panna Krystyna Wieruszewska.

Głos Jasińskiego jest niski, chropowaty.

- Już poznałem pannę Krystynę - uśmiecha się do dziewczyny - jako dobrą samarytanę.

Jako wyjaśnienie, może z lekkim zażenowaniem, wyciąga opatrzoną dłoń. Wciąż w bandażu.

- Ach tak - przypomina sobie ksiądz. - Zupełnie wypadło mi z głowy, że się poznaliście. Ot, starość. - Ogarnia ciepłym spojrzeniem drugą kobietę. - I panna Marianna Borucka.

Zygmunt ponownie pochyla głowę. Może zaraz powie, że mnie też już poznał, że wtedy, na Nowym Świecie... że on... że zielony sweter... Ale mężczyzna tylko mówi zupełnie niezmiennym tonem:

- Miło mi panią poznać.

Choć jego spojrzenie - a może Mariannie tylko się wydaje - wyraża o wiele więcej.

Ksiądz Piotrowski, jakby z ulgą, że wzajemną prezentację młodych ludzi ma już za sobą, grzecznie przeprasza towarzystwo i kieruje się ku ojcu Marianny, który z uśmiechem deliberyje o czymś z doktorostwem, kilkanaście metrów dalej.

Jak dobrze, że jest tu Zenek - myśli Marianna, gdy tymczasem mężczyźni nie zamykają się usta. Nie daje im dojść do słowa. Opowiada, jak tęsknił za wsią, i że poprzednie wakacje spędzał na stażu w jakimś szpitalu - tak jak Krystyna swą muzą uczynił medycynę. Mówi o studiach i o tym, jak się cieszy, że mógł ponownie spotkać miłe "panie".

Więc on też - myśli Marianna. - On także uważa, że już nie jesteśmy dziećmi i nie wypada, by mówił nam: Marianno, Krystyno.

Czy tylko ona to dostrzega, że przyjaciółka nabiera lekkich rumieńców? A może on też jest rozemocjonowany bardziej, niż wypada osobie, która spotkała tylko stare znajome?

Na myśl o tym coś w Mariannie mięknie. Jej ukochana i tak dobra Krysia straciła głowę. Głowę, którą wolałaby pewnie położyć pod topór, niż żeby świat się dowiedział, co czuje w głębi serca do tego wesołego, młodego człowieka. A

on? Niby uśmiecha się do nich obu, ale dziewczyna wie, że ten uśmiech należy się tylko tej drugiej.

Rozmawiają o banałach, a rzeczy ważne ubierają w słowa tak, by nie stały się zbyt zasadnicze. Są piękne wakacje, upalne lato... Wszystko ma być lekkie, powierzchowne, słodkie i ulotne. Studia, maturalne egzaminy, miesiące spędzone nad łaciną, francuskim, historią, praca - dziś to nie ma znaczenia. Może urządzią jakąś wspólną przejażdżkę konną - jak tylko Zygmuntowi wydobrzeje ręka? A może piknik nad Liwcem albo wycieczkę łódką w górę rzeki - młode mięśnie poradzą sobie z prądem? Wypad do miasta, do kina? Jakiś wieczór, rozgrzany, rozedrgany nowymi emocjami, przy muzyce z gramofonu? Plany, słońce, zabawa...

Marianna słucha w skupieniu. Uśmiecha się. Zygmunt też, choć dziewczynie się wydaje, jakby trochę z góry patrzył na wesołą tyradę przyjaciela. Jest odrobinę zdystansowany, mimo że próbuje to ukryć. Jego entuzjazm jest tylko kiepskim odbiciem porywów Zenona. Ale dobrze gra. Wiejskie powietrze, wiejskie panny z dobrych domów - nawet tu można przyjemnie spędzić czas. Wakacje na łonie przyrody, bez narzuconych obowiązków - daleko od zobowiązań pozostawionych gdzieś w dusznych murach miasta.

Ale wciąż się uśmiecha, wtrąca jakieś żartobliwe uwagi do wypowiedzi przyjaciela. Może jest trochę cyniczny, ale skrupulatnie ukrywa, że czuje wyższość nad zebranymi. Jest wyniosły, ale w ten akceptowalny sposób, gdy ludzie rozmawiają ze sobą po raz pierwszy. Kiedy można to zrzucić na karb zawstydzenia.

Dyskusja schodzi na niefortunny wypadek konny - nic poważnego.

- Zygi jest świetnym jeźdźcem, mogą panie wierzyć, ale ten koń wuja, Mefisto, to naprawdę jakiś nieboski pierwiastek

w jego uświęconym gospodarstwie. Piękny, ale nie do okiełznania...

- Nie ma rzeczy nie do okiełznania, mój drogi - wtrąca przyjaciel, choć nie patrzy przy tym na Zenka. Patrzy na nią. Wyzywająco? - I następnym razem na pewno poradzę sobie z tym koniem lepiej. Po prostu mnie zaskoczył.

A więc jeśli cię zaskoczę, to mnie też nie okiełznasz? - myśli Marianna choć głośno mówi:

- Dobrze, że nic się panu nie stało. Uśmiecha się i przenosi wzrok z niej na Krystynę.

- I dobrze, że trafiłem na tak miłą sanitariuszkę. Pewnie gdyby nie ona, wykrwawiłbym się na śmierć.

- Proszę nie żartować - obrusza się Krysia, chociaż wcale nie wygląda na zagniewaną. Komplement sprawia jej przyjemność. Jasiński trafia w czuły punkt. Doktor Krystyna Wieruszewska... Jeszcze tylko kilka lat. - Rana ani trochę nie była groźna i każdy by sobie poradził z jej opatrzeniem.

Zygmunt wyczuwa wewnętrzne dobro dziewczyny i odwzajemnia się tym samym. W jego głosie brzmi ciepły ton.

- Ale pani ma w sobie powołanie, taki rodzaj empatii, który pacjent od razu zauważa. Dobrze, że wybrała pani medycynę.

- O, ja też czuję, że będę miał podejście do pacjentów - wtrąca Zenek.

- Ty, mój drogi, będziesz prawdopodobnie wybitnym rzemieślnikiem w tym zawodzie. - Śmieje się, widząc minę przyjaciela. - A pani Krystyna ma po prostu dar.

- A ty, Zygmunco - w podobnie wesołym tonie pyta Zenon - będziesz wirtuozem czy tylko drugimi skrzypcami w palestrze?

- Nie mnie to oceniać - odpowiada zupełnie już poważnie. Marianna łyka ślinę. Więc ta czapka... Emblemat. Zygmunt

Jasieński rzeczywiście studiuje prawo. Pyta ze źle ukrywanym rozdrażnieniem: - A więc jest pan prawnikiem?

Patrzy na nią i mruży lekko oczy - słońce w samo południe.

- Jeszcze nie do końca. Skończyłem co prawda studia, ale wkrótce zaczynam się doktoryzować. W najbliższej przyszłości zamierzam wykładać i poświęcić się nauce.

Dziewczyna blednie. Wykładać? Czy to możliwe?

Zenon się śmieje.

- No właśnie! W takim razie poznaj, panie Zygmuncie, swoją pierwszą studentkę. - Wskazuje na Mariannę. - Wuj mi mówił, że dostała się pani na ten zacny kierunek. Przy okazji gratuluję... No i serdecznie współczuję takiego wykładowcy jak Zygi. Jak go znam, to wycisnie z biednych studentów wszystkie soki.

Krysia w przeciwieństwie do przyjaciółki nie wygląda na zmartwioną tą niezwykłą informacją.

- Och, to wspaniale! - mówi prostodusznie. - W takim razie w te wakacje nie zabraknie nam tematów do rozmów. Prawo i medycyna. Cudownie się składa, prawda, Marie?

Ale ona nie widzi nic cudownego w tym zbiegu okoliczności. Uśmiecha się, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo rozczarowała ją ta wiadomość.

On moim wykładowcą? Wymagającym? Być może pod tą warstwą kurtuazyjnej serdeczności kryje się despota? Piękny despota... Jak to się wszystko komplikuje.

Dystans się zwiększa. Wyzwanie staje się trudniejsze.

A on się do niej uśmiecha tak, jakby wiedział, że teraz już jest jego. W ten lub w inny sposób. Jako letnia zdobycz albo jako studentka - wszystko jedno.

Jest coraz cieplej. Sukienka - taka ładna, usłana infantylnymi groszkami - coraz mocniej lepi się do jej ciała. Niech ta rozmowa już się skończy - w Mariannie narasta

złość. Usta rozciągają się w grymasie uśmiechu. Nie chce, by ktokolwiek dostrzegł, jak kurczy się pod jego spojrzeniem. By ktoś zauważył... Ma już dość na dziś. Niech wszyscy już pójdą do domu albo jeszcze lepiej - do diabła.

Do młodych ludzi podchodzi ładna kobieta w jasnej sukience i kapeluszu z dużym rondem, spod którego widać oczy takie jak u Krystyny. I te same co u córki usta - tylko u pani doktorowej uśmiech nie sprawia, że wygląda na szczęśliwą, jest gorzki. Wydaje się, jakby to była przywdziana z wysiłkiem, wystudiowana maska. Zgodna z oczekiwaną formą, niezgodna z nieczułym sercem. Matka Krystyny jest miła. Bardzo miła i sympatyczna. A zarazem bardzo zdystansowana i chłodna. Skupiona na sobie. I na swoich dzieciach - a właściwie na jednym z nich.

- Mamo, poznałaś już pewnie panów... Zenon Muszyński i Zygmunt Jasiński.

Panowie się kłaniają.

- Pani doktorowo...

Kobieta uprzejmie skłania głowę.

- Witam. Słyszałam, że spędzą panowie wakacje u księdza dobrodzieja. Zapraszam któregoś dnia do nas na obiad. - Z jej ust wartkim strumieniem, gładko, płyną kurtuazyjne frazesy. - Muszę niestety porwać panom towarzyszki.

Znowu ukłony. Z obu stron padają pozdrowienia i życzenie szybkiego, ponownego spotkania.

Tłum pod kościołem powoli rzednie. Grupki się rozchodzą, dzieci już - zmęczone upałem - nie biegają, powozy podjeżdżają przed bramę kościoła.

- Dziewczynki, będziecie mogły porozmawiać przy obiedzie - mówi pan Aleksander, widząc zbliżającą się doktorową wraz z Krystyną i Marianną. - Państwo doktorostwo przyjęli moje zaproszenie na obiad.

Marianny jakoś to nie cieszy, choć zwykle lubi owe niedzielne wizyty gości w ich domu. Gwar. Dziś wolałaby zaszyć się w swoim pokoju. Pomyśleć o nim.

Poniedziałek. Upał i nuda. Marianna co chwilę wchodzi do kuchni po kolejną porcję lemoniady, a Zosia wytrwale przynosi panience lodu z piwnicy, która kryje się pod kuchenną podłogą. Za każdym razem, przy podnoszeniu ciężkiego drewnianego włazu służąca wymownie stęka, poci się. Ostatnio przybrała nieco na wadze, a jej młoda, ładna dotąd buzia pod wpływem upału wydaje się chorobliwie opuchnięta. Cienkie, mysie włosy przyklejają się do bezkształtnych policzków.

Mariannę irytuje widok zmęczenia bijący od dziewczyny. Coś ją drażni w ociężałych ruchach tamtej. W sposobie, w jaki niezgrabie schodzi na dół, po kolejną i kolejną porcję wydartych z zimnej bryły oszronionych kawałków. Ale bez litości prosi o jeszcze i jeszcze... A potem łapczywie gasi pragnienie, choć ten lód wcale nie przynosi ukojenia, gdyż żar wcale nie leje się z nieba. Tkwi w niej. Trawi ją od środka. Wywołuje niepokój i trudne do zniesienia zniecierpliwienie - młodość nie znosi stagnacji. Marianna ma wrażenie, jakby żyła w ciągłym oczekiwaniu. Na miłość. Na dorosłość. Nadal czeka.

Po południu ojciec zabiera Michała do stajni, Gabriela, korzystając ze słonecznej pogody, zarządza pranie. Nadzoruje je - żeby tylko praczki nie powyciągały szydełkowych firanek. Więc na tyłach domu ich rozpięty na trawie ażur misternie przypina szpilkami do dużych płaszczyzn papieru. Porozkładane na trawniku białe pranie wygląda niczym śnieg. Ale w duszy Marianny nie ma śladu zimy.

Czeka na wiadomość. Na znak. Przecież on też z pewnością chce ją zobaczyć. Na pewno. Widziała to w jego oczach...

Z utęsknieniem patrzy przez otwarte okno w kierunku drogi. Bezustanne brzęczenie owadów nie pozwala jej na niczym się skupić. Jest tylko ta droga... I oczekiwanie na informację, która przecież musi wkrótce nadejść. „Chodź do mnie” - jedno zdanie, jak mantra, przepływa jej przez głowę. Wypowiada je bezgłośnie, choć ma wrażenie, że słowa niosą się nad polami, porwane przez rozgrzane powietrze. Płyną szybko i docierają przez przymknięte okiennice, wprost do gościnnego pokoju w białym budyńeczku plebanii. I dziewczyna widzi pod współprzymkniętymi powiekami, jak on leży na otomanie. Jak powoli odkłada książkę, podchodzi do okna. Rozchyła na oścież skrzydła okiennic. I słucha. Słucha jej nawoływania. Więc Marianna dalej czeka, ale wie, że nie na marne.

Nareszcie...

Kłęby kurzu wzbijają się nad drogą. Przez drzewa rosnące wzdłuż traktu nie widać, kto dosiada konia. Ale Marianna wie, że przecież nie może to być „on”. Nie wypada mu tak bez zapowiedzi odwiedzać obcego domu. Kto więc przyniesie wiadomość?

To koń ze stajni doktora Wieruszewskiego. Srokaty. Tak charakterystyczny, że dziewczyna rozpoznaje go pomimo odległości. Jeździec się zbliża. Wysoki blondyn. Szczupły. Twarz równie anielska, jak u Krysi.

Marianna podrywa się z miejsca. Chce pierwsza przywitać Stefana. Wybiega przed dom w momencie, gdy miody człowiek zeskakuje z siodła.

- Witaj, Marie. - Ma ten sam ciepły ton głosu co młodsza siostra. I tę samą łagodność ruchów, łagodność usposobienia. Mariannie zawsze wydawał się mało męski. Miły, ale nijaki. Dobry, ale nudny. Pociąga go w życiu to wszystko, czym dziewczyna gardzi. Praca na roli. Studia nad uprawą, plonami, nowoczesną techniką agrarną. Rodzice powinni być dumni z

naukowych planów córki, a jednak to Stefan zajmuje pierwsze miejsce w ich sercu. Krysia to tylko dziewczynka. Mądra dziewczynka, ale płęć stawia ją w uczuciowej hierarchii rodziców na drugim miejscu.

Marianna wita gościa, tak jak ją nauczono. Kulturalnie, z uśmiechem. Zaprasza do środka.

- Ojciec z Michałem są w stajni - zagaja rozmowę.

Wie, że Stefanowi, bardziej niż z nią, zależy na spotkaniu z panem Boruckim. Zawsze mają sobie tyle do powiedzenia. Pan Aleksander bardzo lubi syna swoich przyjaciół. Widzi w nim pokrewną duszę. Zawsze o nudnych rolniczych sprawach rozprawiają, jakby to były zagadnienia co najmniej filozoficzne. Mariannę niewiele te kwestie obchodzą, więc i z tym młodym mężczyzną nie ma wspólnych tematów. Jest młodsza od niego o osiem lat. On już nie jest chłopcem. Jest mężczyzną. Ona dopiero ma stać się kobietą. O czym mieliby rozmawiać? Ale ich relacje są poprawne. Nie wylewne, ale serdeczne.

Prowadzi gościa do saloniku. Woła Zosię. Dziewczyna przynosi dodatkową szklanę, dodatkowy lód.

Młody człowiek upija łyk lemoniady. Uśmiecha się do Marianny.

- Rzeczywiście mam się spotkać z panem Aleksandrem, ale gdy się Krysia dowiedziała, że u was będę, poprosiła, żebym przekazał ci list.

Uśmiecha się z pobłażaniem - ach te banalne, dziewczęce tajemnice.

Wręcza Mariannie malutką kopertę. Dopija zimny, słodko - kwaśny płyn i wstaje. Jego rola posłańca dziecięcych ploteczek dobiegła końca. Koniec głupot. Teraz czas na rozmowy z dorosłymi.

- Mówisz, Marie, że twój tato jest w stajni? Pozwolisz, że teraz do niego pójde?

Pytanie jest czysto retoryczne. Stefan wstaje. Marianna podaje mu dłoń. Dziękuje za przesyłkę. Odprowadza do drzwi. Mężczyzna łapie konia za uzdę i odchodzi w stronę zabudowań gospodarskich, schowanych przed jej wzrokiem za wysokim pasmem dawno przekwitłych bzów.

Liścik pali ją w rękę, ale Marianna z uśmiechem odprowadza wzrokiem gościa, póki ten nie zniknie jej z pola widzenia.

Nie wchodzi nawet do domu, na ganku, szybko, niecierpliwie rozrywa kopertę. W środku znajduje krótki tekst skreślony drobnym pismem Krystyny.

Czy miałabyś ochotę na piknik nad rzeką? Na pewno! Jutro po śniadaniu Cię porwiemy.

My?

Pan Zenon ze swoim przyjacielem wezmą bryczkę od księdza Piotrowskiego. Poproś koniecznie ojca o zgodę. Chyba nie będzie miał nic przeciwko? Bądź gotowa o dziesiątej. Twoja Krysia.

A więc „on”.

Szeroki uśmiech wypływa na twarz Marianny. Wiedziała! Wiedziała, że to lato będzie inne. Wyjątkowe.

Niemal nie dotykając nogami ziemi, biegnie na tyły domu. Dwie młode dziewczyny, niewiele starsze od niej, schylone nad baliami pełnymi mydlin, z kropelkami potu na czole, energicznie trą na tarze białe prześcieradła. Czerwona na twarzy ze zmęczenia Zośka donosi z domu kolejne porcje bielizny. Gabriela schylona nad firanką walczy z każdą niteczką, by koronkowe sploty zachowały kształt. Na widok rozpromienionej Marianny z wyraźnym trudem zmęczonych kolan podnosi się znad rozpostartych na ziemi firanek.

- A co panna Marianna taka wesola? - pyta i również się uśmiecha. Kocha tę dziewczynę jak własną córkę...

- Gabrysiu! Jutro wybieram się na piknik z Krystyną.

- Sama? Z panną Krysią? - Gospodyni przygląda się zarumienionej dziewczynie z powątpiewaniem. Wie, że wraz z wakacyjną wizytą Zenona u wuja także w ich domu zagości więcej letnich rozrywek.

- Ależ naturalnie, że nie tylko z Krysią. Pan Zenon nas zaprasza. - Marianna nie wymieni imienia tamtego. Jego jutrzejsza obecność rozumie się sama przez się.

Gabriela z uśmiechem kręci głową na tę nieukrywaną radość swojej podopiecznej. Niech się młodzi bawią. Zenek to porządny chłopak. Siostrzeniec księdza.

- No to przygotuję coś na tę wyprawę. Możesz być spokojna. A ojciec już wie? - pyta, ale zdaje sobie sprawę, że pan Aleksander nigdy nie odmówi córce przyjemności. Cóż może być złego w takim niewinnym spotkaniu młodych?

- Och, tatko na pewno nie będzie miał nic przeciwko - rzuca ze zniecierpliwieniem dziewczyna, jakby czytając w myślach gospodyni.

I nie ma.

Kiedy, podczas podwieczorku, Marianna prosi go o zgodę na jutrzejszą wycieczkę, pan Aleksander bez sprzeciwu się zgadza. „To wspaniały pomysł” - stwierdza. Ale... Jest jedno „ale”. Dziś córka spędzi resztę dnia z babcią Leokadią. Trzeba i staruszce umilić ten upał.

Dziewczyny nie cieszy ta perspektywa, choć przed ojcem do tego się nie przyzna. Przyjmuje prośbę pokornie, bez sprzeciwu. Dla jutrzejszej przyjemności jest w stanie poświęcić dzisiejsze popołudnie.

Okna pokoju babki wychodzą na wschód. Promienie po południu już tu nie wpadają. Upał wydaje się bardziej znośny. Panuje nawet delikatny chłód - chociaż Marianna ma wrażenie, że nie wywołuje go wcale brak słońca.

Starsza pani ma kredowobiałą skórę twarzy, a jej dłonie pokrywa siateczka grubych żył. Długie, rzadkie, zupełnie siwe

włosy upięte ma według mody, która dawno już przeminęła, a ciemna suknia obleka nazbyt chude ciało. Babka, kiedyś naprawdę piękna kobieta, zawsze była przesadnie szczupła - całe życie o to bardzo dbała - ale teraz, kiedy starość odebrała jej ciało sprężystość, jej wiotka figura wydaje się Mariannie niemal bez życia. Jest w niej coś trupiego.

Pokój wypełnia wiele pamiątek. Stare zdjęcia. Obrazy tych, którzy już dawno odeszli. Bibeloty, wiekowe dywany - smutne świadectwo przemijania. W powietrzu czuć chorobę, starość. Jej charakterystyczny zapach, którego nie da się zmyć z ciała, który wnika w ściany, zasłony, przesyca powietrze. Nie są go w stanie zabić nawet perfumy o zapachu konwalii.

Marianna wchodzi z tacą, na której Gabriela ustawiła talerzyki z podwieczorkiem, filiżanki, dzbanek z herbatą, ale dziewczyna wie, że mimo jej namowy babka nie tknie ciasta. Tak jakby jego słodycz mogła zbyt wypełnić wysuszone ciało. Jakby mogła za bardzo nasycić je życiem. A starsza pani już chyba nie ma ochoty na życie. Nie ma już ochoty na nic. Na tę wizytę wnuczki również nie. Wie, że Marianna za nią nie przepada i to uczucie jest odwzajemnione. Krnąbrna dziewczyna, której się wydaje, że dzięki studiom może równać się z mężczyznami... A do tego przecież nigdy nie dojdzie. I na co jej ta nauka, ta wiedza? Kto chciałby się radzić kobiety prawnika? Niedorzeczne. Poza tym wiedza otwiera oczy, pozwala zbyt wiele zrozumieć. Lepiej być ptaszkiem urodzonym w klatce... i pozostać w niej przez całe życie. Tak jak ona, Leokadia - ona wiedziała, gdzie jest jej miejsce i nigdy nie rozpaczała za tym, co nieosiągalne. Lubiła swoje więzienie, w którym sama zbudowała niewidzialne kraty. Czowała się w nim bezpieczna. Znała swój los i powołanie: być matką i poświęcić się rodzinie. I Ojczyźnie! I Bogu.

Świat należał do mężczyzn, więc jej serce należy tylko do Aleksandra i Michała. Szczególnie do wnuka. To on zanieś jej nazwisko dalej. Cóż może dziewczynka? Cóż one, kobiety, znaczą? Marianna też nie znaczy wiele, choć na razie próbuje z tym walczyć. Dla prawdziwej Polki istnieje tylko Bóg, Rodzina i Ojczyzna. Dla kobiety nie ma ucieczki, nie ma alternatywy. Im wcześniej wnuczka to pojmie, tym mniej zaboli ją rozczarowanie.

Marianna siada vis - à - vis szezlongu, na którym wpołleży babka. Nalewa herbaty. Podaje ciasto. Starsza pani trzyma talerzyk w rachitycznej dłoni usianej ciemnymi plamami. Nawet lata noszenia rękawiczek nie ochroniły ich przed nieubłagalnym upływem czasu, przed biologicznym przymusem obumierania ciała. Kobieta dziobie srebrnym widelczykiem świeżo upieczony owocowy placek, aż ze środka wypływa strużka czerwonego syropu. Rozdarte ciasto krwawi.

- Lepiej dziś się babcia czuje?
- Czuję się okropnie. I ten upał...

Na talerzu rośnie góra krwawych okruszków, z których żaden nie trafia do zaciśniętych, przywiedłych ust.

- Nigdy nic dobrego z takiej pogody się nie rodzi.
- Mówi babcia o plonach?
- Mówię o wojnie.

Marianna unosi wzrok znad swojego niemal pustego już talerzyka i studiuje z zaciekawieniem grubą zmarszczkę zdobiącą pożółkłe czoło.

- Co też babcia opowiada? Żadnej wojny nie będzie. Mamy wojsko, sejm.

- Będzie, będzie. - Kładzie chudą dłoń na stosie gazet leżących na stoliku. - Ty jesteś za młoda. Nabijasz sobie głowę jakimiś nowomodnymi bzdurami. Świat się nie zmieni tylko dlatego, że kilku skrzywionych literatów napisze jakiś

obrazoburczy tekst. Żadnego przewrotu moralnego nie będzie. To utopia. W naszym kraju jedyne trzęsienia ziemi wywołuje wojna...

Marianna unosi brwi. Co Leokadia może wiedzieć o emancypacji, równości płci, wyzwoleniu obyczajowym? Przecież wciąż intelektualnie tkwi w czasach przed tamtą, Wielką Wojną, w czasach swojej dawno utraconej młodości. Skostnienie myślowe miesza się u niej z zapachem naftaliny... Mąci jej w głowie. A przecież wszystko się zmienia...

- Jesteś za młoda. Zbyt naiwna. I nic nie rozumiesz. Wiele już było przed tobą i wiele będzie po tobie takich głupiutkich kobietek, co chciały zmiany. A i tak wszystko zostanie po staremu. Jedyne siła w tym kraju to wiara. Katolicka, nie żadna protestancka czy - nie daj Boże - mojżeszowa. - Babka wykrzywia usta w niesmaku. - Nie czytasz tego, co ważne. Tylko te twoje tygodniki. Literackie banialuki. Myślisz, że nie wiem, że jestem stara i nie widzę. Społeczne rewolucje... Spiesz ci się do przewrotu. Do zmian, których ani ja, ani ty nie doczekamy. Skupiasz się na jakichś wywrotowych conceptach. A ja ci powtarzam: tylko dom i rodzina - to jedyna droga dla kobiety. Spalisz się w tym swoim młodzieńczym ogniu. Ale zobaczysz, Marie, ja się nie mylę. Siedzę w tym pokoju, ale wiem, co dzieje się na świecie. Czytam wszystko... - Stuka widelczykiem o porcelanę. Wysoki dźwięk wypełnia pokój.

Czego ona szuka w tym cieście? Sensu swojego gasnącego życia? Mariannę wyprowadza z równowagi to marnotrawstwo. Gabrysia robi takie wspaniałe wypieki...

- Oczywiście tu nic nie piszą. Uspokajają. Że Hitler to nacjonalistyczny głupiec, że nasze wojsko to siła. I nie będzie nam jakiś zakompleksiony, rozkrzyczany Prusak odbierał tego, co się Polakom słusznie należy. Że się nie odważy. Dopiero co jednego łupnia dostali. Jeszcze się nie pozbierali

po osiemnastym roku. Aleja wiem swoje. To mydlenie oczu. Ja wiem...

- Nic się, babciu, złego nie wydarzy. Przecież...

- A tam, Marie. - Macha ze zniecierpliwieniem ręką. - Co ty możesz wiedzieć? Takie anomalie pogodowe, choćby te upały - to zawsze przynosiło w naszym kraju jakieś nieszczęścia.

Marianna odstawia pusty talerz na stoliku i bierze pierwszą leżącą na sporym stosie gazetę. Zaczyna bezmyślnie przerzucać strony, ale jej uwagę bardziej przyciągają krzyżące reklamy kremów, usług szewskich i proszku do prania niż doniesienia o nedorzecznej wojnie, której w tym domu daje wiarę tylko Leokadia.

- Babcia mówi, jakby wierzyła w takie zabobony: upały, komety, a to katoliczce nie przystoi. - Patrzy na babkę spod spuszczonej rzes. Czy starsza kobieta się obruszy na ten cynizm, na jawne podważanie jej wiary?

Ale staruszka nie reaguje na impertynencje dziewczyny. Od dawna słyszy tylko to, co chce usłyszeć, i widzi tylko to, co chce zobaczyć. A wszystko już widziała i wszystko wie... W gasnącym życiu osobiste sądy wydają się jej jedynymi nieomylnymi. Ostatecznymi. I cóż jej przeczucia mają do głębokiej, bogobojnej wiary? To nie zabobony, to doświadczenie podpowiada Leokadii, że wkrótce znowu ukochany kraj dotknie coś strasznego. Tyle już lat bez wojny minęło... Polska tylko ciemieżona potrafi wyzwolić w sobie siłę. Tylko w momentach zagrożenia zapomnieć o waśniach. Zjednoczyć się. Zatrzymać w biegu. Powrócić do chrześcijańskich wartości. A teraz co? - przygląda się młodej, głupiutkiej dziewczynie, swojej wnuczce, której po głowie błąka się jakaś idee fixe. Irracjonalna myśl o emancypacji. Do czego ten świat zmierza? W gazetach piszą o aborcji, o świadomym macierzyństwie. Cywilne rozwody - nie do

pomyślenia! Żeby zmieniać odwieczne prawo i pozwolić na łamanie słowa danego jemu! Co Bóg złączył... A tu co drugi wiary się wyrzeka. Lawina protestantów. Tylko po to, by kochankę zrobić żoną. I to wszystko na oczach opinii publicznej. Pobożnego społeczeństwa. Jakby nie można wszystkiego zostawić po staremu. Jeśli mężczyzna chce mieć na boku inną kobietę, to niech ją ma - jak świat światem, zawsze tak było - ale żeby od razu brać rozwód? Z nałożnicy robić żonę!? W majestacie prawa, Boga... Żle się dzieje w jej ukochanym kraju. Więc musi być wojna. Żeby wszystkim oczy otworzyć. Żeby do Boga powrócili.

Marianna doskonale wie, o czym myśli Leokadia. Ale już nie zamierza polemizować. Jaka wojna? Trzeba ruszyć tę skamieniałą bryłę, jaką stała się ich ojczyzna. Trzeba tyle zmienić. Niech no tylko Marianna zacznie studia. Będzie wyzwolona jak skamandryci, liberalna w swoich sądach, jak Boy, Krzywicka czy Nałkowska, których czyta w ukryciu przed czujnym spojrzeniem dorosłych. Marianna chce być wolna. Bez tych wszystkich pruderyjnych kłamstw o świecie, o człowieku. Wojna już trwa. Wojna moralna, o prawa słabszej płci, o jej równouprawnienie, o nowy wymiar etyczny skostniałego świata. To walka - na razie - podziemna, o której takie dziewczęta jak Marianna mogą czytać w zakazanych książkach, w nieodpowiednich dla ich pozycji gazetach. Batalia, o której się dopiero szepcze na warszawskich salonach. Ale nie tu, w Kamieńczyku. Tu jedyny szept to ten, który roznosi się w niedzielę w murach kościoła. Szept modlitwy o utrzymanie starego ładu. Ale ten ład wkrótce zostanie zakłócony. Teraz niepotrzebna jest żadna inna wojna...

Babka powoli sączy herbatę. Rozsmakowuje się w niej. Mariannie wydaje się, że Leokadia żyje już tylko dzięki tej herbacie. Gorzkiej jak ona sama. Jej organizm prawie nic

innego nie przyjmuje. Żyje bez słodczy ciasta. Bez ukrytych w domowych potrawach aromatów lata, wiosny, jesieni...

Mają sobie tyle do powiedzenia, ale milczą. Starsza kobieta dlatego, że nie potrafi zaakceptować, iż wnuczka ma już poglądy - i to tak różne od jej własnych. A młodszą, bo chciałyby wykrzyczeć babce swój bunt, ale wie, że jej argumenty napotkają mur. Po co więc w ogóle się odzywać?

Leokadia podaje dziewczynie trzymane na kolanach pismo - piątkowy „Kurier Warszawski”. Na tę zapomnianą wieś nawet gazety przychodzą z opóźnieniem - myśli z przekąsem Marianna.

- Poczytaj mi. Ostatnio znowu gorzej widzę.

Ze wzrokiem babki jest wszystko w porządku, ale może słowa, które musiałaby wypowiedzieć sama, Marianna lepiej przyswoi, czytając je głośno.

Przez następną godzinę w pokoju słychać tylko cichutkie stuknięcia filiżanki o spodek i monotony głos dziewczyny. Jest spokojna, choć jej wewnętrzny głos zupełnie się nie zgadza z konserwatywnym obrazem świata, jaki kreuje się w podetkniętym jej dzienniku. Marianna wie, że ta rzeczywistość istnieje równoległe do tej jedynej, prawdziwej, w którą wierzy ona. Obraz, jakim karmi ją Leokadia, jest tylko martwym wierzchołkiem nadal uspiętego wulkanu. Choć w jego środku lava już wrze. A wkrótce się wyleje.

Rozdział III

Krystyna

Poranek jest chłodny, ale niebo zupełnie bezchmurne. Pogoda stroi sobie żarty, dając na moment odrobinę wytchnienia od upału. Ale to tylko przygrywka przed kolejnym parnym popołudniem. Zanim Marianna zdąży się umyć i uczesać, przez otwarte okno znowu zaczyna napływać rozgrzana fala. To będzie wyjątkowy dzień. Od dawna wyczekiwany. Inny. Pierwszy...

Starannie układa swoje modnie ścięte włosy. Wkłada letnią, jasną sukienkę. Tak cienką, że słońce bez trudu odsłoni cień jej długich nóg i to wszystko, czego mężczyźni nie powinni zobaczyć, p co ona chętnie im pokaże. Bo Marianna jest młoda, bardzo piękna i pewna swej urody. Nie zamierza się wstydzić. Nie nałoży nawet halki - choć pewnie Gabriela najchętniej ubrałaby ją na tę dzisiejszą wycieczkę w gorset, a może i w bardzo praktyczne pantalone, ale to już nie te czasy...

Z satysfakcją przegląda się w lustrze. Podoba jej się to, co widzi. Złote kosmyki okalają świeżą twarz. Uśmiecha się do siebie z satysfakcją. Jemu też się spodoba.

Podczas śniadania je niewiele. Wesóło rozmawia z ojcem. Ani razu nie strofuje brata. Żartują - co zdarza się rzadko. Gabriela przygląda się dziewczynie badawczo. Jej kobiece oczy widzą więcej niż rozkochane pocziwego ojca. Widzi, jak Marianna rozkwita, ale ta przemiana wcale nie wzbudza w niej radości. Czuje strach i nadciągające zagrożenie. Przecież ona też była kiedyś równie młoda, naiwna. Tak niebezpiecznie nieroztropna. Marianna musi na siebie uważać. Gabriela musi uważać na Mariannę. Oby męskie towarzystwo nie było dla jej podopiecznej tak zgubne, jak kiedyś dla niej... Choć to było już tak dawno. W innym życiu. Tak odległym, że niemal nierzeczywistym.

Ale Marianna nie dostrzega tego zagadkowego wyrazu na twarzy gospodyni. Jej myśli błądzą już nad brzegiem skąpanej w promieniach słońca rzeki. Kielkująca dorosłość jawi się jej jako wspaniała, pełna emocji wyprawa w nieznane. Niczego się już nie boi. Pewne sprawy muszą przybrać taki obrót, jaki sobie wymarzyła. A „on” jej w tym musi pomóc. Pokazać.

I znowu czekanie. Czemu ten czas tak się wlecze?

Czy świat nie widzi, jak Marianna na niego czeka? A może to świat czeka na Mariannę? Na pewno... Głowę ma pełną młodzieńczego przekonania, że wszystko należy teraz do niej.

Jeszcze tylko Gabriela wciska jej w rękę kosz pełen smakołyków - komu chciałoby się jeść w taki dzień!? Upomina dziewczynę, by nie siedziała za długo na słońcu i by nie kąpała się przy mężczyznach, bo to nie wypada.

Nie wypada - myśli Marianna i wie, że właśnie to powinna zrobić.

Przyjeżdżają punktualnie. O dziesiątej słychać odgłos końskich kopyt na drodze. Ojciec odprowadza córkę przed dom. Z wysokości ganku patrzą na gości okrążających klomb pełen kwiatów. Żwir podjazdu chrzęści pod kołami otwartej bryczki.

Powozí on, choć nadal na jednej ręce jaśniej mu opatrunek. Z tyłu roześmiana para. Krystyna. Zenon. I ten czwarty - Stefan.

W roli przyzwoitki - myśli z rozbawieniem Marianna. Wie, że brat przyjaciółki nie wybrał się na wycieczkę dla przyjemności.

Zapewne wolałby spędzić ten - w jego mniemaniu zmarnotrawiony czas - na dywagacjach o żniwach i trzodzie. Ale ktoś przecież musi mieć baczenie na panienki. Nudny Stefan... Jego obecność niczego nie zmieni.

Marianna patrzy na wesołą kompanię i przez chwilę czuje ukłucie zazdrości. Przyjaciółka już, od co najmniej kwadransa, przebywa w ich towarzystwie. Gdy tymczasem ona, Marianna, wciąż czeka, wypatruje. I marzy...

Ale to wrażenie szybko mija. Z marsem na twarzy nie wygląda się dobrze. Jej usta rozpromienia uśmiech.

Panowie zeskakują z powozu. Zenon podaje dłoń zawstydzonej Krystynie. Ojciec wylewnie wita przybyłych. Prosi, by uważali na panienki. I nie szarżowali w rzece. Życzy udanej zabawy.

- Do zobaczenia podczas kolacji - żegna córkę.

Młodzi ludzie z powrotem wsiadają do powozu. Pan Aleksander długo macha za nimi ręką, nim zasłoni ich tuman kurzu. I tylko jedne oczy, skryte za kuchenną firanką, odprowadzają rozbawione towarzystwo z cichą obawą.

Marianna go nie widzi. Czuje tylko za plecami ciepło jego ciała. Podczas szybkiego powitania nie zdążyła nawet na niego popatrzeć. A może to i lepiej? Może jej spojrzenie zdradziłoby zbyt wiele? A przecież obok stał ojciec. Choć on chyba tego nie zauważył? Zapewne w swojej naiwności wciąż widzi w córce tylko małą, bezbronną dziewczynkę, która przecież nie może patrzeć na mężczyznę pożądliwie. Nie dostrzega, że ciało jego córki się zmieniło, że już nie jest ciałem dziecka.

Teraz świat ucieka jej spod nóg. Drzewa, łąki - wszystko umyka. Obok, tyłem do powożącego siedzi Stefan. Z widocznym trudem się uśmiecha. Analizuje kłosa pszenicy porastające mijane pola - wkrótce trzeba będzie je skosić. Marianna patrzy przed siebie, na Krystynę, Zenka. Wyglądają razem tak ładnie. Przyjaciółka nienaturalnie zaróżowiona na jasnych policzkach - emocje odcinają się od pszenicznych włosów splecionych w koronę nad gładkim, młodym czołem. Zenkowi nie zamykają się usta. A „on”? Tamten, za jej

plecami - milczy. Skupiony na powożeniu albo na własnych myślach.

Słońce wisi wysoko nad głowami, choć nie ma nawet południa - pali niespokojnym ogniem.

Ale już tylko chwila i poczują ukojenie. Liwiec pachnie dzisiaj tak intensywnie... Jego woń roznosi się daleko, wisi nad łąkami. Otacza ich mdła woń sitowia, drażni intensywny aromat mięty. Jadą ścieżką wzdłuż rzeki, szukając najdogodniejszego miejsca.

W końcu słyszą głos Zygmunta:

- Prr!

Koń posłusznie przystaje pod wierzbą płaczącą. Szuka ochłody w plamie cienia. Sierść zwierzęcia błyszczy w słońcu padającym przez gałęzie drzewa.

- Czy odpowiada paniom to miejsce? - pyta Zenon, patrząc na Mariannę.

- Cudowne - odpowiada Krysia.

Zenek odwraca się z uśmiechem w jej stronę. Podnosi się, zeskakuje na ziemię i wyciąga dłoń w kierunku dziewczyny.

- Pani pozwoli.

Krysia wygląda tak niewinnie - kobieta o twarzy dziecka. Promienie rozświetlają jej jasną głowę. Rumieni się.

Marianna czeka na dłoń Stefana, ale „on” go wyprzedza. Szybko zeskakuje z kozła i już stoi przy dziewczynie. Bez słowa wyciąga ramię w jej kierunku. Uśmiecha się. Inaczej niż poprzednio

- ciepło, zachęcająco, bez cienia tej wcześniejszej drwiny, która dotąd nie schodziła z jego ust.

Ona chwyta delikatnie podaną rękę - jest duża, ciepła, silna. Ten krótki dotyk długo czuje na swej dłoni. Stefan powoli wstaje z ławki i zeskakuje z drugiej strony.

- Panie wybiorą miejsce na piknik, a my weźmiemy kosze. - Zenek łapie za wypchane po brzegi koszyki, Stefan zabiera koce, Jasiński mocuje lejce do drzewa - mogą iść.

Wybierają ocienioną polanę, nieopodal, przy samym brzegu rzeki. Jej nurt mają na wyciągnięcie ręki. Przed nimi rozciąga się wspaniały widok na łąki, sosnowy las po drugiej stronie, złote wydmy... Liwiec płynie leniwie. Marianna mruży oczy. Wszystko staje się nieostre. Blask wody wydłuża się pod jej powiekami, nabiera barw. Niczym nitki tęczy.

Krysia z Zenkiem zajmują się rozłożeniem koców, wyjmują jedzenie, wino - być może nawet z zasobów księdza Piotrowskiego. Mszalne?

Marianna zrzuca buty. Nie oglądając się za siebie, przebiega po trawie, po rozgrzanej plaży, wchodzi do rzeki. Nurt jest tu łagodny, spokojnie obmywa nogi, ale woda wcale jej nie chłodzi. Patrzy na swoje stopy znikające w szarym piasku dna. Promienie słońca odbijają się od tafli wody, pełzają po jasnej sukience. Wie, że Zygmunt ją obserwuje, czuje na plecach jego spojrzenie. Słońce odbija się od tafli. Bezwstydnie kreśli cień jej ciała na sukience.

Niech patrzy - myśli i już jest pewna, że ten mężczyzna będzie jej. Że bez względu na wszystko zdobędzie jego serce. Jego piękne ciało. Zawładnie duszą. Nie uda im się uciec przed przeznaczeniem.

Szmer wody, szmer rozmów miesza się ze śmiechem Krystyny, która idąc w ślady Marie, staje tuż obok.

- Wspaniale. Cudowny widok, prawda?

- Tak... - mruczy i delikatnie się przeciąga - jest wspaniały.

Przyjaciółka nie rozumie dwuznaczności. Uśmiecha się i przybliży twarz do ucha Marianny.

- Podobasz się panu Zygmuntowi.

- Czemu tak myślisz? - Unosi brew i odwraca głowę w stronę cichego szeptu.

- Pytał o ciebie po drodze. Niby mimochodem, niby od niechcienia, ale wyczułam... Wiesz, on sprawia wrażenie, jakby jednak pamiętał to nasze przelotne spotkanie w Warszawie. Gdy opowiadałam mu o tobie... Może się mylę?

Na pewno nie.

- Ale, Marie, powinnaś uważać. On jest miły, szarmancki i bardzo bezpośredni - może nawet za bardzo - ale jest w nim też coś takiego...

Niebezpiecznego?

- Coś, co sprawia, że się go obawiam. To nie jest typ słodkiego chłopca jak...

- Zenek?

- Na przykład Zenek.

Bo to nie chłopiec, naiwny głuptasie.

- No i to trochę dziwne, że macie się spotkać w październiku, jako studentka i wykładowca.

Mam to w nosie,

Krysia przechyliła głowę i głębiej spogląda w oczy przyjaciółki.

- Czemu nic nie mówisz? Zmartwiłam cię? Och wiem, za dużo mówię. To przemiły człowiek... Tylko martwię się o ciebie. Jesteś jakaś milcząca, odmieniona...

Marianna łapie dziewczynę za rękę, lekko przyciąga ku sobie i całuje w policzek.

- Ach, to nic! Po prostu się zamyśliłam. Rzeczywiście jest tu tak pięknie. - Nachyliła się do ucha koleżanki. - O nic się, Krysiu, nie martw. Przecież mnie znasz. Wiesz, że jestem rozsądna. Aż za rozsądna... ..wbrew sobie.

Krystyna głęboko wzdycha, ale pionowa zmarszczka na jej czole się wygładza, na usta wraca uśmiech.

- Wiem, wiem, ale czasami mi się wydaje, że masz diabła za skórą i on tylko czeka, żeby spod niej wyskoczyć.

Jak bardzo nie doceniałam twojej przenikliwości - myśli i głaszcze trzymaną rękę.

- Bądź spokojna. Dziś postaram się być poprawna niczym babka Leokadia i wzorowa jak Gabrysia. A teraz chodź. Widziałam wino z kościelnej zakrystii i chętnie wygonię tego demona, o którym wspomniałaś.

Śmieją się obie.

- Jesteś zupełnie nieznośna, Marie.

Przysiadają na kocu, obok mężczyzn. Krystyna między bratem a Zenonem, Marianna obok Zygmunta. Nagle jest tak blisko. Mogłaby wyciągnąć rękę i dotknąć tych połyskujących, czarnych włosów, przesunąć dłonią po szczupłej twarzy. Pod skórą, mimo że mężczyzna jest gładko ogolony, rysują się maleńkie kropeczki silnego, ciemnego zarostu - tak chciałaby poczuć jego szorstkość... Coś w środku niej drży. Jego ciało - czy to możliwe, żeby tak intensywnie czuć zapach ciała drugiego człowieka? Żeby tak bez trudu wyłuskać go spośród wszystkich innych?

Od niechcienia, delikatnie podsuwa się bliżej. Bezwiednie oblizuje wargi - tak bardzo chce jej się pić.

- O czym panie tak debatowały? - z zamyślenia wyrywa ją głos Zenona.

Krystyna już otwiera usta, ale Marianna jest pierwsza.

- O polityce - wypala. Kłamstwo gładko przechodzi jej przez gardło.

Spojrzenie Zygmunta staje się czujniejsze. Uwierzył? Patrzy na nią pytająco.

- O polityce? - Jego twarz rozjaśnia uśmiech niedowierzania. Oczy Krysi ozdabia wyraz słodkiego zdziwienia, ale nikt tego nie widzi. Wszyscy patrzą na Marie.

- A co za problemy polityczne mogą roztrząsać takie młode damy? - Owe „damy” brzmią w jego ustach prześmiewczo. Czy tylko jej się tak wydaje?

- A w czym młode damy różnią się od młodych dżentelmenów? - Kładzie nacisk na „dżentelmenów”. - Czy jedynie panowie mają monopol na takie rozmowy? Czy kobieta nie może mieć poglądów, przemyśleń? - Małe kłamstwo urasta do rozmiarów życiowej filozofii. Marianna już nie zamierza zawracać.

Zygmunt wciąż wnikliwie przygląda się dziewczynie, ale nie odpowiada. Może szuka fałszywej nuty w jej głosie? Mruży oczy. Z jego ust wciąż nie schodzi ten specyficzny uśmiech. Rozbawienia? Wątpliwości?

- ...Czy dwie młode kobiety może zajmować tylko garderoba, wierszyki dla pensjonarek albo kwestie obiadu lub prania?

- Widzę, że z pani feministka. - Zygmunt zabawnie unosi brew.

Patrzą na siebie. Rozmawiają bez słów. Ona już wie, już czuje... Padają zdania, które nic nie znaczą dla postronnych, ale Marianna rozumie, że on tylko się z nią drażni, że będą mieli o czym rozmawiać, że myślą podobnie. Są jak dwie bratnie dusze, które dzieli tak wiele, a przyciąga do siebie wszystko.

Zenek, korzystając z chwili ciszy, podaje dziewczętom kieliszki połyskujące krwistą czerwienią. Marie, nie wahając się ani chwili, zanurza usta w lekko cierpkim płynie. Krystyna, pod spojrzeniem brata, tylko symbolicznie zamacza wargi. Nie pije. Cerber pilnuje. A nawet gdyby nie pilnował, to czy to prawe dziecko tknęłoby alkohol? Przez głowę Marianny przebiega zabawne wspomnienie, gdy nieopatrznie lekko upiła przyjaciółkę rok temu, nalewką Gabrysi. Pyszna, z czarnej porzeczki. Taką, co słodko smakuje, ale

niepostrzeżenie odbiera władzę w nogach - zanim odbierze ją rozumowi. Wtedy Krysię do domu musiał odwieźć Antoni - ich woźnica. Doktor Wieruszewski nie był zadowolony, choć na szczęście obrócił sytuację w żart i ku rozpaczy córki lubił opowiadać ją w formie towarzyskiej anegdoty

Mariannie chce się pić i wie, że ma mocną głowę, więc nie zważa na przestraszony wzrok przyjaciółki i połyka wino łąpczywie. Głęboki smak rozlewa się po jej ustach, wypełnia ciało, nadaje miękkości leniwym ruchom. I cóż? Czy teraz nie będzie dla niego bardziej kobieca?

Wierzchem dłoni niepostrzeżenie ściera tę słodką, odurzającą krew z kącika ust. Patrzy wyzywająco na Zygmunta i wraca do przerwanego wątku.

- A widzi pan coś złego w pragnieniu kobiet, by wyjść z męskiego cienia? Coś niestosownego w próbie wydarcia się spod tej waszej odwiecznej dominacji?

On też upija duży łyk, jakby przepijając do niej.

- Wręcz przeciwnie...

Zenon zrywa się na równe nogi - czuje, że rozmowa schodzi na niewłaściwy tor. Robi się zbyt poważna. I nie podoba mu się, że tych dwoje toczy ją tylko między sobą. Nie lubi grać drugich skrzypiec - on tu jest duszą towarzystwa. Czyż nie?

- Kochani, koniec tych głębokich rozważań. Proponuję kąpiel. Zygmuncie, jak zapatrujesz się na mały wyścig?

- Na tej płyciźnie?

- Kawalek dalej są warunki, więc jak? Jeśli ze mną wygrasz, możesz pannę Mariannę do wieczora wypytywać o jej poglądy na temat walki płci czy czego tam jeszcze chcesz. Ale jeśli wygram ja, to dziś już ani słowa o polityce, wojnach - spogląda z iskierkami rozbawienia w oczach na Stefana - i o nieurodzaju i żniwach też.

- To o czym będziesz kochany rozprawiał?

- O warszawskich przyjemnościach, sztuce i miłości. Nasze panie zainteresuje to zapewne bardziej. Więc jak? Umowa?

- Umowa.

Zenon rzuca na trawę lnianą marynarkę.

- Stef, dołączysz?

Stefan leniwie rozkłada się na miejscu, w którym przed chwilą siedział Zenek.

- Ja pasuję. Żaden ze mnie pływak. Potowarzyszę dziewczętom.

- Jak wolisz...

Mężczyźni odchodzą w stronę powozu ukrytego przed ich wzrokiem, za zaroślami. Marianna bardzo by chciała zobaczyć, jak Zygmunt zrzuca letni garnitur, koszulę... Ale z miejsca, gdzie siedzi, niewiele widać. Pozostaje wyobraźnia, a ta gorączkowo pracuje. Dziewczyna jest jakby nieobecna, nie słucha rozmów rodzeństwa, pustych słów, trywialnej wymiany zdań o pogodzie, przyrodzie. Banialuki. Czuje, jak wino zabarwia jej policzki, jak wyimaginowane obrazy burzą krew... Zygmunt.

Zanim mężczyźni wrócą, mijają długie minuty. Ciągną się w nieskończoność. Stefan z zamkniętymi oczami żuje źdźbło trawy. Krysia zajada się ciastem przygotowanym przez Gabrysię. Marianna nie myśli o niczym... O niczym innym niż „on”. Gdyby chociaż nie było z nimi tego nudnego Stefanka, gdyby mogła teraz swobodnie porozmawiać z Krystyną. Ale czy rzeczywiście mogłaby jej powiedzieć o wszystkim, o czym myśli? Przecież coraz częściej zaczyna rozumieć, jak różne są z przyjaciółką. Ich zażyłość rosnąca - siłą rozpędu, przyzwyczajeniem — przez wszystkie wspólne lata spędzone w jednym miejscu, w jednej szkole, jest oczywiście ważnym elementem życia dziewczyny. Krysia to jakby siostra. Ale kiedy stanęły na progu dorosłości, różnice między nimi

zaczęły się uwypuklać. Nadal są sobie bliskie, ale wyraźnie zmiernają w różnych kierunkach. Mimo wspólnych celów akademickich...

Przyszła pani doktor nie ma ambicji, by zdobywać świat i nie do końca podziela entuzjazm Marie, że uda się go zmienić. Poza tym czy teraz jest źle? Czy rzeczywiście kobiety powinny brać czynny udział w życiu publicznym? Krystynie nie jest to do szczęścia potrzebne. Stary model się sprawdza. Czy jej matka jest nieszczęśliwa, dlatego że podaje ojcu obiad? I czy jest coś dziwnego w tym, że rodzice faworyzują Stefana? W końcu to chłopiec, mężczyzna. Zawsze tak było. Jak świat światem... Dlatego Krystyna chce skończyć studia nie po to, by wyrwać się z domu, zakosztować warszawskich rozrywek, ale by zdobyć uznanie w oczach ojca, by choć trochę dorównać bratu. A może także, by zaimponować Zenonowi?

Marianna zna motywy przyjaciółki. Akceptuje je, choć zupełnie się z nimi nie zgadza. Krystyna powinna uczyć się dla siebie, by się rozwijać, pokazać światu, na co stać kobiety. Zawód lekarza nie jest przecież przypisany wyłącznie do jednej płci.

Ale Krystyna zawsze miała mniej odwagi, charyzmy - jest posłuszna, jak każda dobrze wychowana panienka. Pełna szacunku dla matki traktującej ją z rezerwą oraz swego rodzaju specyficznej wrogości i miłości do ojca, który choć czuł, wciąż uważa ją za małą, głupią dziewczynkę. Jest gorliwą katoliczką, ślepą i zamkniętą w tej okropnej złotej klatce form i zachowań, które przystoją młodej kobiecie, a które tak uwierają Mariannę. Krystyna się z nimi godzi, nie widzi krat. Jak może ich nie dostrzegać?

Marie przypomina się dzień sprzed kilku laty. Siedziały w tym samym miejscu, nad rzeką. Wokoło wybuchały pierwsze

oznaki wiosny. Wiosna wybuchała też w ciałach przyjaciółek...

Już wówczas Marianna wiedziała, że za fasadą świata, który przedstawiają jej dorośli, coś się kryje. Że ludzka natura jest bardziej zagmatwana, niż chcieliby to przed nią - wtedy jeszcze dzieckiem - przyznać. W tamtym czasie nie do końca zdawała sobie sprawę, o czym szepczą chłopcy, obserwując kobiety przy pracy w polu. Co oznacza ten specyficzny uśmiech błędzący po ich twarzach. Skąd biorą się dwuznaczne szepty, urywane jednym gestem, gdy panienska przechodzi właśnie obok. Dziewczynka rozumiała tylko, że to jest brudne, zakazane i... bardzo pociągające. Ale wtedy dopiero zaczynała dojrzewać. Fizycznie.

Odstawia opróżniony kieliszek na pień obok koca. Dookoła rozsypana tarcica wydziela sosnową woń. Jeszcze niedawno stało tu drzewo. Komu przeszkadzało? Kto ogrzał się w cieple jego palonych konarów? Chłopcy bez przerwy kradną drewno... A teraz to drzewo mogłoby dać dziewczynie upragniony cień, chłód. Odgarnia grzywkę z czoła usianego kropelkami potu, wpatruje się w połyskującą wodę... Przypomina sobie tamten moment, gdy Krystyna w największej tajemnicy wyznała jej swój sekret.

Przyjaciółka zachowywała się jakoś inaczej. Była blada, małowówna. Coś stało między nimi - dziwna, nieznana im dotąd cisza. A przecież dotychczas nie miały przed sobą tajemnic. Dopiero tu nad rzeką Marie udało się wydobyć z Krystyny dręczący ją sekret.

- Obiecuj, że nigdy nikomu nie powiesz...

- Nigdy, nikomu, - Marianna z powagą kładzie rękę na sercu. Krycia czerwieni się, spuszcza głowę.

- Myślałam, że jestem chora, że umieram. Krwawiłam. Powiedziałam majce, choć tak bardzo się wstydziłam. Bo

krwawiłam „tam”. - Kuli się, chowa w swoich szczupłych ramionach.

Marianna zaczyna rozumieć. A więc Krysia nie wie o tej kobiecej „ułomności”. O tej tajemnicy, którą wszyscy chyba znają, ale nikt głośno nie mówi. Kobiety są nieczyste.

- Powiedziałam mamie, a ona bez słowa mnie spoliczkowała. Tak mocno, jakbym była czemuś winna. A może jestem winna? Marie? Nie wiem... Później powiedziała mi tylko, bym nigdy więcej jej o tym nie wspominała. Była wzburzona. Bardziej niż zazwyczaj, gdy jest ze mnie niezadowolona. Nigdy jej takiej nie widziałam. Mówiła, że to jest brudne, i że tak już musi być. Choć ja nic z tego nie rozumiem...

Matka Krystyny zawsze była zimna, ale takie zachowanie nie pasowało do niej. Zazwyczaj ignoruje swoją córkę, całą miłość przelewając na syna, ale nigdy Krystyny nie biła. Zachowywała wobec niej dystans, jakby po prostu nie dostrzegała istnienia córki lub miała jej za złe, że dziewczynka w ogóle przyszła na świat. Ataki zgorzknienia nachodzą matkę Krysi falami. Zaczynają się od zniechęcenia, poprzez irytację, aż do momentów, gdy kobieta popada w głęboką melancholię. A wówczas zwykle zamyka się na całe tygodnie w pokoju, ukrywa przed światem. Domem zajmuje się gospodyni, Wieruszewski chodzi przy żonie na palcach - aby nie pogarszać jej stanu - i nawet Stefan nie ma wówczas dostępu do matki. Ta nienazwana choroba duszy po jakimś czasie przechodzi sama. I wtedy kobieta znowu wstaje z łóżka, uśmiecha się do męża i syna, a wrogość wobec córki przechodzi w obojętność.

Marianna wie o tej dziwnej przypadłości doktorowej i teraz, gdy Krysia mówi o jej niezwykłym zachowaniu, w pierwszej chwili dziewczyna myśli, że to kolejny nawrót choroby. Jak to dobrze, że chociaż ojciec kocha Krystynę.

- A potem, mój Boże, teraz tak mi wstyd, tak żałuję... Poszłam do ojca. Choć bałam się, że on też mnie uderzy. Ale potrzebowałam przecież ratunku, a on... lekarz...

- Nie uderzył?

- Nie. Był bardzo skrepowany. Bardziej niż ja... Ale tylko przytulił mnie mocno i powiedział, że nie jestem chora, że to nic, że od tego nie umrę. I że tak już teraz będzie co miesiąc, bo jestem kobietą. I żebym z nikim o tym nie rozmawiała. A potem dał mi jeszcze z gabloty z opatrunkami watę i powiedział, żebym tego użyła. To obrzydliwe i takie... okropne. Ja nie chcę...

Marianna bierze przyjaciółkę za rękę. Pociesza. Ona ma to już za sobą. Powiedziała Gabrieli. Gabrysia jej nie uderzyła, ale - tak jak ojciec Krysi - zakazała o tym wspominać komukolwiek. Ale teraz kiedy Krystyna...

- Ja też tak mam.

W zawstydzonych oczach przyjaciółki rodzi się zdziwienie.

- Ty też? I nic nie powiedziałaś. Od dawna? - Zimą...

- Ale to takie straszne... Brudne i bolesne. Jakby mnie rozrywało od środka. Dlaczego? Dlaczego my? Marianna głaszcze jasne włosy przyjaciółki.

- Nie tylko my. Chyba każda kobieta. Może to jakaś kara? Może za grzech Ewy? Tak już będzie zawsze.

- I dlatego mama mnie nie kocha, bo jestem grzeszna?

- Nie wiem. Może tylko była zła, bo nie wolno o tym rozmawiać. Gabriela też nie pozwoliła. Nawet z ojcem... Z nikim! To wstyd.

- Wstyd... - Krystyna powtarza bez emocji, jak echo. - Ale ja powiedziałam tacie. Tak się bałam i po tym jak mama...

- Ale przecież jest lekarzem. Myślę, że i tak wiedział. - Marianna pociesza dziewczynę, ale nie jest tego pewna. A jeśli to była od wieków tajemnica tylko ich, kobiet?

Wstydliva. Od zawsze ukrywana przed ojcami, braćmi, mężami.

Siedzą objęte na kocu nad brzegiem Liwca. Krysia opiera głowę na ramieniu Marie. Nadal nie rozumie, dlaczego ją to spotkało, ale teraz, kiedy wie, że obie podobnie cierpią, będzie jej łatwiej to znieść. Jaka szkoda, że nie ma siostry, z którą mogłaby rozmawiać bez skrepowania. Choć przecież ma ukochaną Marie...

Marianna wspomina tamten moment nad rzeką. Trzy lata temu. Wtedy jeszcze nie czytała w bibliotece sióstr Rogalskich Pierwszej krwi (Powieść Ireny Krzywickiej o budzącej się seksualności nastolatków, wydana w 1933 roku.). Dopiero po tym... Teraz już tyle spraw stało się jasnych, choć wciąż nie udało jej się ich dotknąć, poczuć. Ale już niedługo... Wszystko pozna. Każda tajemnica zostanie odkryta... Czym jest to uczucie w dole brzucha, które tak miło drażni jej ciało, gdy widzi Zygmunta? Wkrótce się dowie. Zrozumie, dotknie. Posmakuje.

Marie już nie boi się tego, co czuje. Choć to mroczna niewiadoma. Mroczna, ale fascynująca. Jeszcze tego nie pojmuje, ale jest pewna - teraz wszystko się zmieni. W końcu zrozumie sens szeptów, urwanych zdań. Niedopowiedzianych kwestii. Teraz sama je sobie dopowie...

Już z oddali słyhać śmiech Zenka. Zanim jeszcze dotrą na miejsce, Marianna już wie, choć trochę ją to dziwi, że jednak Zygmunt nie wygrał wyścigu. Jak to możliwe?

Panowie ubierają się szybko przy powozie i wracają do reszty towarzystwa.

- No i Zygmunt się poddał - już na wstępie dumnie informuje Zenek.

Marianna patrzy na niego pytająco.

- Tylko wygląda tak okazale, ale ze sportem zawsze był na bakier.

Zygmunt najwyraźniej nie jest zawstydzony wyznaniem przyjaciela. Odcina się:

- Jako przyszły lekarz dobrze wiesz, że sport ma niewiele wspólnego ze zdrowiem. Raczej z kontuzjami i przeciążeniem organizmu. No, ale oddaję ci honor. Wygrałeś.

Siadają. Spod niedopiętych koszul widać mokre ciała. Zygmunt nalewa sobie wina.

- I zgodnie z umową dzisiaj już nie rozmawiamy na żadne poważne tematy. - Zenek łapczywie chwyta ciasto.

- Może pójdziemy na spacer? - nieśmiało pyta Krysia.

- A bardzo chętnie. - Zenon niemal od razu podrywa się na równe nogi i wyrokuje: - Stefan idzie z nami.

Marianna nie ma ochoty na spacer, tym bardziej że nie widzi podobnego entuzjazmu na twarzy Zygmunta.

- My z panną Marianną zostaniemy - decyduje za nią, jakby czytał w jej myślach.

Stefan niechętnie podnosi się z koca. We trójkę oddalają się, idąc powoli wzdłuż brzegu. Dopiero gdy cichną odgłosy ich rozmowy, Zygmunt napełnia kieliszek Marianny i podaje go dziewczynie.

- A więc mam okazję porozmawiać z moją przyszłą studentką... Marianna z wahaniem odbiera z jego ręki wino.

- Cóż, jeśli mnie pan upije, to ta rozmowa może się okazać niezbyt udana.

Mężczyzna uśmiecha się zagadkowo.

- Mam przeczucie, że nie należy pani do tego rodzaju skromnych pensjonarek, którym jeden kieliszek wina odebrałby zdolność jasnego myślenia.

Komplement, obelga?

- Ale jak sam pan wspomniał, będzie mnie pan uczył, więc chyba powinnam pokazać się z jak najlepszej strony?

- Może właśnie się pani pokazuje...? Może ja nie gustuję w umiarkowaniu?

- A może pan chce tylko wybadać, na ile można sobie pozwolić z taką jak ja wiejską dziewczyną, która na tym pustkowiu nie miała jeszcze okazji poznać życia?

Zygmunt śmieje się głośno.

- Ani pani nie uważa się za głupią wiejską gęś, ani też ja nie zamierzam pani tak traktować.

- Nie wierzy pan w moją prostoduszność i prowincjonalną skromność?

- Ani trochę...

Marianna nie może już dłużej zachowywać powagi. Upija łyk wina i również się śmieje.

Patrzy, jak małe kropelki wody spływają wzdłuż napiętych mięśni pod jego koszulą.

- Więc wybrała pani prawo nie z miłości do przedmiotu...

- Skąd ta myśl?

- Z pani wcześniejszych wypowiedzi. Równouprawnienie płci...

- Może przed panem nie powinnam się zdradzać, ale rzeczywiście, samo prawo nie jest dla mnie celem.

- Jest środkiem? - Dokładnie.

- A więc będę tym bardziej wymagającym wykładowcą.

- Co nie znaczy, że zamierzam być miernym prawnikiem. Będę najlepszą studentką i zrobię wszystko, żeby wyprzedzić moich kolegów.

- Godne pochwały. Ale jak zamierza pani znaleźć czas na naukę? Warszawa pełna jest rozrywek i pokus.

- Niech pan się rozejrzy. Wychowałam się na tej zapadłej wsi. Wkładano mi tu do głowy najnudniejsze, najbardziej prawe i godne młodej kobiety zasady życia. Niełatwo mi będzie zapomnieć o wpajanych przez lata naukach i zatracić się w tych przyjemnościach, o których pan mówi.

- A może właśnie zagra u pani syndrom ptaka uwolnionego z klatki...

- Albo psa urwanego ze smyczy? Nie sędzę. Osiągnę to, co zamierzam, ale metodycznie. Nie zamierzam tracić zimnej krwi...

Zygmunt przygląda jej się z wesołym powątpiewaniem.

- Może zupełnie pani nie znam, ale mam intuicję, a ona mi podpowiada, że ta rozwaga, spokój i zimna krew, o której pani mówi, to tylko poza, a w głębi serca jest pani bardziej spontaniczna...

Czy naprawdę ona tak kiepsko udaje, czy to on jest tak przenikliwym obserwatorem? A może są do siebie podobni i dlatego Zygmunt tak łatwo ją rozszyfrował? Może i w nim tkwi to pragnienie, by żyć szybciej, mocniej, intensywniej, do dna...

- ...I jakoś nie wierzę, że jest pani równie łagodna i grzeczna, jak jej przyjaciółka. Już na pierwszy rzut oka widać, jak bardzo się panie różnicie.

- A może intuicja pana zawodzi? - droczy się z uśmiechem. - Może właśnie jestem równie spokojna jak Krysia? W końcu razem się wychowywałyśmy. Z dala od pokus. I jak twierdzi moja babka, na szczęście, z dala od tego okropnego niemoralnego świata. Z dala od Warszawy...

- Nie trzeba żyć w mieście, żeby pewne rzeczy wiedzieć i być ich świadomym. I pani wydaje się doskonale zdawać z tego sprawę.

- Potraktuję to jak komplement...

- Bo to jest komplement. Życie na wsi wcale nie zwalnia z chęci poznania świata takim, jaki jest naprawdę. Nawet jeśli uroda tego sielskiego miejsca, gdzie się pani wychowała, przysłania trochę obraz rzeczywistości. Mam jednak nadzieję, że się co do pani nie mylę.

Wcale się nie mylisz.

Rzeka, powoli meandrując w swoim korycie, połyskuje niczym sunący leniwie wąż. Wąż, który kusił Ewę pod

drzewem poznania dobrego i złego, odbierając jej to, co boskie i dając w zamian możliwość odkrycia ziemskich rozkoszy. Czy Marianna także uległaby pokusie zakazanego owocu?

Oślepiające światło pada na parę młodych ludzi. Atmosfera między nimi staje się coraz bardziej gęsta. Duszna. A może idzie burza?

- Obserwowałem panią w kościele... Obserwował?

- I nie znalazłem na pani twarzy podobnej duchowości, co u reszty pokornych Panu owieczek. Wyglądała pani na znudzoną.

Czy mogę być przed nim szczera?

- Bo też ja nie wierzę, że cokolwiek można sobie wymodlić. I nie zamierzam się w życiu zdawać na jakieś ponadnaturalne moce. Albo osiągnę wszystko sama i żadna siła mi w tym nie przeszkodzi, albo wszystko zaprzepaszczę i nawet Bóg mi wtedy nie pomoże.

Będę szczera.

- I widzi pani. Mam kolejny dowód, że zupełnie pani nie pasuje do obrazu młodej prowincjonalnej gąski, To spora odwaga, żeby mówić wprost o swoich poglądach religijnych.

Mam tę odwagę, choć nie wiem czemu. Ale tylko wobec ciebie.

- W naszym kraju nie ma niczego pośrodku, albo jesteś z nami, albo przeciwko nam... Myślę tu o katolikach, rzecz jasna. A pani najwyraźniej jest w opozycji. Warszawskie salony stoją przed panią otworem...

- Pan kpi?

- W poważnych sprawach nigdy. A proszę mi wierzyć, że pani wahania są niezwykle popularne i cenione na owych salonach, choć zupełnie nieakceptowane tutaj. Ale w Warszawie niemal passe jest wierzyć. Bycie ateistą jest wyrazem odwagi i w pewnych kręgach wzbudza podziw, choć

może nie należy się owymi poglądami chwalić wszem wobec.
- Uśmiecha się i kręci głową. - Co też wuj Zenka by sobie pomyślał? Gdyby tak wiedział, że jedna z córek najznamienitszego obywatela, najbardziej pożądana duszyczka z jego stadka, tak daleko w poważaniu ma jego nauki...

Marianna układa się na kocu i spogląda w niebo. Czy tylko jej się wydaje, czy chmury przybrały bardziej szarawą barwę?

Ciało Zygmunta rzuca cień na jej sukienkę. Mężczyzna przygląda się z góry migotliwym plamom słońca igrającym w złotych włosach rozsypanych na kocu.

- To będą ciekawe wakacje... - szepcze i układa się obok, z rękami pod głową. Zamyka oczy.

- Będą - mruczy w odpowiedzi dziewczyna.

Czy to możliwe, by mówili o tym samym? Czy tak w jednej chwili, w dwóch sercach, może zagrać ta sama nuta? Przecież on jest starszy, mądrzejszy, zna świat niepomiernie lepiej niż ona. Oddycha powietrzem miasta, o którym ona dotąd tylko marzyła.

Ma dostęp do sztuki, której Marianna nie mogła zakosztować, do rozrywek, o jakich nie ma jeszcze nawet pojęcia. Jest wszystkim tym, czym ona od zawsze pragnie się stać. Jej zauroczenie łatwo wytłumaczyć, ale czy Zygmunt mógłby poczuć to samo?

Milczą. Każde zatopione w swoich myślach. I każda sekunda staje się namacalną wręcz przyjemnością. Choć przecież Marianna nie czuje jego dotyku - wystarczy, że on jest tuż obok, że słyszy jego oddech.

Czas płynie leniwie. Donikąd się nie spieszy. Zwalnia. I zatrzymuje się wokół dwóch postaci tworzących samotną wyspę wśród zieleni zastygłych w oczekiwaniu traw. Wakacyjne lenistwo wypełnia się po brzegi tym, na co czekała przez całe życie...

Czymś, co budzi się gwałtownymi zrywami, od romantycznego uniesienia, aż po niepohamowane pragnie czegoś... No właśnie. Czego? Tego, czego Marianna nie umiałaby jeszcze nazwać. Tej pierwszej...

tej zdziwionej, która w całym niebie

Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie.

I chce się wciąż powtarzać... (Bolesław Leśmian, W malinowym chruśniaku.)

Pieszczoty?

Czy na to czeka jej młode ciało? Na ten poryw? Na to bezwstydną upojenie? Marianna ma wrażenie, jakby skóra jej ramion, brzucha, ud, pośladków była niezapisaną księgą, którą Zygmunt mógłby wypełnić. Swoimi pocałunkami, błędzeniem rąk...

Czy to, co się w niej budzi, to miłość? Czy tylko pragnienie stęsknionego wieloletnim oczekiwaniem ciała?

Ziemia niesie odgłos kroków, zanim do uszu dotrą strzępy rozmowy. Tamci wracają. Czas znowu rusza. Marianna unosi się na łokciach. Zygmunt nadal leży. Oczy ma zamknięte - ale ona wie, że mężczyzna nie śpi, choć oddech ma miarowy, spokojny.

- Odpoczywaliście? — pyta naiwnie Stefan, z uśmiechem rysującym znak zapytania na jego twarzy. Daleko w tyle zostawił Zenka z Krystyną.

Zygmunt udaje, że te słowa wyrwały go ze snu. Podnosi się, kłamie:

- Tak, to pewnie przez ten upał. Zupełnie mnie zmogło - odpowiada, patrząc wymownie na Mariannę. Wspólniczka fałszywych zeznań przytakuje skwapliwie.

Stefan kiwa głową ze zrozumieniem.

- Żałujcie, że nie poszliście. Kawalek dalej flisacy ładują drewno. Piękny widok. Cała rzeka pokryta drewnem. Pewnie pod wieczór będą je spławiać do Bugu...

Kryścia z Zenkiem wylaniają się z za zakola rzeki. Przystają, żywo o czymś dyskutują, choć z tej odległości nie słyszą słów.

- Idę się schłodzić. - Stefan zrzuca buty i wchodzi do rzeki. Brodzi w niej po kolana. Rozpina koszulę pod szyją. Oddycha głęboko.

Nagle chłodniejszy powiew wiatru rozmiata na chwilę duchotę, a później rozlega się odległe, głuche uderzenie. Sosny porwane wiatrem zginają głowy, szumią. Stefan odwraca się za tym odgłosem, wciąż stojąc w wodzie. Jego czoło przecina pionowa zmarszczka - czy oznacza to koniec pikniku?

- Zbliża się burza. Idzie z zachodu, od strony lasu - mówi, szybko podchodząc do Marianny i Zygmunta. Opuszcza podwinięte nogawki spodni.

Dziewczyna odwraca się w kierunku wskazanym przez Stefana, ale ze swojego miejsca nic nie widzi. Wysokie drzewa przesłaniają jej widok na nadciągające czarne chmury.

- Trzeba się zbierać. Zaraz pewnie lunie. Gdzie ta Kryśka? Wiatr szybko się wzmacnia. Słyszą kolejne uderzenie - już bliżej. I znowu... Nadciąga letnia burza. Intensywna, krótka.

Marianna jest rozczarowana, ale ukrywa to uczucie, gdy szybko, wraz z Zygmuntem zbiera porozstawiane na ziemi talerzyki i kieliszki. Uwijają się, ale i tak nie udaje im się zdążyć przed deszczem. Ciemna, kłębiasta fala zalewa niebo, zastania słońce - robi się ciemno. Pierwsze duże krople spadają na rozgrzaną ziemię, na ich głowy. Niemal słyszą ich dźwięk, gdy z pędem uderzają o lustro spokojnej dotąd powierzchni rzeki.

Z boku nadbiega Krystyna z Zenonem. Cali już niemal mokrzy. Bez słów pomagają zbierać rzeczy. Szybko, wraz ze

Stefanem zanoszą je do odkrytego powozu. Koń wyraźnie zaniepokojony uderza kopytem o ziemię,

Zygmunt wraz Marianną idą z tyłu, spokojniej, jakby im ten nagły chłód, deszcz i wiatr nie przeszkadzały.

- Nie zapowiada się, by szybko to przeszło - mówi on, spoglądając w górę. Jego oczy mają teraz kolor nieba nad ich głowami. Stalowy. Chłodny.

Obok, bardzo blisko, przetacza się kolejny grzmot.

- Teraz przydałby się pani tamten zielony sweter. A więc pamięta. Wiedziałam, że pamięta.

Zygmunt patrzy na nią z uwagą. Z trudnym do odgadnienia wyrazem twarzy przygląda się sukience Marianny, która jest już zupełnie mokra. Cienki materiał okleja jej ciało. Uwidacznia, to, co powinno zostać ukryte. I mężczyzna bez zbędnych słów zdejmuje marynarkę. Narzuca ją dziewczynie na ramiona.

- Dziękuję.

Czuje jego zapach ukryty we włóknach. Woń papierosów, wody kolońskiej wpleciony w ciasne sploty lnu. Bezwiednie przytula policzek do kołnierza... Ale Zygmunt już na nią nie patrzy.

Wskakuje na kozła. Stefan podaje rękę dziewczynie, pomaga wdrapać się na ławkę.

Koń nerwowo uderza w mokrą ziemię. Powietrze przecina świst bata i wysoki dźwięk lejców uderzających o mokrą sierść.

- Wio!

Marianna wpada do holu. Zimne krople spływają z marynarki Zygmunta wprost na przemoczoną sukienkę i dalej po gołych nogach. Dziewczyna przystaje przed dużym lustrem w drewnianej ramie i wpatruje się w swoje odbicie. Oplata się ciasno ramionami i przechyla delikatnie głowę. Powoli pociera policzkiem o kołnierz. Lekka szorstkość materiału

delikatnie pieści jej skórę i Mariannie się wydaje, jakby to on, jego dłonie głaskały jej twarz. Jakby to ramiona mężczyzny ją obejmowały. Uśmiecha się do tego nieszkodliwego pragnienia. I dopiero zimny dreszcz odrywa ją od zakazanych rozmyślań.

Pośpiesznie zdejmuje marynarkę i wieszka na oparciu krzesła stojącego tuż obok. Chwyta wiklinowy kosz, który nawet w połowie nie został opróżniony, i kieruje się w odległy kraniec domu - do kuchni. Zza otwartych drzwi słyszy podniesiony głos Gabrieli. Przystaje. Nasłuchuje.

Drewniana podłoga cicho trzeszczy, gdy gospodyni energicznie przemierza pomieszczenie za uchylonymi nieznacznie drzwiami.

- Domyślałam się - mówi zirytowana. - już od dawna cię obserwuję. Może innych udało ci się zwieść, ale ja już niejedno w życiu widziałam,

Nikt jej nie odpowiada. Marianna przysuwa się do szczeliny jeszcze bliżej, by nie uronić ani słowa z tej dziwnej rozmowy.

- I co ty głupia dziewczyno myślałaś? Co planujesz? Chyba rozumiesz, że jeszcze trochę, a będę musiała cię oddalić. Marianna nie może zauważyć.

Dziewczyna ukryta za drzwiami wstrzymuje oddech, słysząc swoje imię.

- Mój Boże. - Gabrysia przystaje. - I co ja powiem panu Aleksandrowi? Przecież byłam za ciebie, dziecko, odpowiedzialna.

- Ale pani Gabrielo... - Zosia odzywa się po raz pierwszy. Głos jej się łamie. Chyba płacze.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, coś najlepszego narobiła. Co ściągnęłaś na swoją głowę. - Gospodyni nabiera powietrza. - Mów, kto to?

- Ale... ja - chlipie dziewczyna - ja już wszystko załatwiłam. Byłam u starej Zimmermannowej. I ona... Ona powiedziała, że to nie problem, że jest sposób.

- Ani mi się waź! Postradałaś rozum? To grzech. Śmiertelny grzech...

W kuchni zapada cisza przerywana tylko szlochem Zosi. Gabriela przysiada na skrzypiącym, starym krześle.

- No, nie płacz już. Nie płacz. Już za późno. Jakoś to załatwię. Porozmawiam z panem Aleksandrem. Poproszę. Może pozwoli ci u nas zostać. Ale musisz mi powiedzieć: kto to? Bo to któryś z chłopaków od nas, prawda? Tak myślałam. No nie płacz. Wytrzymaj nos. Już za późno na łzy. Matka wie?

- Nie - pada lekko słyszalna odpowiedź.

- Nie mów jej na razie. Gotowa cię przepędzić. Hańbę jej przyniosłaś. A ona sama przecież gospodaruje. Jak wy sobie poradzicie? Matko Boska! Jak sobie poradzicie bez tej twojej pracy u nas?

Zosia wybucha głośniejszym płaczem.

- No już dobrze, już dobrze. Pomyślę, pomyślę... Ale co robić? Zośka. Zosiu... Powiedzże, kto to. Rozmówię się z nim. Coś zaradzimy.

Od strony holu do uszu Marianny docierają odgłosy szybkich dziecięcych kroków. Zanim Michał pojawi się w drzwiach jadalni, skąd mógłby ją zobaczyć, dziewczyna porzuca koszyk pod kuchennymi drzwiami i bezgłośnie przemyka do salonu. A później, przez nikogo niezauważona, wąskim korytarzykiem do swojego pokoju.

Do północy nad kamienieckim majątkiem szaleją błyskawice. Prawie nie pada - z rzadka o dach rozbijają się ciężkie niczym łzy krople - ale niebo za oknem co chwilę rozjaśnia światło i słychać odległe echo grzmotów. Marianna nie może zasnąć. Bezmyślnie wpatruje się w kołyszące się za oknem cienie drzew - wspomina dzień nad rzeką. Próbuje

skierować myśli na tę krótką, spędzoną w towarzystwie Zygmunta chwilę. Ale wciąż nie może zapomnieć słów podsłuchanych w kuchni. Nie potrafi ich zrozumieć. Nie wie, czemu gospodyni była tak wzburzona, i co złego zrobiła Zośka. Coś jednak było takiego w tej rozmowie - przejmującego, dwuznacznego - co ją intryguje. I nie pozwala na rozmyślanie o właścicielu marynarki, która wyczyszczona i wyprasowana wieczorem przez Gabrysię wisi teraz spokojnie na wieszaku, na drzwiach dębowej szafy.

Rozdział IV

Gabriela

Burza daje wytchnienie ziemi tylko na moment. Kolejny poranek znowu budzi mieszkańców dworu upałem. Marianna już nie myśli o problemach Gabrieli z Zosią - noc zaciera to wspomnienie, tłumi rozbudzoną ciekawość. Dziewczyna jest już tylko zła, że wczoraj tak nagle musiała się rozstać z Zygmuntem. Patrzy na marynarkę wiszącą tuż obok jej wczorajszej sukienki. I ten widok przywodzi jej na myśl parę stojącą obok siebie - ramię przy ramieniu. Ona i Zygmunt. Nie chciała zatrzymywać jego ubrania. Nalegała, by mu je oddać, gdy już zajechali pod dom. Ale odmówił. Może dlatego, że i tak był już całkiem przemoczony, a kilka kolejnych kropli deszczu nie sprawiłoby mu różnicy? A może zostawił Mariannie marynarkę z rozmysłem? Wybujala, młodzieńcza wyobraźnia szybko pracuje. Tworzy scenariusze najbardziej upragnione. Teraz będą mieli okazję, by znowu się zobaczyć.

Gabriela ma swoje tajemnice. Marianna nawet nie podejrzewa, co kryje się pod pozornie twardą skorupą, jaką otoczyła się gospodyni. Dla dziewczyny pozostaje wzorem zaradności, troskliwości, dobroci. Istotą bez płci, bez przeszłości, która od zawsze jest stałym elementem jej życia. Jest boną, pomocą domową, która pozostaje tylko tłem kamienieckiego krajobrazu. Stałym punktem, wokół którego orbituje życie dziewczyny. Gabrysia jest pełna ciepła, spokoju, a może nawet i miłości wobec dójki wychowywanych przez nią dzieci. Jest jak matka, choć nie ma zbyt wielu praw, a tylko obowiązki. Aż trudno uwierzyć, że w tym na pozór nieskomplikowanym człowieku może kryć się coś jeszcze.

Ale im Marianna jest starsza, im uważniejszym obserwatorem się staje, zaczyna rozumieć, że ta, wydawałoby się nieskomplikowana kobieta, musiała mieć jakieś życie

przed tym obecnym. Oczywiście pyta ją czasami, co Gabrysia robiła, zanim zaczęła pracować w ich domu, ale odpowiedzi są zwykle zdawkowe i nie zaspokajają jej ciekawości. A gospodyni nigdy sama nie wspomina przeszłości. Nie opowiada o swojej rodzinie, o młodości. Dlatego dziewczyna nie wie, czemu Gabriela nie wyszła za mąż. Sądzi jedynie - w swym młodzieńczym romantyzmie - że widocznie nie znalazł się dla niej adorator. Choć Gabriela kiedyś musiała być całkiem ładna. Ile ma teraz lat? Czy jest w wieku pana Aleksandra, a może jednak sporo młodsza? Tak ciężko ocenia się wiek starszych, kiedy samemu ma się niespełna osiemnaście lat.

Teraz, w każdym razie, jest już za późno, by Gabriela poukładała sobie życie poza majątkiem Boruckich. Nie ma czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Ma tak wiele obowiązków. Tyle spraw spoczywa na jej głowie... I Mariannie bardzo rzadko udaje się złapać wyraz zamyślenia, a może nawet smutku na twarzy gospodyni, która wygląda wtedy, jakby za czymś tęskniła, czegoś żałowała.

Pierwszy raz zwróciła na to uwagę, gdy odwiedził ich w Kamieńczyku stryj Konstanty. I tak jest przy każdej jego wizycie.

Kobieta nagle odsuwa się na bok. Nie uczestniczy we wspólnych posiłkach. Z pierwszoplanowej postaci staje się ledwo widocznym statystą stapiającym się z tłem - niedostrzegalnym, przemykającym między pokojami cieniem. I ta właśnie trudna do opisania przemiana budzi zainteresowanie Marianny. Ciekawi ją ta odmienność, nienaturalność w zachowaniu Gabrieli, która nagle z bezpłciowej istoty staje się w oczach swojej podopiecznej kobietą. Pełnokrwistą... Nieszczęśliwą? Niespełnioną? Którą widocznie krępuje obecność nieznajomego mężczyzny w domu.

Dziewczyna wyłapuje te ukradkowe spojrzenia gospodyni i nieco ją to bawi. W końcu stryj podoba się wszystkim. Bez względu na wiek, na pochodzenie. Lubi adorować kobiety, a one zwykle ulegają jego czarowi. Może Gabrysię takie zachowanie Konstantego zawstydza? Bo w stryju niezaprzeczalnie jest coś magicznego, hipnotyzującego. Pewna przyciągająca bezpośredniość. I ten styl życia... wbrew utartym zasadom - słodki drań... Ale czy to możliwe, by nawet ona, twardo stąpająca po ziemi i taka poukładana, uległa temu hultajowi? Marianna uśmiecha się na samą myśl.

To niedorzeczne.

Teraz, kiedy tak siedzą obok siebie, w powozie, Mariannie przypomina się ten rzadki wyraz na twarzy Gabrysi. Może dlatego, że i dziś gospodyni jest wyjątkowo milcząca, odmieniona...

Przez moment zastanawia się, czy to może za sprawą problemu, jaki gospodyni ma z Zośką, ale ta myśl szybko jej umyka. Równie szybko, jak krajobrazy rozciągające się przy drodze.

Stary trakt prowadzący do miasteczka to zaledwie kilkanaście kilometrów. Konno można je pokonać w pół godziny. Autem pewnie dużo szybciej - ojciec Marianny nie gustuje jednak w nowinkach. Jest tradycjonalistą. No i kocha te wszystkie swoje konie. Nie wyobraża sobie bez nich życia, prawdziwego domu.

Mariannie, gdy nachodzi ją to spostrzeżenie, droga zaczyna dłużyć się jeszcze bardziej. A mogłaby mknąć z otwartym dachem. Wiatr rozwiewałby jej włosy... A te konie są dziś takie ślamazarne. Może to przez liczne, jeszcze niewyschnięte kałuże, które powstały po wczorajszej ulewie, tworząc małe jeziora w zagłębieniach pomiędzy wyślizganymi kamieniami? Więc dwa siwki, sprawnie powożone przez Antoniego, stąpają między nimi ostrożniej,

wolniej. A może droga tak jej się dłuży przez owo nieznośne milczenie? Wzrok dziewczyny pada na pulchną dłoń Gabrieli, na której połyskuje mała, srebrna obrączka.

Marianna przypomina sobie kolejne lipcowe miesiące, kiedy to na spracowanej dłoni gości ów niepozorny pierścionek. Pamiątka? Dlaczego Gabrysia zakłada go tylko raz do roku? Jaki dziś mamy dzień? Czy to rocznica jakiegoś wydarzenia z osnutej mgłą tajemnicy przeszłości? A może właśnie dziś nadarzy się okazja, by ją poznać?

Las się kończy. Marianna czuje już zapach rzeki. Bug sunie dostojnie, powoli, wśród łągów. Połyskując, głaszcze brzegi porośnięte tatarakiem. Dalej, szeroką piaszczystą plażę nad wodą wypełnia wesoły tłum młodych ludzi - mimo że to środek tygodnia. Ale przecież są wakacje. W palącym słońcu słyszeć śmiechy, gwar rozmów niesiony daleko po wodzie. W oddali widać kilka płynących szybko kajaków. Ach jak przyjemnie (Piosenka z filmu Zapomniana melodia, słowa: Ludwik Starski.) - przemyka przez głowę Marianny. Zaledwie rok temu, dokładnie w tamtym miejscu nagrywano sceny do Zapomnianej melodii, ale w powietrzu nadal, niczym echo, słyszeć te słowa piosenki:

Ach...

radosny słyszeć śpiew

gdy szumi, szumi woda a w żyłach szumi krew...

Tak... teraz i jej krew płynie szybciej, szumi, szumi... W głowie... Znowu na chwilę zapomina o wszystkim dookoła i widzi tylko Zygmunta. Opętał jej umysł. Zawładnął myślami. Marianna już nie czuje się ich jedyną właścicielką.

Wjeżdżają na drewniany, szeroki most, za którym rozciąga się panorama miasta. Po lewej, wysokie drzewa starego parku Wazów otulają budynek gimnazjum, na prawo - masywna, biała wieża klasycystycznego kościoła. Rdzawa czerwień jego dachu odcina się intensywnie od błękitu nieba.

Gabriela mówi:

- Zanim zrobimy sprawunki, chciałabym pójść na cmentarz. Jeśli nie chcesz...

A więc jednak.

Może właśnie nadarza się okazja, by rozwikłać zagadkę, by odsłonić rąbek tajemnicy, więc Marianna szybko zaprzecza:

- Ależ nie... Chętnie Gabrieli potowarzyszę. Cmentarz? A więc kogoś straciła... Wiele lat temu. Zanim na świecie pojawiła się Marianna. I Gabrysia rzeczywiście miała jakieś życie przed... A może to tylko groby rodziców? Czy ten sekret może być tak trywialny?

W jednej chwili chęć szybkiego zrobienia zaplanowanych i wyczekanych zakupów do studenckiej wyprawy schodzi na drugi plan. Kupi trochę później ten nowy kapelusz, materiał na garsonkę, rękawiczki. Teraz jej bujna wyobraźnia skupia się tylko na ujawnieniu, co kryje wyszkowski cmentarz.

Gospodyni jest wyraźnie niezadowolona z takiego obrotu sprawy, miała nadzieję, że Marianna będzie wolała spędzić wolny czas w parku, w bibliotece. Może spotka się z koleżankami ze szkolnych czasów...? Zawsze dotąd tak było. No, ale jeśli dziewczyna ma ochotę jej towarzyszyć - to trudno.

Powóz zatrzymuje się pod kutą bramą. Zza wysokiego muru, na wzniesieniu, wystają tylko pnie starych drzew. Las otoczony jest murem - jakby ktoś mógł zza niego uciec... Kobiety wspinają się po kilku schodkach, otwierają furtkę, której rdzawy zgrzyt przerywa ciszę niezmaconą niczyją obecnością.

Dorodne stare buki, kasztanowce, modrzewie - są tak pełne życia. Kipią zielenią, ocieniając nagrobki - bez życia.

Gabriela dobrze zna drogę. Z głównej alei skręcają w głąb cmentarza. Dochodzą wśród porośniętych trawą grobów,

zaśniedziałych metalowych krzyży, aż do muru. Marianna jest zdziwiona, gdy kobieta klęka przy czymś, co już pewnie od dawna bardziej przypomina nieforemne usypisko niż mogiłę. Bez krzyża, bez tabliczki. Czyje kości spoczywają pod zarośniętą chwastami kupką ziemi? Gabrysia długo się modli. Później wyrywa wysokie zielsko. Energicznie, ale bez złości. Raczej z rezygnacją, tak niewspółgrającą z jej codziennym zachowaniem. Gładzi dłonią suche grudki ziemi. Z czułością, bez łez. Zbiera je palcami, uklepuje kopczyk - jakby nie chciała, by wiatr czy niszczycielski deszcz i czas zmiotły z powierzchni ten bezimienny grób. Z trudem, z ociąganiem, podnosi się z kolan. Otrzepuje brudne dłonie, kurz z sukni. Nie odzywa się do Marianny, tylko skinieniem głowy wskazuje jej dalszą drogę. Idą przez dłuższą chwilę w milczeniu, między zadbanymi pomnikami. Brzeg czarnej, idealnie czystej jeszcze rano spódnicy z wolna pokrywa się u dołu cmentarnym pyłem. Skręcają w kolejną boczną alejkę i podchodzą do niewielkiej pojedynczej mogiły. Jest skromna, ale wygląda na zadbaną. U jej szczytu ułożono duży, misternie ociosany kamień z żeliwnym, fantazyjnie wykutym krzyżem.

Wyryte imię i nazwisko nic Mariannie nie mówi. Zdjęcie młodego człowieka na medalionie nikogo jej nie przypomina. Epitafium niewiele znaczy. Głęboko osadzone, pełne życia oczy zerkają z fotografii na pochyloną nad grobem postać w czerni. Gabriela, kładąc przed płaskorzeźbą tablicy mały bukiet fiołków - a więc po to zbierała je rankiem w kamienieckim ogrodzie - ma łzy w oczach. Widocznie musi toczyć ze sobą walkę, aby ciężkie krople nie spłynęły na policzki, bo na jej twarzy rysuje się cierpienie. Ale nie, przy Mariannie - przypadkowej i nieświadomej niczego obserwatorce - nie okaże słabości. Jednak sekundy płyną, a oczy pieką, przepelniają się i w końcu żal wylewa się cienkimi słonymi strużkami. Gabrysia nieznacznie, z wyraźnym

skrępowaniem, wierzchem dłoni ściera to świadectwo bólu z twarzy. Przez chwilę żarliwie się modli. O zbawienie dla zmarłego? A może dla siebie?

Tu też wyrywa chwasty porastające grób. Zabiera zwiędłe kwiaty, które widocznie położyła tu ręka kogoś, kto również pamięta...

Jeszcze tylko zapala znicz i już ze swym zwyczajnym, twardym wyrazem twarzy ciągnie Mariannę do wyjścia.

Dziewczyna wie, że nie powinna pytać. Wie, że nawet jeśli to zrobi i tak zapewne nie otrzyma odpowiedzi.

- Kim był dla Gabrysi ten Waldemar Czerski?

Kobieta przez chwilę się zastanawia, dźwięk tamtego imienia niemal drażni jej uszy - jak długo nie słyszała go z obcych ust? Milczy, nie zmieniając tempa marszu. Idzie w stronę bramy cmentarza. Cmentarny kurz spod spódnicy unosi się wysoko, wiruje w świetle padającym spomiędzy gałęzi drzew. Myśli nad odpowiedzią, choć nie ma obowiązku jej udzielać. Ale to przecież Marianna, jej kochana dziewczynka. Taka już dorosła...

- Waldemar był wspaniałym, dobrym człowiekiem, który nie uniósł ludzkiej niegodziwości. Niegodziwość? Kto skrzywdził tego mężczyznę? Marie nawet nie podejrzewa...

Cieniste alejki cmentarza rzucają cień. Zielone korony wiązów i kasztanów wiszą nad głowami. Jak wtedy, w parku...

Wspomnienia wracają, kreśląc obrazy przebrzmiałej przeszłości.

...Gabrysia jest młodą, pełną życia panną z dosyć zamożnego, mieszczańskiego domu, wykształconą na jednej z warszawskich pensyjek, gdzie nauczyła się, jak być przykładną żoną, matką, zaradną panią domu. A przy okazji miała szansę zakosztować życia wyższych sfer. Edukacja w zacnym towarzystwie ma jej dać możliwość wkupienia się w tamten lepszy świat. Kim bowiem jest jej ojciec, właściciel

tartaku, wobec tych panienek ze szlacheckich, a nawet magnackich domów? Teraz tylnymi drzwiami, poprzez naukę, ojciec kupi dla jedynaczki lepszą przyszłość.

Ale czas płynie. Gabrysia kończy szkołę. Zdrowa, dorodna, a teraz i wykształcona młoda kobieta wraca do swojego miasteczka, do rodziców, Świetna partia. Tylko ci kawalerowie - poniżej oczekiwań. Szczególnie Waldemar. Przystojny, ambitny marzyciel, ale w dwukrotnie przenieconym garniturze, jest tylko początkującym nauczycielem z miejscowego gimnazjum. Rodziców nie cieszą spaceru Gabrysi po parku z tym młodym człowiekiem. Nie takiego adoratora dla córki pragnęli. A młodzi... Mają sobie tyle do powiedzenia. O literaturze, o sztuce... o miłości. Waldemar kocha Gabriele, a ona... Ona ma wyższe ambicje. Choć Waldi to taki miły, ładny chłopiec. Intelktualista, który, tak jak ona, bardzo chciałby wyrwać się ze swojej klasy.

On przez ciężką pracę, ona przez małżeństwo z kimś, kto najlepiej, by wcale nie musiał pracować. Ale w ich świecie niełatwo spełniać marzenia. Są sprawy, z którymi nie da się walczyć.

Więc spacerują. On nieśmiało chwyta czasem jej dłoń. Przynosi małe bukietki fiołków. Zagląda w oczy głęboko, z nadzieją... Gabrysia jest młoda i taka jeszcze niedoświadczona. Miło ją łechce ta adoracja, ta wytrwałość, czystość intencji, łagodność Waldemara. I miłość. Wyznawana potajemnie, ze wstydem, w cieniu parkowych drzew...

W jej sercu też zaczynają pobrzmiwać jakieś łagodniejsze tony. I ostry sprzeciw wobec prawdopodobnego - niezbyt dostatniego, ale pełnego miłości życia - maleje. Znoszony garnitur już tak nie razi, mizerna pensyjka nie zniechęca. Nadzieja w jego oczach rośnie. W oczach Gabrysi rośnie uczucie...

I wtedy pojawia się ten drugi. Piękny, wykształcony, bogaty i dobrze urodzony. Jak z bajki, jakby zmaterializowały się jej pragnienia. Podjeżdża z nonszalancją, z pewnością siebie pod tartak ojca zaprzężonym w dwa białe konie wolantem. Gabrysia pomaga ojcu w biurze. Podaje herbatę interesantom. Rozmowa toczy się wokół kwestii handlowych, cen jesionowych desek, ale młodego pana wyraźnie zaczyna zajmować nie tylko kwestia tarcicy. Zerka na panienkę przychylnie. Uśmiecha się, czaruje. Ojciec widzi spojrzenie młodego człowieka, ale nie ingeruje. Gdyby tak jego ukochana Gabrysia... Z takim wielkim panem... Udaje, że nie dostrzega, jak tamten delikatnie adoruje pannę, jak na pożegnanie, z większą niżby wypadało atencją, całuje jej dłoń. Ojciec przymyka oczy, obserwując zaróżowione policzki zawstydzonej córki.

I po tej niespodziewanej wizycie pana w biurze zmienia się w jej życiu wszystko. Już nie czeka na fiołki, na wierne spojrzenie Waldiego. Na spaceru już nie ma czasu. Wszystkie jej myśli koncentrują się na tamtym. A on - choć to wydaje się niemożliwe - zaprasza ją na przejażdżki po lesie. Mówi o miłości, o nagłym porwywie. O tym, że nie zważa na konwenanse, że liczy się tylko to, co głęboko ukryte w sercu. Na koniec wznieca ogień, który po raz pierwszy ogarnia niedoświadczone ciało Gabrieli.

Rodzice nie mogą uwierzyć w swoje szczęście, ona nie może uwierzyć, że jest ono jej udziałem.

Waldi... dobry, kochany Waldi...

Dostrzega, że ukochana się oddała, wymyka mu się ze spragnionych rąk, czuje, że Gabrysia już nie wierzy w spokojne życie za nauczycielskie grosze, w siłę szczerej miłości. A dziewczyna zgadza się tylko na ostatnie, wyblągane w rozpacz spotkanie.

Rzut monetą. Swoje młode życie Waldemar kładzie na szali... Niech się dzieje, co chce. On już i tak nie ma nic do stracenia. I znowu zbiera własnoręcznie fiołki - mówiła, że tak bardzo je lubi, a on i tak nie mógłby pozwolić sobie na różę od kwiaciarki.

Ponad głowami młodych ludzi spokojnie szumią dęby. Słońce przedziera się przez ich korony. Świetliste plamki urządzają sobie na trawie rozedrgany taniec. Oni. Otoczeni zielenią przystrzyżonych krzewów, ukryci przed niepożądanymi spojrzzeniami innych spacerowiczów. Gabrysia patrzy gdzieś w bok, na rzekę lśniąca w słońcu, poniżej parku - on klęka. Głos mu drży. Prosi. Tłumaczy, przysięga. Prezent dla panienki ma taki skromny, ale może kiedyś, z czasem, będzie mógł jej ofiarować więcej. Teraz daje to, co ma - małą, prostą srebrną obrączkę. Przeprasza, że ma czelność, że się odważył, ale zaklina się na swe zakochane serce, że usłe jej życie tymi kwiatami, tymi fiołkami. Rzuca swe istnienie na tę chybotliwą szalę, chociaż przecież nie wie - biedny - że ona przechyliła się już na stronę tamtego drugiego.

Gabriela wyrywa powoli mu swą dłoń - delikatnie - ale Waldemar czuje, jakby wyrywała serce. Stanowczo podnosi mężczyznę z kolan - jeszcze ktoś zobaczy, doniesie tamtemu... Mówi spokojnie, choć ma Waldiemu za złe, że ją prosi, że błaga o niemożliwe. Ja! Tłumaczy, że tak się nie godzi, że docenia, ale nie może, bo nie kocha... Może przez moment myślała inaczej, ale to było tylko chwilowe zapomnienie. Młodzieńczy poryw serca. Ma obowiązki wobec rodziców. Rodzice mają ambicje...

Oddaje pierścionek, ale Waldemar nalega. Jeśli on nie może do Gabrysi należeć, to niech przynajmniej ten symbol jego oddania dla panny zostanie przy niej. Żegnają się. Ostatni raz. On z rozdartym sercem, ona z lekkością na duszy. Nie

mogła postąpić inaczej. Nie teraz, kiedy tamten pan... Srebrna obrączka łąduje ukryta na dnie szkatułki.

I znowu jej głowę zaprzatają tylko przejażdżki, spacery po lesie, bukiety kwiatów, czekoladki, obiad niedzielny u rodziców - „Bo z pana taki dobry kontrahent i interesy trzeba przypieczętować”. Rodzice wiedzą, co się dzieje w sercu ich córki, ale o uczuciach nie wypada rozmawiać. Niech pan przychodzi, niech Gabrysię adoruje. To dla nich taki awans...

A panicz gładko mówi o uczuciach do panny podczas ich spotkań. I całuje ją w ukryciu, na leśnych ścieżkach. A jego ręce poczynają sobie coraz odważniej. Dziewczyna nie oponuje. Też kocha i pragnie. Już niedługo on pewnie uklęknie, jak niedawno Waldi. Ale od niego przyjmie każde zapewnienie, każde słówko weźmie za dobrą monetę. I odda duszę. I ciało... Najpierw odda ciało.

Kiedy miesiąc później Gabriela orientuje się, że teraz już ślub jest nieunikniony, dociera do niej straszna wiadomość.

Rok szkolny już za półtora miesiąca, a ten młody nauczyciel z gimnazjum taki skandal wywołał. Bo co by rodzice uczniów pomyśleli o tej zacnej, a przecież opłacanej z prywatnych kieszeni placówce? Jak dobrze, że to w wakacje... Stróż go znalazł w jego mieszkanku, którego użyczyła nauczycielowi, w swoim budynku, dyrekcja szkoły. W miasteczku mówią, że zmarł nagle - choroba jakaś niespodziewana - ale po kątach plotkują, że to sznur, a nie medyczne przypadłości. Że to chore serce z nieszczęśliwej miłości pękło, a nie z powodu jakiejś ukrytej wady. Ksiądz się godzi na pochówek na cmentarzu. Dyrekcji szkoły nie zależy na rozgłosie. Wszystko załatwi, jak należy. Tuszuje sprawę, płaci za nagrobek. Skromny, ale ładny. Msza jest uroczysta. Kościół pełen uczniów, nauczycieli, mieszkańców miasteczka - bo to taki dobry, poczciwy był człowiek. I dla uczniów miły, choć wymagający, i na co dzień taki cichy, a taktowny...

W pierwszej ławie usiadła starsza, chuda kobieta, przygnieciona rozpaczą. Oczy ma jednak suche, usta zacięte, ręce spracowane - wszystkie zmarnowane nadzieje, cały trud jej życia, leży teraz w zimnej trumnie. Chowa swego jedynaka.

W ostatniej ławce, za kolumną, skryła się młoda kobieta. Nawet nie walczy ze łzami - chowa wyrzuty sumienia.

I swoją rosnącą hańbę pod sukienką.

Już wie, już zrozumiała, że pan nie myśli się żenić, że jej życie właśnie się skończyło. Rodzice jeszcze nie wiedzą, a ona też im nie powie. Jeszcze nie. Jeszcze nic nie widać.

Ale matka się domyśla. Pan po drewno przyjeżdża, ale w gabinecie ojciec nie rozmawia już z nim o interesach. Mówi o infamii, wstydzie i upokorzeniu, o ludzkim gadaniu. Pan nie obiecuje ślubu, ale jest szlachetny - pomoże. Dyskretnie, po cichu.

Ale cóż Gabrysi po pomocy. Przez jej pobożne serce przechodzi na moment ta okropna, niegodziwa myśl - pozbyć się wyrzutów, hańby. Ale boi się więzienia - trzech lat w ciemnej celi za mord na nienarodzonym. Boi się tego straszego prawa ustanowionego przez ludzi... I śmierci. Może nikt się nie dowie? Może wszystko pójdzie gładko? Ale jeśli Gabrysia - tak jak ich sąsiadka, ta biedna Marciniakowa, co osierociła czwórkę dzieci - za ten bezbożny czyn, za to potajemne morderstwo wykonane w brudnej piwnicy niewprawną ręką też odda życie? Wykrwawi się z bólu i wstydu. Dziewczyna bardziej boi się śmierci niż wygnania poza nawias społeczności. Z bękartem. Bastard! A jednak to słowo przeraża ją mniej niż to drugie - skrobanka. Zamach przeciwko Bogu i dzieciątku Jezus. Więc i ona będzie miała dzieciątko. Splamione chwilą nieuświęconego przed ołtarzem zapomnienia. Z tamtym...

Modli się gorliwie do małego Jezuska, do jego matki. O zlitowanie, o wybaczenie. I jej gorące prośby zostają wysłuchane, a natura dopełnia woli Pana. Wyrzuty sumienia, gdy myśli o Waldim, nieprzespane noce, płacz w poduszkę, gorycz rozczarowania ukochanym i ta wielka nieukożona rozpacz. Rozpacz rozrywa jej lekko zaokrąglony brzuch któregoś listopadowego poranka i litościwy Bóg zabiera od Gabrysi to dziecko - które każdego dnia przypominałoby jej o zmarnowanym życiu. Ciało wyrzuca z siebie ostatni krwawy strzęp - dowód zatracenia...

Tym razem nie ma mszy ani uroczystości. Jest tylko mała mogiła, bezimienna, wykopana przy murze. Nikt nie płacze po nienarodzonym dziecku.

I znowu zjawia się pan. Pokryje wszystkie koszty, z uwagi na ich niebyłą już zażyłość. I pomoże dziewczynie na tym tragicznym zakręcie. Da jej życie z dala od wspomnień i miejsca, gdzie ostatecznie wykrwawiło się jej młode, głupie serce. Na smutki najlepsza jest praca, oderwanie od bolesnych przeżyć. Atu Gabrysi będzie ciężko zapomnieć. Ludzie niby nic nie wiedzą, ale coś tam gadają. Ludzie zawsze za dużo gadają. Zła sława ani jej, ani panu nie jest przecież potrzebna. Prawda? A on znalazł dla niej wymarzone miejsce. I to niedaleko, w pięknym majątku, gdzie cisza i spokój, gdzie diabeł mówi dobranoc. Gdzie nikt nie pozna prawdy i życie zacznie się od nowa... Pani tego cudownego dworku wkrótce powije dziecko i Gabrysia mogłaby pomóc przy jego wychowaniu - jest przecież wykształcona. Dostanie za to godziwą zapłatę i dach nad głową. Wśród dobrych, bogobojnych ludzi. Rozczarowanym rodzicom zejdzie z oczu, w miasteczku przestaną plotkować. Wyjedzie na dwa, trzy lata. Wszyscy o błędach młodości zapomną...

Ale Gabriela do domu nie wróci już nigdy. Najpierw odchowa Mariannę - kochając ją W głębi serca tak, jakby

kochała własne, utracone dziecko - a później, gdy na świat przyjdzie Michał, zabierając życie swojej matce, do zajęć bony dojdą jej jeszcze obowiązki gospodyni.

Z roku na rok coraz bardziej wtapia się w krajobraz kamienieckiego majątku, przeżywając w ciszy śmierć rodziców pozostawionych w rodzinnym domu - najpierw matki, wkrótce po niej ojca. Ostatnie nici łączące ją ze starym życiem pękają i tylko czasem, gdy odwiedza cmentarz, ta czarna karta przeszłości otwiera się na powrót przed jej oczami. Przez moment znowu mocniej czuje smak pokuty za odrzuconą, szczerą miłość Waldemara i młodzieńczy, bezmyślny poryw ciała. Z czasem stare rany się zablizniają, ból łagodnieje. Ostre obrazy przeszłości powoli zasnuwa mgła.

Kim naprawdę jest Gabrysia, wie tylko pan Aleksander. A on również nigdy o tym nie wspomina. Dzięki temu życie jakoś toczy się dalej. Z wyjątkiem piętnastego lipca, kiedy Gabriela - jak co roku - wkłada na palec obrączkę, niepozorną, srebrną, i wyrywa chwasty z grobu jedyne go mężczyzny, który naprawdę ją kochał.

Żydowskie sklepiki przy rynku tętnią życiem. Ładne kamieniczki - murowane i drewniane otaczają plac, w którego centrum króluje zabytkowa żeliwna pompa. Nierówny trotuar usłany kocimi łbami wypełniony jest ludźmi, wozami, zaprzęgami i duszną wonią słomy i końskiego łajna. Wyszków to niby miasto, ale takie, które nie może się pozbyć ze swoich zakamarków zapachu wsi. Domy stapiają się tu z ogrodami. Ogrody wdzierają się w uprawne pola. Bezkresne łąny szczelnie otaczają tę małą miejską przystań. Przenikają ją...

Uliczki zabudowane niskimi drewnianymi chałupkami, piekarnia Zukermana, gdzie Marianna przez szkolne lata kupowała słodkie bułeczki... Szewc, rzeźnik, kawiarnia, wyroby kolonialne... Dziewczyna zna tu każdy dom, każdy

wyślizgany kamień pod nogami, każde drzewo. Wokoło panuje senna atmosfera, mimo pozornego ożywienia przechodniów. Życie toczy się tu sinusoidalnie - poranny gwar, później spokój w godzinach obiadowych i znowu ludzie wychodzą przed domy. Załatwiają swoje sprawy, by wrócić, zanim na ulicach zapłoną gazowe latarnie. Tylko letnie sobotnie wieczory wyglądają inaczej, tchną lepszym światem. Mieszkańcy spacerują po moście, wpatrują się w łagodny nurt rzeki płynącej w tym samym rytmie, jakim oddycha miasteczko. A później, w parku otaczającym gimnazjum, pod otwartym rozgwieżdżonym niebem, tańczą na zbitej z desek scenie. Wirują przy dźwiękach wesołej polki, namiętnego tanga, szalonego fokstroda. W świetle lampionów wiszących na drzewach, w ciepłe letniego wieczora, udają sami przed sobą, że w tym sennym na co dzień miejscu ich życie wcale nie toczy się bez celu i że są naprawdę szczęśliwi...

Teraz jednak Marianna na znudzonych twarzach przechodniów widzi tylko odbicie ich codziennych trosk - do soboty tak jeszcze daleko.

Dziewczyna idzie w stronę starego parku, w którym teraz nie gra muzyka, a tylko jaśnieje biały budynek gimnazjum. Przed rozległym pasem drzew stoi małe kino, a obok biblioteka, prowadzona przez Elżbietę i Eugenię Rogalskie - miłe, stare panny. I właśnie tam Marianna kieruje swe kroki.

Gabriela ma w planach domowe sprawunki, więc dziewczyna ma chwilę, by oddać się swojemu tajemnemu zajęciu - poznawaniu tego, czego nie powinna i wypożyczaniu tych pozycji, których na pewno nie znalazłaby w bibliotece ojca.

Ile godzin spędziła tu na ukradkowym czytaniu gazet, jakich nie zamawiano w Kamieńczyku? Tu rodzą się jej poglądy, otwierają drzwi na lepszy, odarty z niewygodnych konwenansów świat. Może zgłębić słowa, których nie wolno

jej wypowiadać na głos. Poznać myśli tak pociągające, groźne, nieuczesane, gorszące... Zrozumieć moc literatury - pełnej niezrównanych smaków i barw.

Marianna idzie szybko, choć dusi ją skwar bardziej dotkliwy w mieście niż u niej na wsi. Szukając chłodu, przemyka pod domami, kryjąc się w ich cieniu. Na ulicach mijają niewielu Polaków - w Wyszku opowiada się anegdotę, że połowa mieszkańców to Żydzi, a druga to... Żydówki. I tak jest w istocie. Żyje ich tu chyba więcej niż katolików. Dwie odrębne nacje udające wspólnotę. Ale to tylko pozór. Podziały są głębsze, niż się wydaje. Ludzie nie żyją razem, a tylko obok siebie... Bez wrogości, ale też bez szczególnej zażyłości.

Marianna ma w szkole wiele koleżanek wyznania mojżeszowego. Szkoła średnia - gimnazjum, liceum - jest przecież płatną, więc niewielu stać na edukację. Jednak żydowski ojciec może chodzić głodny, ale pieniędzy na naukę dziecka nie szczędzi - to jedyna droga, by zmienić status w hierarchii społecznej. Marianna lubi niektóre z tych żydowskich dziewcząt, choć podobno nie powinna. Nie wypada - jej, córce ziemianina... W szkole żydowskich uczniów traktuje się jak mniejszość, choć przecież są w większości. W miasteczku ich rodziców uważa się za obywateli drugiej, gorszej kategorii, choć nierzadko powodzi im się lepiej niż katolikom. Zasiadają nawet w radzie miasta. Są nieodzownym elementem polskiego krajobrazu.

Więc Marianna nie rozumie... Tuwim, Krzywicka z domu Goldberg, Wierzyński to przecież naprawdę Wirstlein, „Lesman”, Słonimski... Jej młodzieńczy idole, bohaterowie, artyści, których tak ceni... Więc czemu nie wypada jej się przyjaźnić z Sarą Abramowicz, Miriam Mendl czy Rachelką Silberstein?

Dziewczyna tego do końca nie pojmuje, ale dostosowuje się do norm. I tak w jednej ławie siedzą równe sobie uczennice - zdolności nie są przecież rozdzielane według kryterium wiary, pochodzenia czy koloru włosów - ale po lekcjach... Każda wraca do swojego świata.

Marianna mija zalany słońcem, okazały budynek murowanej synagogi i skręca w lewo. Piętrowy dom z odrapanym gankiem ukrywa się wśród wysokich pnączy dzikiego wina i tylko mała tabliczka z napisem: „Biblioteka” odróżnia go od innych stojących w głębi ulicy. Drewniane drzwi, z których zaczęła już schodzić musztardowa, brzydka farba, dziś są otwarte na oścież. Wpuszczają gościnnie do środka ożywcze powietrze. Podłoga w sieni głośno skrzypi pod nogami Marianny. Wewnątrz panuje półmrok.

- Panienska Marianna! - wita dziewczynę drobna kobieta siedząca za biurkiem w pokoju w głębi korytarza.

Siwe włosy spięte starannie w kok, okulary w cienkich metalowych oprawkach. Mimo zaduchu i gorąca panującego w środku ma na sobie brązową, bardzo nietwarzową suknię z długimi rękawami. Pod szyją połyskuje mała broszka w kształcie kwiatka.

Panna Eugenia, młodsza z dwóch sióstr Rogalskich, ma około pięćdziesięciu lat. Nigdy nie znalazł się kawaler do jej ręki. Może nie była ładna, więc zabrakło chętnego na wątpliwe wdzięki, a może ona sama nie chciała wychodzić za mąż? Choć mieszka w małym mieście, gdzie wolna kobieta jest postrzegana jako ułomna lub nie w pełni wartościowa, nie wydaje się tym faktem zbyt przejmować. Żyje wraz z siostrą - również niezamężną - z którą prowadzi ten mało dochodowy interes. I wydaje się Mariannie całkiem spełniona i szczęśliwa. Widocznie można tak bardzo kochać książki, że nie czuje się w sercu tęsknoty za inną miłością. A może te dwie, w oczach dziewczyny bardzo postępowe w swych poglądach kobiety

nigdy nie szukały oparcia przy boku mężczyzn? Może do szczęścia wcale nie potrzeba im było dzieci i licznych domowych obowiązków? I wolały płynąć pod prąd? Wbrew prawom i obyczajom.

Marianna bardzo je ceni i być może - w pewnym stopniu - to właśnie pannom Rogalskim zawdzięcza, że dostrzegła świat poza schematem, który wdrukowywał w nią dom. To te dwie kobiety od zawsze pozwalają jej na wręcz nieograniczony dobór lektur. A może po prostu dostrzegają w dziewczynie potencjał i dlatego przymykają oko na to, po co sięga na półkach? Dzięki nim czytuje, w ukryciu wysokich bibliotecznych regałów, felietony, reportaże czy recenzje teatralne, niekoniecznie odpowiednie dla panienki z dobrego domu. I urokowi tych tekstów ulega, obracając w niwecz wpojone pod kamienieckim niebem wartości. Zaczyna wierzyć w świat, o którego istnieniu dowiaduje się w lekko zapuszczonym domu dwóch starych panien.

- Dzień dobry, pani Eugenio. - Marianna siada po drugiej stronie biurka i niedbale zdejmuje kapelusz.

- I jak się miewa nasza ulubiona maturzystka? - Bibliotekarka wkłada zakładkę do czytanej właśnie książki i delikatnie odkłada ją na bok.

- Udało się. Będę studiować.

Kobieta uśmiecha się. Wokół jej ust tworzą się głębokie bruzdy.

- Tak, wiem, wiem. Był u mnie w tamtym tygodniu twój szkolny kolega, Władek Długolecki, i przekazał nowinę... Przyjmij moje najszczerze gratulacje. Zresztą byłam pewna, że tak się właśnie stanie. - Robi pauzę, przyglądając się Mariannie swymi przenikliwymi, głęboko osadzonymi oczami. - A jak Marianny tata? Cieszy się?

Dziewczyna uśmiecha się blado.

- Dobrze pani wie... Oczywiście, że się ucieszył, chociaż przecież od początku był raczej sceptyczny wobec tego pomysłu. Więc myślę, że bardziej jest dumny niż szczęśliwy i wolałby, żebym jednak została w domu... Gorzej z moją babką Leokadią. - Wzdycha. - Ona uważa to za zwykłą fanaberię i twierdzi, że przeprowadzka do Warszawy zupełnie mnie wykolei. Że powinnam siedzieć w majątku i wyglądać kawalerów. Ale przecież ja umarłabym z nudów w Kamieńczyku!

- No tak... Ale wiesz, moja droga, podobno ma być wojna. Może bezpieczniej by było... Może przeczekać z rok?

- Sama pani nie wierzy w to, co mówi. Nie będzie żadnej wojny. I na pewno Niemcy nie pokrzyżują mi planów. Co oni mogą zdziałać z tą swoją niedoposażoną armią i z tym krzykaczem Hitlerem na czele? Niech tylko przekroczą granicę, a szybciotko będą zawracać z powrotem do Berlina. W gazetach przecież uspokajają... A nawet gdyby... Przecież naziści nie zamknęliby szkół, a tym bardziej uniwersytetu. Zresztą czy pani sama nie namawiała mnie na te studia?

- No... tak. Ale teraz tyle się mówi... Może to nie najlepszy czas na wyjazd do Warszawy. W razie czego zawsze tutaj, na prowincji, będzie spokojniej.

- Do rozpoczęcia roku akademickiego zostało jeszcze ponad dwa miesiące. Do tego czasu na pewno sprawy przycichną.

- Może to i racja... Na starość człowiek robi się jakiś bardziej lękliwy. Ale ja wiem, wiem... Ty masz gorącą głowę i moje gadanie nic tu nie da. A z drugiej strony, może rzeczywiście masz rację? Może wszystko się jeszcze ułoży?

Kobieta zamyśla się na chwilę. Jakaś natrętna mucha siada jej na wierzchu dłoni - zrzuca ją ze wstrętem, po czym znowu podnosi wzrok na dziewczynę.

- Ale jak rozumiem, nie sprowadza cię tutaj chęć wysłuchiwania obaw staruszki...

- Szczerze mówiąc, to cierpię w Kamieńczyku na całkowity brak dostępu do wszystkiego, co mnie naprawdę interesuje. Sama pani wie, o czym mówię, prawda? - Uśmiecha się do kobiety porozumiewawczo, na co ta odsuwa energicznie krzesło, wstaje i mówi:

- No to chodźmy.

Opuszczają gabinet i idą tym samym korytarzem, którym Marianna tu weszła. Snop światła wpada przez otwarte drzwi wejściowe do ciemnego holu. Widać, jak drobinki kurzu tańczą w powietrzu, unoszone niemal niewyczuwalnym przeciągiem.

Kobieta otwiera boczne drzwi i wprowadza gościa do środka. Pomieszczenie jest zadziwiająco duże, ale tutaj też panuje półmrok, bo okna wychodzące na zachód zostały szczelnie zasłonięte ciężkimi storami. Panna Eugenia podchodzi do okna i rozsuwa zasłonę jednym ruchem. Uchyła też okno, ale zapach książek i kurzu oraz dawno nietrzepanego, zniszczonego dywanu nie dają się tak łatwo wyrzucić.

Słońce wpada do pokoju i oświetla wypełnione do sufitu regały, które poustawiano w równoległych rzędach. To nie jest prawdziwe pomieszczenie biblioteczne, ten pokój przed laty musiał być salonikiem, może jadalnią...

Każdy centymetr pokoju wypełniają skatalogowane pisma, równo poukładane książki. W tej niesłychanej masie tylko panna Eugenia potrafi się poruszać. Wie doskonale, co gdzie leży. A wszystko ma swoje dokładne miejsce. Bez chwili wahania idzie do ostatniego wgłębi regału. Przesuwa opuszkami palców po ustawionych w równym szyku gazetach, po czym wyciąga kilka z nich.

- Tych pewnie nie miałaś okazji czytać, przyszły już po twoim powrocie do domu.

Podaje dziewczynie parę numerów „Wiadomości Literackich”, wyglądających nieskazitelnie, choć, Marianna dobrze wie, że w tym domu stanowią pozycję obowiązkową obu panien. Ale one z pietyzmem przewracają kolejne strony, z szacunkiem obchodzą się z każdym słowem utrwalonym na cienkim papierze.

Panna Eugenia z uśmiechem podaje plik dziewczynie.

- A masz ochotę na jakąś książkę?

- Coś mi pani poleci?

Kobieta znika między regałami. Szybko znajduje odpowiednią pozycję.

- Wiesz, to może nie jest zbyt ambitne, ale, choć wstyd się przyznać, sama uwielbiam Dołęgę - Mostowicza. A jego Doktor Murek wkrótce będzie w kinie, więc może zanim obejrzysz film, dobrze, abyś przeczytała książkę. Poza tym teraz, w wakacje, możesz skusić się na jakąś lżejszą lekturę. - Zamyśla się, podając dziewczynie niewielki tom. - Choć tak naprawdę, mimo że lekko napisana, nie do końca mówi o błahych sprawach. Sama ocenisz.

Marianna przygląda się okładce. Bibliotekarka zwykle dobrze jej doradza, więc pewnie i tym razem dziewczyna się nie zawiedzie.

- Mogłaby mi pani to zapakować?

Kobieta uśmiecha się lekko, ze zrozumieniem i potakuje.

- Naturalnie. - Otwiera pobliską szafę i wyjmuje duży arkusz szarego papieru. Paczkę owija sznurkiem i podaje dziewczynie. Wychodzą z pokoju. Stają na progu domu.

- Oddam, gdy tylko znowu przyjadę do miasta.

- Nie ma pośpiechu. I tak nie ma tu zbyt wielu chętnych do czytania tego, co ciebie tak interesuje. Tu ludzie żyją innymi problemami. Na sztukę niewiele ma czas...

Marianna już przekracza próg, kiedy o czymś sobie przypomina:

- Czy nie wie pani może, kim był Waldemar Czerski?

- Waldemar Czerski? Czerski... - Zamyśla się. Na jej twarzy rysuje się wysiłek. - Chyba nie... Chociaż, zaczekaj... Był tu kiedyś, przed laty, taki nauczyciel. Ze dwadzieścia lat temu. Uczył w gimnazjum. Czasami zaglądał do naszej biblioteki, ale wtedy to przede wszystkim moja siostra zajmowała się jej prowadzeniem. Ale tak, teraz sobie przypominam, na pewno tu przychodził... Czemu akurat o niego pytasz?

Marianna już stoi na dworze. Słońce świeci jej prosto w oczy.

- Widziałam jego grób na cmentarzu... Taki młody człowiek... - A tak. Rzeczywiście. Zmarł młodo. Nagle. - Pociera dłonią

czoło, na które wystąpiły krople potu. Siwiejące włosy srebrzą się w jaskrawych promieniach. - Z tego co pamiętam, mówiło się, że popełnił samobójstwo. Że zakochał się w jakiejś bogatej dziewczynie, a ta odrzuciła jego rękę. Ale może to tylko plotki? Nie wiem. Kto by dzisiaj o tym pamiętał. Tyle lat...

- Mimo wszystko bardzo pani dziękuję. - Wycofuje się powoli. - Oddam gazety i książkę, jak szybko się da. Do widzenia.

Już chce się odwrócić, gdy panna Eugenia łapie się za czoło.

- I widzisz. Zupełnie bym zapomniała. Przecież mam dla ciebie coś jeszcze. Poczekaj.

Szybko odwraca się, zdecydowanym krokiem przemierza korytarz i ginie na moment w mroku gabinetu. Gdy wraca, w dłoni trzyma malutki, zawinięty w ładny, ozdobny papier prezent. Wręcza go zdziwionej dziewczynie.

- To tylko taki drobiazg. Ode mnie. Z okazji dostania się na studia.

Dziewczyna uśmiecha się nieco zawstydzona tym nieoczekiwanym podarunkiem. Przyjmuje go z wahaniem.

- Bardzo pani dziękuję - mówi zmieszana. - Ale... nie trzeba było.

- To naprawdę nic wielkiego. Tylko tomik wierszy. Moich ulubionych. Żebyś o mnie pamiętała w tej Warszawie.

Marianna jeszcze raz dziękuje i żegna się, zerkając z ciekawością na niewielką paczuszkę.

- Do widzenia, Marianno - mówi z uśmiechem panna Rogalska. - Udanej lektury. No i powodzenia...

Dziewczyna zostawia kobietę na progu i szybkim krokiem idzie w stronę rynku. Gabriela będzie na nią zła. Wizyta w bibliotece zabrała jej stanowczo za dużo czasu. Ale kto by teraz myślał o gniewie gospodyni... Przypomina sobie słowa panny Eugenii. Te o zmarłym nauczycielu. I nie ma żadnych wątpliwości. A więc to przez jej Gabrysię stracił życie tamten młody człowiek Marianna jeszcze się dowie... Wszystkiego się dowie...

Krzesło w jej pokoju stoi puste. Gdzieś zniknęła marynarka, którą Marianna zostawiła tu przed wyjazdem do miasteczka. A może to Zosia gdzieś ją przewiesiła? Nie, Dziewczyna już wie, że to musiał być on. Przyszedł, kiedy jej nie było.

Rzuca sprawunki na łóżko. Paczkę od panny Eugenii zostawia na biurku pod oknem i szybko wybiega z pokoju. Ojca znajduje w gabinecie. Drzwi są uchylone, leciutko w nie puka i bez dalszego oczekiwania na zaproszenie wchodzi do środka. Mężczyzna siedzi nachylony nad opasłą księgą wypełnioną różnymi tabelami, numerami...

- Witaj, tatku. - Zarzuca ojcu ręce na szyję i całuje w policzek. Pan Aleksander, choć nie lubi, gdy mu się przerywa

pracę, odwzajemnia uścisk córki. Cóż począć, że jego ukochane dziecko jest tak impulsywne. - Zamyka więc grubym tomem, wkładając zakładkę w miejscu, gdzie mu przerwano pracę.

- Witaj, Marie. I jak zakupy? Udane? Znalazłaś odpowiedni kapelusz?

Marianna okrąża biurko i z impetem siada w fotelu naprzeciwko ojca.

- Kapelusz? Musiałam zamówić. Nic ładnego nie było. Wolałabym jechać do Warszawy.

- Może niedługo się wybierzemy. Może...

Marianna z niecierpliwością stuka palcami o blat. Wystukuje niesłyszalne gamy i pasaże. - A co dziś tata porabiał?

Mężczyzna uśmiecha się do dziewczyny, obserwuje palce tańczące z młodzieńczą ekspresją po politurze biurka. Ileż w tym jego dziecku jest pasji? Po kim odziedziczyła tak nieokiełznany temperament?

- Miałem gości.

- Gości? - udaje zdziwienie.

- Właśnie. Dopiero jakąś godzinę temu wyszli. Był u nas Zenon. Wraz ze swoim przyjacielem. Tym panem Jasińskim, z którym wczoraj byliście na pikniku. Zostawił podobno marynarkę...

- A tak. - Jej palce zamierają w bezruchu, w pół taktu... Marianna bardzo się stara, żeby z jej twarzy ojciec niczego nie wyczytał. Serce zaczyna jej szybciej bić. Dłonie wilgotnieją. Dlaczego tak trudno opanować emocje?

- Wczoraj osłonił mnie nią przed deszczem. Zupełnie wypadło mi z głowy.

Dlaczego, dlaczego pojechałam z Gabrysią? Tak pragnęła go zobaczyć. Każda komórka jej ciała tęskni za jego widokiem... Ręce Marianny leciutko drżą, więc kładzie je

zaciśnięte w pięści na kolanach, poza zasięgiem wzroku pana Aleksandra. Sama też nie może znieść ich widoku. Czemu potrafi opanować twarz, a te głupie, wilgotne dłonie nie chcą jej posłuchać?

- A korzystając z okazji, wypytałem panów o nastroje w stolicy. Wypiliśmy razem herbatę. Bardzo mili młodzi ludzie. A ten Jasiński wyjątkowo ciekawy człowiek. No i dowiedziałem się przy okazji, że to twój kolega z wydziału.

- Już raczej nie kolega. Zaczyna się doktoryzować. Będzie wykładał.

- Więc masz jedyną w swoim rodzaju okazję, by przed rozpoczęciem studiów poznać wykładowcę. Co za zbieg okoliczności. Prawda? - Zamyśla się. - Oczywiście jeśli w ogóle twoje studia dojdą do skutku...

- Co też tata opowiada?

Mężczyzna pociera czoło. Wyraźnie coś go dręczy. Bije się z myślami. Marianna jest taka wybuchowa... Z obawą cedzi słowa:

- No przecież wiesz, Marie... Tyle się mówi.

- Wszyscy nic, tylko wojna i wojna. Tatku, żadnej wojny nie będzie!

Czy dzisiaj już nie odbyła podobnej rozmowy? Skąd we wszystkich ten strach?

- Kto wie... kto wie, córeczko. Zenon i pan Zygmunt też nie są tacy pewni, że do niczego nie dojdzie. My tu na wsi niewiele widzimy. Docierają do nas tylko strzępy informacji. Ale oni, ci młodzi ludzie, obracają się przecież w Warszawie, w towarzystwie świątłych osób, które wiedzą więcej, niż można przeczytać w gazetach na prowincji. I widzisz, moi dzisiejsi goście też nie są takimi optymistami jak ty. - Bierze do ręki stojący przed nim przycisk do papieru - masywną figurkę ułana na koniu - palcami przesuwając po grzbiecie zminiaturyzowanego zwierzęcia. - Zaczynam się obawiać,

Marie, co to będzie, ale nie wykluczam, że jeśli nastroje jeszcze się pogorszą, to będę musiał cię prosić, żebyś swoje akademickie plany przesunęła w czasie.

Marianna nie może uwierzyć w to, co słyszy. To niemożliwe - myśli i narasta w niej bunt. Ojciec przecież nie może... Ot, tak. Bo jakaś głupia wojna... Co innego, gdy wspomina o tym panna Eugenia, ale ojciec? Przecież to on jest panem tego domu i jeśli uzna za stosowne, by ją tu zatrzymać, ma do tego prawo. A ona ma obowiązek się podporządkować jego woli.

- Ależ, tatku. - Próbuje zachować spokój, uśmiecha się łagodnie. - Chyba jeszcze nie czas, by się nad tym zastanawiać. Przecież jak dotąd nic się złego nie wydarzyło. Do rozpoczęcia roku akademickiego zostało jeszcze tyle czasu.

- Tak... - Zamyśla się. - Jednak się martwię. O ciebie. Ten wyjazd do Warszawy... A co, jeśli Niemcy rzeczywiście wejdą do Polski? Stolica będzie pierwszym celem. Ty nie pamiętasz wojny... Nikt wtedy nie jest bezpieczny.

- Ale może teraz nie warto się zastanawiać, co by było gdyby? Na razie, tato, nie zamierzam zmieniać planów i proszę, żebyś ty też za mnie ich nie zmieniał.

- Wiem, że to twoje marzenia...

Marianna szybko wstaje z fotela, przebiega dzielącą ich odległość i znowu mocno przytula się do ojca - wie, jak sobie zaskarbić jego przychyłność. Opiera policzek o jego ramię. Mówi najczulszym, najłagodniejszym tonem:

- Kochany jesteś, tatku. Ale nic się nie martw. Wszystko się jakoś ułoży. A jeśli coś się zacznie dziać, wtedy na pewno cię nie zostawię, nie wyjadę.

Marianna sama nie wierzy w to, co mówi, ale pan Aleksander wygląda na uspokojonego jej deklaracją.

Przymyka oczy. Głaszcze złote włosy córki. Czuje ulgę, ona - niepokój.

Wojna, jaka wojna...?

W najgłębszych koleinach, mimo upalnego dnia, nadal widać pozostałości wczorajszego deszczu. Śliskie, brunatne plamy kleją się od ostatnich śladów wilgoci - do wieczora nie pozostanie po nich ślad. Marianna idzie powoli, uważając, by nie ubrudzić jasnych butów błotem. Rozmyśla o tym, co powiedział ojciec, o tych wszystkich niezrozumiałych lękach, które nagle stały się tematem wszystkich rozmów. A przecież nie wydarzy się nic. Nic nie powstrzyma jej pragnień, nic im nie stanie na drodze.

W swym młodzieńczym egocentryzmie Marianna nie znajduje miejsca na nic więcej niż własne plany. Plany i oczy Zygmunta. Jest tylko on. Tylko ta jedna rzecz może spędzić sen z jej powiek. Cała reszta się nie liczy.

Dlatego postanawia wyjść na spacer, żeby móc w spokoju pomarzyć, pomyśleć o nim. Poroztrząsać, jakby wyglądało ich dzisiejsze spotkanie. Gdyby do niego doszło...

Nogi prowadzą ją same. Do tego miejsca, gdzie wczoraj leżała obok niego na rozgrzanej ziemi, pod rozpalonym niebem. Las, przez który prowadzi droga, szumi lekko, drzewa rzucają długie cienie - dzień zbliża się ku końcowi, ustępując miejsca spokojnemu wieczorowi. Kolor nieba powoli zmienia barwę, chmury zalewa czerwona łuna. Ciepłe światło odbija się od rzeki, którą już widać w oddali.

To przewrotna dziewczęca natura wygania ją z domu. Tak naprawdę nie szuka samotności i nie chce podziwiać zachodu słońca, wsłuchiwać się w wieczorne ptasie koncerty. Wyszła z nadzieją, że go spotka, że może on, wiedziony podobnym pragnieniem, przyjdzie w to samo miejsce. Przecież też musi chcieć ją zobaczyć. Czy nie po to zostawił jej wczoraj swoją marynarkę? Marianna czuje, że zaraz go zobaczy, że gdy

ostatnie drzewa odsłonią brzeg rzeki, on tam będzie. Zamyślony, wpatrzony w wodę.

I jest! Już go widzi z daleka. Dostrzega z radością szczupłą sylwetkę mężczyzny siedzącego na plaży. Przyspiesza kroku. Przyspiesza bicie jej serca. Oddycha szybciej...

Ale emocje równie szybko opadają: Czemu to ten...?

Młody człowiek na odgłos kroków odwraca głowę. Zrywa się na równe nogi. Oczy wbija w ziemię, ze wstydem, jakby ktoś przyłapał go na gorącym uczynku. Władek. To tylko Władek Długołęcki.

Marianna zna go dobrze. Są niemal w tym samym wieku - może on jest odrobinę starszy. Przez kilka lat Władysław - tak jak Marianna - chodził do gimnazjum w Wyszku. Ale edukację zakończył na „małej” maturze. Rodziców nie było stać na utrzymanie chłopaka poza domem, więc musiał wrócić i zacząć pracować. Jego ojciec zajmuje się buchalterią. Pomaga we wsi bogatszym chłopom w zagmatwanych kwestiach rozliczeń, podatków, zysków i strat. Prowadzi księgi Cechu Flisackiego oryli buźnych, mającego siedzibę w Kamieńczuku.

Władek mimo marzeń o dalszej edukacji pomaga ojcu w pracy. Zdobywa zawód, który go nie pociąga, i najpewniej nuży, ale nie ma wyjścia - za coś trzeba się utrzymać. Więc mimo że chłopak jest zdolny i bez przeszkód mógłby dalej się kształcić, jego los zostaje przypieczętowany.

Marianna ma do niego stosunek obojętny. Choć może nie... Trochę go chyba lubi - Władysław jest uprzedzająco uprzejmy wobec dziewczyny. Żyją jednak w dwóch tak różnych światach, że od czasu, gdy przestali się razem uczyć, widują się wyłącznie w kościele, a prócz tego niewiele zdarzyło się okazji, by zamienili ze sobą choć kilka zdań. Ich

przypadkowe spotkania zawsze kończą się na wymianie pozdrowień i bardzo zdawkowej, krótkiej rozmowie.

Ale dziewczyna nie wie, że Władek za każdym razem, gdy zobaczy Mariannę, długo to później odchorowuje. Bo choć ten młody mężczyzna zdaje sobie sprawę, że jest niczym przy paniencie mieszkającej we dworze, to jego serce, wbrew logice, bije na jej widok szybciej. Bez wiary we wzajemność, bez nadziei... Zresztą nawet najwnikliwsze oko nie dostrzegłoby tego, co Władysław czuje naprawdę, gdyż głęboko ukrywa tę swoją słabość do byłej szkolnej koleżanki. Strzeże tajemnicy, bojąc się śmieszności, wie, gdzie jego miejsce. Nie dla niego taka panna z dobrego domu...

Niemniej jest jedna osoba, która przeczuwa, co czuje ten młody człowiek, ale ona też nigdy nie poruszy tego tematu - może chłopak w końcu sam się wyleczy z tej mrzonki. Alina Długolecka - jego matka - zna dobrze własnego syna. I zawsze, gdy ten wróci do domu z głębszą niż zazwyczaj melancholią - z wyrazem tej znajomej nostalgii - już wie, że Władek znowu widział panienkę i że musi upłynąć kilka dni, zanim powróci mu spokój.

Więc i teraz Marianna nic nie dostrzega, choć zaskakuje ją, jak chłopak ostatnio wydorósł, jak się zmienił. Bardzo zeszczupłał. Linie kości policzkowych i żuchwy mocno mu się wyostrzyły. Oczy, które dotąd były duże i okrągłe - jak u dziecka - nieco się zapadły, gubiąc ze swego wyrazu iskierek młodzieńczej radości. Teraz to spojrzenie jest już w pełni dojrzałe i dziwnie smutne. Władek sporo urósł i jest dużo wyższy, niż go zapamiętała ze szkolnych czasów. Bardziej zdecydowany w ruchach, postawie - stał się mężczyzną. Całkiem przystojnym mężczyzną.

I może to ta zaskakująca przemiana sprawia, że zwykle obojętna wobec niego, teraz bez wahania podchodzi i podaje mu rękę.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - Uśmiecha się lekko. Władek, czy dlatego, że to powitanie zbiło go z tropu, czy

może przez fakt, że nie widział Marianny od tak dawna - a teraz wydaje mu się jeszcze piękniejsza, jeszcze doskonalsza niż wcześniej - dłużej niżby tego wymagało powitanie, w milczeniu przytrzymuje jej rękę.

- Widzę, że jednak przerwałam ci jakieś zajmujące rozmyślenia.

- Ależ skąd. - Mężczyzna szybko się reflektuje, że jego zachowanie może wydawać się Mariannie dziwne. Zawstydzony odwzajemnia uśmiech i starając się, żeby w ton głosu nie wdarło się zdradzające jego uczucia drżenie, dodaje: - Po prostu jestem trochę zaskoczony, że panią tu spotykam.

- Chyba to miejsce nad rzeką nie jest zarezerwowane tylko dla ciebie? - żartuje Marianna. A on nie wie, czy potraktować jej słowa jak żart. Czy może jednak zarzut.

- Nie, no... naturalnie, że nie. Ale często przychodzę w to miejsce, a pani nigdy tu nie spotkałem. I to samej. Wieczorem.

- Jestem już dorosła... - Naturalnie...

W tym momencie zazwyczaj kończyły się Mariannie powody, by dalej pozostawać w towarzystwie syna księgowego, ale teraz wcale nie spieszy się jej do samotności. Miała co prawda nadzieję spotkać Zygmunta, ale z braku tamtego, upragnionego i to zaskakujące męskie towarzystwo może osłodzić jej wieczorną nudę.

Marianna ku zdziwieniu Władka przysiąda na trawie, w miejscu, z którego on przed chwilą wstał, i ruchem ręki wskazuje miejsce obok siebie. Mężczyzna ze zdumieniem patrzy na ten gest i z lekkim wahaniem siada przy dziewczynie.

Przez chwilę, w ciszy wpatrują się w leniwy nurt i las po drugiej stronie rzeki. Drzewa, zalane czerwoną luną zachodzącego słońca, wyglądają, jakby krwawiły.

- Byłeś w bibliotece panien Rogalskich? - Tak, ale skąd...

- Panna Eugenia wspominała, że mówiłeś jej o moich studiach. - A tak, zapomniałem pani pogratulować...

Czy dziewczynie tylko się wydawało, czy w głosie mężczyzny usłyszała nutkę żalu?

- To wspaniale, że będzie pani mogła się stąd wyrwać. No i uniwersytet...

- Tak, rzeczywiście, nigdy moim celem nie było pozostanie tu, na wsi. - Robi pauzę. - Ale zdaje się, że ty jakoś się tu odnajdujesz? Pracujesz z ojcem.

- To nie był mój wybór.

W głosie Władka Marianna wyczuwa tak głęboki smutek, że po raz pierwszy zaczyna dostrzegać w byłym szkolnym koledze człowieka z krwi i kości. Kogoś, kto przecież też, być może, ma jakieś marzenia, dążenia, a którego ubóstwo, status społeczny, pcha w kierunku, który wcale nie przynosi mu spełnienia.

- Nie jesteś zadowolony z tej pracy?

- Nie mam innego wyjścia. Ojcu było zbyt ciężko, nie mógł dalej łożyć na moją edukację. Może kiedy trochę się przy nim poduczę, będę mógł pojechać do Warszawy, jak pani. Tam znaleźć pracę i zdobyć lepsze wykształcenie. Zawsze marzyłem o politechnice. Ale na razie nie ma na to szans...

A więc pieniądze?

Marianna nigdy nie zaprzęta sobie głowy takimi sprawami. Nigdy nie musi rezygnować z pragnień z tak przyziemnego powodu. Patrzy łagodniej na Władysława, na jego wytarte na kolanach spodnie, znoszone, choć czyste buty.

- Mam nadzieję, że powiodą się te plany.

- Może kiedyś. Ale teraz będę musiał tu zostać. Ojciec nie czuje się zbyt dobrze, większość jego obowiązków spada na mnie. No i wolałbym nie zostawiać matki samej.

Mariannie nic te zagadkowe słowa nie mówią. Ale dla mieszkańców Kamieńczyka nie jest żadną tajemnicą, że stary Długołęcki zbyt często zagląda do kieliszka, że ciągle zmaganie się z niedostatkiem wywarło na nim piętno. Każdy rok coraz bardziej oddala go od rodziny, od syna, w którym pokładał zawsze nadzieje, i żony, dzielnie znoszącej napady męża. Ale to taka praca. Chłop jak nie ma czym zapłacić księgowemu, to zawsze w podzięce przyniesie przynajmniej butelkę wódki. I tym sposobem im mniej w domu Długołęckich pieniędzy, tym więcej znajduje się butelek i powodów do ich opróżnienia. Zakłęte koło...

Milczą oboje. Zatopieni we własnych myślach, w swoich tak różnych, choć tak blisko położonych światach. Ich pragnienia są podobne, ale możliwości dzieli przepaść. Oboje są młodzi, widzą w nauce nadzieję na lepsze życie - choć dla każdego z nich wykształcenie jest przepustką do czegoś innego. Oboje doświadczają też pierwszej miłości. Ale ona ma nadzieję na szczęśliwe losy swojego uczucia, on ani przez chwilę nie wierzy w taki obrót sprawy.

We wrodzonej skromności i świadomości własnej biedy Władysław widzi nawet coś niewłaściwego w zachowaniu Marianny - nie powinna z nim tak siedzieć. Pannie z dobrego domu nie wypada samotnie spędzać wieczoru tylko w towarzystwie syna księgowego - alkoholika. W towarzystwie dziecka matki o spracowanych rękach, zgarbionych plecach, krwawiących ustach...

A najgorsza, najboleśniej jest myśl, że dziewczyna zaraz wstanie, wróci do okazałego, zasobnego dworu, do swojego świata i w chwili, gdy odejdzie ścieżką wśród sosen, zostawi za sobą wspomnienie o nim. Gdy tymczasem Władek

nie będzie mógł spać w swoim starym łóżku, w małym drewnianym domku, przez następne dni, a może tygodnie. Będzie karmił się tą chwilą, tym momentem, kiedy Marianna odezwała się do niego życzliwie, może nawet z zainteresowaniem. Nie będzie mógł wymazać spod powiek jej obrazu. Jej pięknych długich nóg, włosów, których kosmyki głaszczą lekko opalone policzki, tych żywych, pełnych pasji oczu... Jak on będzie mógł żyć dalej, wiedząc, że wakacje wkrótce się skończą i ona wyjedzie - tym razem już na zawsze - i nigdy już nie wpadną na siebie przypadkiem, by choć na moment mógł poczuć obok siebie jej niedostępne dla niego ciało...

Słońce zachodzi. Niebo pokrywa się fioletem. Nad lasem wisi księżyc odarty z zimnego, błyszczącego półkuliście skrawka. Pół jego twarzy pokrywają krater, jak blizny na twarzy po okresie dojrzewania... Zostaną tam na zawsze.

Marianna wie, że czas już na nią. Ta początkowo przyjemna cisza w towarzystwie starego kolegi zaczyna już ją męczyć. Za dużo znaczyć. Czas wracać. Podnosi się. Otrzepuje sukienkę z suchych źdźbeł trawy i podaje mężczyźnie, który również się podniósł, rękę na pożegnanie. Może już nigdy się nie zobaczą?

Szkoda go - przemyka jej przez myśl, gdy spogląda w przepełnione smutkiem oczy.

- Miło mi, że mogliśmy porozmawiać... - mówi cicho on.

- Pewnie nieprędko znowu się zobaczymy... Więc życzę ci powodzenia.

- Dziękuję pani... Ja też życzę udanego pobytu na studiach. Uśmiecha się do niego, uwalniając rękę, i odchodzi piaszczystą drogą w stronę lasu. Niepotrzebnie tu przyszła. Po co zajmować głowę czyimiś problemami. Czyż jej własne nie są najważniejsze?

Rozdział V

Zosia

Gryf zdycha nocą. Samotny, w ciemnym boksie. I tylko głośnie rzenie innych koni - które w swej nieprzeniknionej, mądrej naturze czują, że właśnie jeden z nich odszedł - budzi parobka stajennego śpiącego w pobliskim baraku.

Gdy Marianna wcześniej rano wychodzi z pokoju i wpada na ojca, od razu wie, że stało się coś złego. Pan Aleksander ze szczerym smutkiem w oczach przelotnie całuje córkę.

- Zupełnie tego nie rozumiem. Taki zdrowy koń... I nic mu te leki nie pomogły. Trzeba było jechać do Warszawy. Nie czekać...

Podczas śniadania nikt się nie odzywa. Jadalnię wypełniają tylko odgłosy sztucców pobrzękujących o talerze. Michałek, przygnębiony, dłubie w jajecznicy, nic nie jedząc. Gabriela też wydaje się posepna, choć przecież jej nigdy aż tak nie dotykała śmierć kamienieckich zwierząt. Zbyt wiele miała na swojej głowie domowych spraw, by dokładać jeszcze te związane z inwentarzem. Zosia pojawia się przy stole tylko raz. Jest blada jak papier i wygląda, jakby płakała - czyżby po Gryfie?

I tylko Marianna wydaje się nie przejmować nocnym wydarzeniem. Błądzi myślami daleko. Wokół białego budynku plebanii, gdzie pewnie teraz, w tej samej chwili, Adela, gospodyni księdza, podaje śniadanie gospodarzowi i jego gościom. Podaje śniadanie Zygmuntowi. Marianna przymyka oczy, niemal widząc tę scenę ze szczegółami. Tak by chciała znowu móc z nim porozmawiać. Poczuc jego zapach. Spojrzeć w te oczy, które wydają się rozumieć, co dzieje się na dnie jej duszy. Tak bardzo tego pragnie... Ale on tu przecież nie przyjdzie. Nie stanie, ot tak, bez przyczyny, w progu jej domu. Więc może szczęściu należy wyjść

naprzeciw? Dać mu szansę. Sprawić, by przypadek był nieprzypadkowy.

I postanawia - dziś nie będzie biernie czekać. Tkwić przy oknie. Dziś wyjdzie Zygmuntovi naprzeciw. Naprzeciw własnym pragnieniom.

Nim śniadanie się kończy, ojciec oznajmia, że zawiezie truchło konia do pobliskiego miasta, by pewien dobry weterynarz zrobił sekcję zwierzęcia. Nie można tak zostawić tej śmierci. Bez wyjaśnienia. Kto wie, może choroba Gryfa była zakaźna? Inne konie też mogą zachorować, a teraz byłaby to katastrofa. Wkrótce żniwa - tyle pracy.

Michał prosi ojca, żeby go zabrał. Mówi, że nie przeszkadza mu jazda w upale. I chce towarzyszyć w ostatniej drodze ulubionego konia. Pan Aleksander ulega tej prośbie. Dziś nie ma siły na utarczki z dzieckiem. A może też towarzystwo syna przyniesie mu odrobinę ukojenia.

Statki po śniadaniu nie są jeszcze zmyte, gdy między zabudowaniami gospodarskimi zjawiają się poproszeni o pomoc okoliczni chłopci. Z wielkim trudem przenoszą ciężkie, bezwładne ciało zwierzęcia na duży wóz. Sierść Gryfa nadal jeszcze błyszczą w słońcu, choć w tym upale ciało pewnie szybko zacznie się rozkładać. Teraz jednak wygląda jeszcze normalnie i tylko smutno opadający łeb, z otwartymi szeroko, pustymi oczami zdradza, że koń już nigdy nie przebiegnie przez podwórze, nie pogalopuje przez pola, dostojnie potrząsając wyczesaną grzywą.

Marianna żegna dłonią odjeżdżający wóz powożony przez Antoniego. I ojca, który usadziwszy przed sobą Michałka, jedzie wierzchem obok, na gniadoszu. Patrzy za nimi długo, gdy przemierzają długą, cieniastą aleję, aż do momentu, gdy ten dziwny kondukt żałobny znika za zakrętem drogi.

Słońce jest już w zenicie i niemal wypala intensywnością swoich promieni ziemię, kiedy Marianna spaceruje po

ścieżkach wśród wysokich łąków. Dociera aż nad rzekę, ale nawet tu, nad wodą, nie odnajduje chłodu. Nie odnajduje też tego, którego tak pragnęła zobaczyć. Żar odbiera jej siły, odziera z nadziei i rozczarowana dziewczyna postanawia wrócić do domu.

Wyjazd ojca wraz z Michałem sprawia, że dwór wygląda dziś na opuszczony. Nigdzie nie widać nawet Zośki, która zwykle o tej porze a to rozwiesza pranie, a to zbiera w ogródku warzywa na obiad. I tylko Anatol zmęczony upałem przysypia, kryjąc się w cieniu portyku. Na widok pani leniwie podnosi się na łapach i merda nieznacznie ogonem. Widocznie i jemu upał doskwiera. Marianna klepie go delikatnie po głowie i głaszcze krótką sierść na grzbiecie. Chwilę jeszcze patrzy ze smutkiem w kierunku prowadzącej do domu alei, po czym odsyła zwierzę na jego ocienione legowisko, a sama wchodzi do środka. I dopiero tutaj, gdy odkłada swój słomkowy kapelusz na wieszaku, uderza ją niezwykła jak na to miejsce cisza. Hol wypełnia rozgrzane powietrze, ale nie drga w nim żaden dźwięk. Jakby cały dom zapadł w letnią drzemkę.

Rusza z miejsca, wypełnia wnętrze staccatem własnych kroków. Zagląda do salonu, jadalni. Nawet w kuchni nie zastaje nikogo. Tylko na fajerce bulgocze coś w garnku, a na stole leżą porzucone w nieładzie jarzyny, których jeszcze nikt nie zdążył obrać. Już zamierza pójść do sypialni pani Leokadii, gdy z pokoiku Gabrysi, znajdującego się dalej, za kuchnią i spiżarnią, dochodzą do jej uszu nieznaczne odgłosy cichej krzątaniny. Marianna przemierza ciemny korytarz i zatrzymuje się w otwartych na oścież drzwiach niewielkiego pokoiku gospodyni. Bezgłośnie podchodzi bliżej. Zamiera.

Wyszorowane do białości deski podłogi pokrywają liczne ślady krwi. Na łóżku pod oknem, zwinięta w kłębek, leży Zosia. Oczy ma zamknięte i wydaje się jeszcze bledsza niż

rano. Jej czoło lśni od potu, a dłonie zaciskają się na prześcieradle. Dziewczyna zagryza zbielełe wargi i jęczy bezgłośnie.

W pierwszej chwili Marianna nie zauważa Gabrieli, bo ta schowana w głębi pomieszczenia zanurza właśnie nieduży ręcznik w miednicy ustawionej na stoliku. Dopiero gdy dziewczyna przekracza próg, kobieta odwraca się energicznie w jej stronę.

- Nareszcie! - mówi podniesionym, zdenerwowanym głosem, ale z wyraźną ulgą. - Gdzieś ty była?

- Spacerowałam... - Jej wzrok niepewnie przenosi się z Gabrieli, poprzez zaplamioną intensywną czerwienią podłogę, na stojące w rogu pokoiku łóżko. - Ale, co tu się dzieje? Gabrysiu? Skąd ta krew?

Gospodyni odsuwa Mariannę na bok i podchodzi do łóżka. Dopiero teraz dziewczyna zauważa szczegół, który umknął jej na początku. Gość, co brała za otwór w poszwie kołdry, w kształcie karo, było w istocie kolejną krwistą plamą.

- O Boże, Gabrysiu, co jej jest, dlaczego tak krwawi? Co jej się stało!?

Koniec jej pytania stapia się z głośniejszym jękiem Zosi, która widocznie nagle się ocknąwszy, szeroko otwiera przerażone oczy. I wiedzie nimi z gospodyni na panienkę, po czym ze wstydem zakrywa rękami plamę w okolicach podbrzusza.

Gabriela kładzie zimny ręcznik na czole Zosi i szybko odwraca się do osłupiałej Marianny.

- O nic teraz nie pytaj. Weź rower i ile tchu jedź do Kamieńczyka. Po doktora Wieruszewskiego...

- Gabrysiu, czy ona umiera? - Marianna pyta niemal bezgłośnie. Podbródek lekko jej drży.

- Powiedz mu, co tu widziałeś. Tylko na osobności. W żadnym wypadku nie przy pacjentach. Słyszysz? Nikt nie

może się dowiedzieć... Powiedz mu... Powiedz, żeby się śpieszył.

Dziewczyna nadal stoi przerażona ze wzrokiem wbitym w powiększającą się rubinową plamę. Symetryczny kształt na kołdrze zaczyna się deformować, rozlewać na boki.

- Marie, jedź już na Boga! Rusz się, dziecko! - I bez pardonu wypycha oniemiałą za drzwi. - Jedź!

Marianna nagle odzyskuje władzę w nogach i pędem rzuca się w kierunku kuchennych drzwi, gdzie zazwyczaj stoi rower. Mknie przez pola, nie zważając na pot i kurz, który szybko oblepia jej ciało. Pędzi, jakby chciała uciec od obrazu pozostawionego w małej sypialence. Jakby chciała zatrzeć zmęczeniem tamten straszny widok. Tak się jednak nie dzieje i dziewczyna nie widzi mijanych łąków, zalanych słońcem łąk, lśniącej w oddali rzeki, a przed jej oczami stoi tylko ten żywoczerwony ślad, który złowieszczo odcina się od białej powłoczki wykrochmalonej, czyściutkiej pościeli. I zsiniałe dłonie, które niezdarnie zasłaniają ten widok.

Marianna nie jest już dzieckiem. Wie, że kobiety krwawią. Ale przecież nie tak! Nie tak... Więc co się stało Zosi? I skąd ta tajemnica? Żeby nie mówić przy ludziach, żeby nie pytać o nic.

Jest już w Kamieńczyku, gdy dociera do niej ta przedziwna myśl. Gdy tamta podsłuchana rozmowa i dzisiejsze wydarzenie scalają się w jedno. To przecież takie proste. Tak strasznie, banalnie proste. Jak mogła być tak głupia, taka dziecinna. Ślepa. Wszystko staje się jasne. Przerażająco zrozumiałe.

Gdy wpada do gabinetu doktora, szczęśliwie nikogo oprócz niego tu nie zastaje. Lekarz unosi głowę znad swojego biurka. Patrzy zdziwiony na krople potu spływające po czole Marianny, na sukienkę w nieładzie.

- Co się stało? - Wstaje i szybko podchodzi do dziewczyny.

- Panie doktorze. Zosia... Stało się coś bardzo złego! - wyrzuca z siebie urywanym przez przyspieszony oddech głosem.

- Marianno, uspokój się. Powiedz powoli: o co chodzi?

- Zosia... Nasza Zośka. Strasznie krwawi. Wygląda okropnie. Ja nie wiem, ale ona chyba umiera.

Lekarz łapie za swoją pękatą, skórzaną torbę z narzędziami, lekami, opatrunkami i ciągnie dziewczynę do drzwi.

- Musimy się pospieszyć, panie doktorze! Ja myślę... Sądzę, że ona usunęła dziecko.

Wieruszewski przystaje w pół kroku, w ciemnym korytarzyku, który właśnie przemierzają, i w skupieniu, przez chwilę, wpatruje się w wystraszoną twarz Marianny.

- Dziecko?

- Nie wiem, Gabrysia nic nie powiedziała, ale ja... Tak! Jestem prawie pewna, że Zosia była w ciąży, a teraz ta krew. Ona chyba chciała się pozbyć tego dziecka.

Wieruszewski ściąga jednym ruchem jasną lnianą marynarkę wiszącą przy drzwiach wejściowych i narzuca ją na ramiona. Przez chwilę uważnie przygląda się Mariannie. Po raz pierwszy w córce swojego przyjaciela widzi nie dziecko, a dorosłą kobietę. Kobietę, która jest w wieku jego Krysi. A przecież jeszcze niedawno były takie małe... I wydawało mu się, że nigdy nie dorosną, że nigdy nie poznają tej mrocznej strony dorosłości, którą teraz Marianna wyrzuciła z siebie bez zająknięcia.

Skąd wie o ciąży? Jak się domyśliła? Kiedy zdażyła dorosnąć, by zrozumieć? Czy jego własna córka też już pojęła tę trudną prawdę o świecie, o ludziach, o ich cielesnej, brudnej naturze, o targających nimi namiętnościach? Czy Krystyna

zdaje sobie sprawę z ich konsekwencji? I Wieruszewski ze zdziwieniem uświadamia sobie, że przecież Krysią chce zostać lekarzem. Jego mała córeczka. Więc ona pewnie też już wiele wie. A przecież o wszystkim powinna usłyszeć od niego. Od dorosłego, od ojca. Czemu nigdy z nią o tym nie rozmawiał? Czemu zawsze myślał, że jeszcze ma czas. Czy to przez wstyd? Ogarnia go uczucie zażenowania na samą myśl, że mógłby opowiedzieć własnej córce o tym... Przecież tamtego dnia, gdy stała się kobietą - kiedy matka pod wpływem strachu, skrepowania, a może i własnych lęków spoliczkowała córkę i przysłała do ojca - był ku temu dobry moment. Mógł jej tyle wyjaśnić...

Odpycha od siebie ten nagły wyrzut sumienia. Poniewczasie.

I mówi przyciszonym, ale stanowczym tonem:

- Marianno. Spróbuj się uspokoić. I nikomu, ale to absolutnie nikomu, nawet Krysi, nie mów tego, co się tam u was stało. To bardzo ważne. Jeśli to prawda, z tą waszą Zośką, to nikt nie może się dowiedzieć. Rozumiesz? Inaczej wszyscy będziemy mieć duże problemy.

Dziewczyna przytakuje.

- Usiądź tu, na ławce. Odpocznij. Przemyj twarz. Ja już tam jadę. - I kieruje się w stronę konia stojącego w cieniu drzewa, przy płocie. - Nikomu ani słowa. Wszystko będzie dobrze.

Chwilę później Marianna widzi już tylko kłęby kurzu unoszące się spod kopyt wierzchowca gnającego w stronę dworu, a sama nabiera chłodnej, orzeźwiającej wody z pompy stojącej przed wejściem do gabinetu i zmywa z twarzy emocje.

Wraca do domu powoli - jakby miała nogi z ołowiu, jakby ktoś uczepił przy pędzie kulę odlaną ze strachu. Tak bardzo nie chce tam wracać. Automatycznie stawia kolejne kroki,

prowadząc rower. I nawet nie czuje, jak niechciane łzy spływają po policzkach. Unika spojrzeń mijanych na drodze osób, a jej myśli, na przemian, wypełnia obraz zwisającej bezwładnie głowy Gryfa i połyskujących czerwonych smug wijących się na czystych deskach podłogi. Ich widok przywołuje jej na myśl rozrzucone, aksamitne wstążki do włosów, które tak często wplatała jej w warkocze Zosia.

Obawy odbierają jej siły. Zrobiła, co do niej należało. Wieruszewski to dobry lekarz. Na pewno uratuje tę nieszczęsną Zośkę. Uratuje? Musi.

Idzie więc noga za nogą, ze spuszczoną głową i nie zauważa, gdy na drodze, z naprzeciwka, wyłania się postać, którą tak pragnęła ujrzyć jeszcze dzisiaj rano. Dopiero gdy dzieli ich zaledwie parę kroków, podnosi oczy i zauważa Zygmunta. Jednym ruchem ociera mokrą twarz - wołałaby, żeby nie widział jej w takim stanie. Czemu właśnie teraz go spotyka? Dlaczego to się nie stało godzinę wcześniej... Ale teraz jest już za późno, by się schować, by ukryć przed jego wzrokiem zapłakaną twarz.

Przystają naprzeciwko siebie. I zanim którekolwiek się odezwie, długo na siebie patrzą.

- Co się pani stało? - pyta on, a w jego jasnym spojrzeniu, po raz pierwszy od dnia gdy się poznali, Marianna widzi zaniepokojenie. Słyszy jakąś nieznaną, ciepłą nutę w jego głosie. I z dziwną satysfakcją dostrzega ten jego lęk - o nią? Pozostaje więc w miejscu, nie próbuje uciec czym prędzej, choć wie, że nie wygląda teraz tak, jak chciałaby, żeby ją widział. Ładną, pociągającą, z uśmiechem na twarzy. Bez troską.

Dlatego tylko spuszcza głowę. Chowa się przed jego uważnym spojrzeniem.

- Nie, czemu?

- Płakała pani.

- Nie, to tylko piasek. Piasek dostał mi się do oka.

I Zygmunt bez słów podchodzi do niej. Unosi jej podbródek, a drugą ręką otula twarz. Teraz Marianna już nie może odwrócić wzroku. Teraz gdy mężczyzna nachyla się nad nią, tak blisko, że czuje jego gorący oddech, już nie ma siły oderwać od niego załzawionego spojrzenia. A on, mrużąc lekko powieki, wnikliwie szuka tego ziarenka, które wywołało u niej płacz. I choć chyba wie, że go tam nie znajdzie, długo nie odsuwa dłoni od jej twarzy.

- Niestety, nic tu nie widzę - mówi, opuszczając w końcu powoli ręce. Ale pozostaje na miejscu i nadal stoi bardzo blisko. Ich ciała niemal się dotykają. - Musiało już wypłynąć.

- Widocznie. - Marianna próbuje się uśmiechnąć i niezdarnie, jeszcze raz wyciera wilgotne policzki. Nabiera powietrza. Wdycha męski zapach. I czuje, jak kręci jej się od niego w głowie.

Stoją przez moment w milczeniu, aż odzywa się on, robiąc wreszcie krok do tyłu.

- Idzie pani do domu? - Tak.

- Więc panią odprowadzę. - Zygmunt nie pyta, on stwierdza.

Odbiera od niej rower i kierują się zakurczonym traktem w stronę dworu. Razem.

- Jednak chyba nie tylko piasek doprowadził do tych łez. - Mężczyzna uśmiecha się delikatnie, ale z lekką przekorą, i zerka na nią z boku.

- Nie tylko - przyznaje, choć w tej samej chwili przypomina sobie znowu o tym, co właśnie rozgrywa się w domu. Wie, że z nikim nie może się tym podzielić.

- Więc co panią tak zasmuca?

- Gryf zdechł - odpowiada zbyt szybko. - Gryf?

- Ukochany arab ojca.

Mężczyzna patrzy na nią z ukosa i jakby niedowierzając.

- Nie sądziłem, że jest pani tak czuła na los zwierząt.
- A to czemu?
- Ostatnio miałem wrażenie, że wszystko, co kojarzy się z urokami wsi, nic dla pani nie znaczy.

- Kocham zwierzęta - stwierdza stanowczo.
- Wszyscy je kochamy, ale nie wszyscy po nich rozpaczamy, gdy odchodzą. Myślałem, że pani...

Idą powoli, a Marianna czuje na sobie, co chwilę, jego zaciekawione spojrzenie. Patrzy więc uparcie przed siebie.

- Mało pan o mnie wie. Zygmunt uśmiecha się szerzej.
- A jednak myślę, że wiem dość dużo.

Przystają w cieniu przydrożnego jesionu. Dziewczyna próbuje przywrócić na twarz swój wystudiowany, obojętny wyraz. Patrzy na niego wyzywająco.

- Nie sądzę.

- Mimo wszystko, mam wrażenie, że to nie śmierć konia wywołała u pani takie wzburzenie. Myle się, panno Marianno?

Dźwięk jej imienia - to, jak je wypowiada - sprawia, że serce zaczyna jej bić szybciej. W głosie Zygmunta jest coś tak intymnego, osobistego, że nagle Marianna czuje dziwne, niezrozumiałe zmieszanie. I znowu chciałaby uciec od towarzystwa tego człowieka, ale z drugiej strony, wszystko ją ku niemu przyciąga.

Kapituluje.

- Być może stało się coś jeszcze, ale ani ja nie dostałam pozwolenia, by o tym opowiadać, ani pana by to zapewne nie zainteresowało.

- A może mnie interesuje wszystko, co pani dotyczy?

Marianna zalewa się rumieńcem, odwraca głowę w kierunku drogi. Ruszają dalej.

- Nie mogę panu nic więcej powiedzieć.

- Więc coraz bardziej mnie pani intryguje...

Zza drzew wyłania się bielona fasada dworu i kolorowy klomb kipiący od mnogości kwiatów. Wyżeł kręcący się pod nogami lekarskiego konia, porzuconego w pośpiechu przez Wieruszewskiego pod domem, słysząc zbliżającą się parę, wyrywa się w ich kierunku. Pod schodki dworu docierają już w milczeniu. Zygmunt opiera rower pod kolumną portyku i uchyla kapelusza.

- Dziękuję, że mnie pan odprowadził.

- Dziękuję, że pozwoliła mi pani sobie towarzyszyć. - Uśmiechając się, przymyka oczy.

- Ale pewnie panu spieszy się już do przyjaciela? Zygmunt robi dwa kroki w kierunku drogi.

- Proszę mi wierzyć. Zenek nad moje towarzystwo przedkłada zgoła inne. Ładniejsze i blondwłose. I jak go znam, to siedząc teraz nad tymi swoimi mądrymi, medycznymi książkami, wcale nie rozmyśla o mnie. Zresztą ja też przyjemniej spędziłem czas, niż gdybym miał tam z nim siedzieć, na plebanii.

- Jeszcze raz dziękuję. - Dziewczyna odwraca się, by ukryć radość, którą wywołały w niej słowa mężczyzny, i wchodzi na schodki. - Do widzenia.

- Do zobaczenia. Panno Marianno...

W części domu, gdzie znajduje się jej pokój, panuje cisza i dopiero po jakimś czasie Marianna słyszy na korytarzu szybki stukot czyichś kroków oraz dźwięki niesionej na tacy zastawy. Widocznie gospodyni podaje obiad starszej pani. A zaraz potem ktoś lekko puka do drzwi sypialni dziewczyny i do środka rzeczywiście wchodzi Gabriela.

- Jeśli jesteś głodna, w kuchni jest obiad - mówi bezbarwnym głosem i już planuje się cofnąć, gdy Marianna porzuca czytaną książkę, zrywa się z fotela i podbiega do kobiety.

- Gabrysiu, proszę, powiedz mi, co się dzieje. Co z Zosią? Przecież ja oszaleję z tych nerwów.

Gospodyni zamyka bezdźwięcznie drzwi pokoju i ze zmęczeniem opiera się o nie całym ciałem. Cere ma poszarzałą. Z misternego, nienagannie upiętego koka opada jej na twarz kilka pasm. Męczący, pełen emocji dzień wyrysowuje ciemniejsze kręgi pod jej oczami. Wygląda starzej niż zazwyczaj.

- Dziecko, i co ja mam ci niby powiedzieć? - Namysła się, mówi powoli, ścisza głos. - Doktor wspomniał, że już się wszystkiego domyśliłaś.

- Ale co z Zośką?

- Doktorowi udało się zahamować krwotok, ale osłabiona jest bardzo, więc pan Wieruszewski jeszcze tam z nią siedzi.

- Ale czy ona była w...?

- Nie powinnaś o to pytać. To nie są sprawy dla takich dziewczynek jak ty.

- Zośka jest ode mnie starsza zaledwie o rok - Marianna rzuca z wyrzutem. - I ja też już nie jestem dzieckiem. Ona była w ciąży, tak? Niech Gabriela mi powie!

- Ale już nie jest i prawdopodobnie nigdy nie będzie. To, co jej zrobiła ta stara Zimmermannowa... Mój Boże. - Chowa twarz w dłonie.

- I co będzie z Zośką?

- Młoda jest, szybko z tego wyjdzie, ale jeśli ktoś się dowie, co zrobiła... to ona i ta, uchowaj Boże, znachorka, drogo za to zapłacą. - Gabrysia jest wzburzona. Z trudem hamuje emocje. Z zacięciem na twarzy wpatruje się gdzieś daleko, w widok rozciągający się za oknem. - Za to jest jedna kara w naszym kraju. Rozumiesz? Za to się idzie do więzienia. A o każde boskiej nie wspomnę. Ale ten grzech to już nie nasza sprawa. To już Zośka będzie się tłumaczyć przed Panem Bogiem.

- A on?

- Bóg?

- Nie, ten, który jej to zrobił.

- Ten, który jej to zrobił? - Gabriela pyta nieco nieprzytomnie, przenosząc na dziewczynę smutne spojrzenie. Unosi brwi, jej usta wykrzywiają się drwiąco, choć bez śladu uśmiechu, jakby odpowiedź była z góry jasna. - Mężczyzna nigdy nie ponosi za to kary. Nigdy. Tylko kobieta... Rozumiesz? Winna jest zawsze tylko kobieta...

- Ale przecież...

- Zośka powiedziała mi, który to... Mój Boże... - W geście nagłego olśnienia chwyta się za głowę. - Ja czułam, że z tym chłopakiem będą problemy. Bez przerwy za naszą Zośką chodził. Wystawał pod drzwiami kuchni. Uśmiechy jej posyłał, wodził oczami. A ja nic nie przeczułam... Nie powstrzymałam... - I z wyrzutem, jakby cięża Zosi to była jej wina, kręci głową nad swoją niefrasobliwością. - No, ale teraz już za późno na wszystko. Nic mu nie zrobimy. Mężczyzna zawsze może się wyprzeć. Powiedzieć, że to nie jego... Dopilnuję, żeby więcej tu pracy nie znalazł. Ale to wszystko. Żadnych innych konsekwencji nie poniesie. Tak już jest ten świat skonstruowany. Zawsze tak było. I będzie.

- Ale przecież to niesprawiedliwe!? Niech może Gabrysia powie ojcu. On na pewno ukaże sprawcę.

- Pan Aleksander? Przecież też jest mężczyzną, moje dziecko. I z pewnością nie będzie obwiniał tego parobka. Zośka sama sobie winna. I jedyne, co możemy dla niej zrobić, to milczeć. Ja już porozmawiałam z doktorem. On dobrze wie, jaka tam w chałupie u Zośki jest bieda. I że jej matka bez tych pieniędzy z dworu nie da sobie rady. Zosia musi tu dalej pracować. I dlatego chcę cię prosić, żebyś i ojcu nic nie mówiła.

- On na pewno by zrozumiał. - Nie daje za wygraną. Przecież ojciec jest taki dobry, taki wielkoduszny, sprawiedliwy.

Gabriela intensywnie wyciera dłonie w fartuch, jakby nadal miała krew na rękach.

- Zrozumiałby albo i nie. Ty masz serce na właściwym miejscu, dlatego proszę cię o dyskrecję. I najlepiej, żebyś jak najszybciej o wszystkim zapomniała. - Jej dłonie, przez to nieświadome, ciągłe tarcie, są już zupełnie czerwone. - W ogóle nie powinnaś się dowiedzieć. Domyślić... Twojemu ojcu powiem, że Zosia zaniemogła na kobiece sprawy i że jest u matki. Myślę, że o nic więcej w tej sytuacji nie będzie pytał. Za parę dni Zosia wróci do pracy i wszystko będzie jak dawniej. A ty postaraj się już o tym nie myśleć. To nie są rzeczy, które należy roztrząsać. A już na pewno nie dla takich jak ty młodych dziewcząt. Nie powinnaś się była domyślić... Nie powinnaś się była dowiedzieć... - mruczy niemal niedosłyszalnie.

Gabrysia łapie za klamkę, tyle jeszcze spraw należy załatwić, zanim wróci pan domu... Ostatni raz spogląda na stojącą pośrodku pokoju dziewczynę - Marianna wydaje jej się wylękniona, zdezorientowana - i przez chwilę ma ochotę ją przytulić, pocieszyć, wyjaśnić, czemu świat jest niesprawiedliwy, czemu jest dla nich, kobiet, tak wrogim miejscem. Odpowiedzieć na wszystkie pytania, które teraz dręczą jej podopieczną. Ale nie potrafi. Przecież z nią też nikt o tym nigdy nie rozmawiał. Każda kobieta musi nauczyć się życia sama.

Odwraca się i rzuca na odchodnym, jakby już wszystko zostało powiedziane:

- Obiad stygnie.

Obiad na kuchennym stole pozostaje nietknięty, a tego dnia Marianna już nie wychodzi ze swojego pokoju. Widzi

tylko przez okno, jak do podstawionej przez chłopaka stajennego dwukółki Gabriela, w asyście lekarza, transportuje wpółżywą Zosię. I jak gospodyni odjeżdża w ich towarzystwie spod domu w kierunku Kamieńczyka. A później, po zaledwie godzinie wraca. Sama. Potem słyszy, jak kobieta krząta się po domu. Pewnie zacierając ostatnie krwawe ślady dzisiejszego dnia, wygotowując pościel, piorąc szmaty, myjąc podłogę.

Zanim wraca ojciec z Michałem, w domu nie ma już ani jednego znaku po nienarodzonym dziecku Zosi. Po krwawym strzępku, któremu nie pozwolono dojrzeć i przyjść na świat.

Przed kolacją pan Aleksander zagląda do córki, ale ta wykręca się od wspólnego posiłku. I tak nic by nie przełknęła. Prawie nie słucha, gdy ojciec relacjonuje wizytę u weterynarza. Gryf nie zdechł, jak podejrzewał początkowo ojciec, z powodu morzyska (Kolka.). Nie w wyniku wypicia zbyt zimnej wody czy zjedzenia nieświeżej paszy. Po usilnych prośbach, zagrożeniu, że koń mógł paść na wściekliznę - a w końcu i sowitej zapłacie - lekarz wykonał jednak sekcję. Gryfa już żaden lek, żaden cudotwórca z Warszawy, by nie uratował, okazuje się bowiem, że od tygodni postępowało u niego zapalenie mózgu.

Ojciec wyraźnie czuje ulgę, że nie jest bezpośrednio winny tej śmierci i już powoli przebąkuje o zakupie następcy Gryfa. Michał tak by się ucieszył.

Marianny nic to nie obchodzi, lubiła tamto zwierzę, ale przecież dzisiaj jej myśli skupiają się na czymś zgoła innym. Myśli, które długo w nocy nie pozwalają jej zasnąć.

Czemu Zośka to zrobiła? Marianna powtarza sobie to pytanie wiele razy, leżąc na mokrym od potu prześcieradle. Duszny, słodkawy zapach krochmalu, który zwykle tak lubi - kojarzy jej się z czystością - dziś przeszkadza, drażni. Wpatrując się w biel poszewki, ciągle widzi ten złowieszczy znak karo, ujrany dziś w południe. I zastanawia się, czy tam,

pod lepką plamą, Zosia urodziła dziecko. Martwy płód, wyłuskany z niej przez miejscową znachorkę...

Czemu Zośka to zrobiła? Owszem, jest jeszcze bardzo młoda, ale przecież dziewczyny we wsi rodzą jeszcze wcześniej. Więc czemu? A może ten chłopak jej nie kochał i to on jej kazał? Może nie chciał brać ślubu? Przecież nie można mieć dziecka bez ślubu. Marianna wpatruje się w sufit. Widocznie jednak można. Widocznie biologia nie ma nic wspólnego z sakramentem - ciało Chrystusa ze skórą wilgotną po miłosnym uniesieniu. Z białym welonem... Może ciąża to właśnie śnieżnobiała pościel - niczym ślubna suknia - skąpiana we krwi? I płacz, ból, łzy. I czy to znaczy, że Zośka z tym chłopakiem...? Marianna zamyśla się, choć zdaje sobie sprawę, że ta myśl jest teraz nie na miejscu. Jeszcze nie wie dokładnie, co łączy fizyczną miłość z poczęciem dziecka. Ale zaczyna rozumieć, że to musi mieć jakiś związek. Dlatego nikt o tym nie mówi. Dlatego to tajemnica. Ale jeśli jest tak, jak myśli...

Fantazjuje o służącej w objęciach któregoś z chłopaków, którzy najmują się do pracy u ojca - który to? Może ten wysoki blondyn, który czasami wystawał pod kuchennymi drzwiami. Zawsze długo pił wodę przynieszoną przez Zosię. Taki ciągle wesoły, przystojny, zawsze latem opalony na brązowo. Ten, który gdy się śmieje, to robią mu się takie zabawne dołeczki. Marianna nigdy z nim nie rozmawiała. On tylko, gdy ją spotykał, zawsze uchylał czapkę i kłaniał się. Uśmiechając się przy tym tak ładnie, zaczepnie. Więc może to z nim Zosia... Ale gdzie to robili? Na łące wśród kwiatów. Romantycznie, nocą, pod gwiazdami. A może pośpiesznie, w jednym z baraków, w których mieszkali parobkowie i czasami nocowali także chłopci najęci na czas żniw. Ale Marianna tam była. Pomieszczenia wypełniał zapach męskiego potu, woń sienników, stęchłego powietrza. Nie... tam Zośka by tego nie

zrobiła... Więc gdzie? I jak jej dotykał? Czy byli nadzy? Marianna widziała już tamtego chłopaka podczas pracy w polu, bez koszuli. Obserwowała, jak napinają mu się mięśnie na brzuchu, kiedy przerzucał snopki. To było rok temu, a już wtedy zwróciła na niego uwagę. Na to ciało. Idealnie piękne, młode męskie ciało. Tak odmienne od jej własnego. Co wtedy poczuła? Wstyd i chyba zażenowanie. Czy Zosia też czuła wstyd wobec jego nagiego ciała? A może w takich momentach nic się nie czuje? Nic się nie myśli? Może to dzieje się samo? I czy to boli? Marianna wychowała się na wsi. Widziała, jak to robią zwierzęta. Czy Zosia robiła to z tym mężczyzną podobnie? I czy, żeby się komuś oddać, trzeba go kochać? Czy ona mogłaby to zrobić z Zygmuntem...? Czy to, co czuje na jego widok, to to samo, co widziała w swoim kochanku Zosia?

Marianna, choć otacza ją mrok, zaczyna się wstydzić. Czuje wyrzuty sumienia, że jej myśli biegną w zakazanym kierunku. I to właśnie teraz, Kiedy Zosia leży blada jak chusta w chłopskiej chacie na obrzeżach Kamieńczyka. Zmęczona ciężkim życiem matka przykładła jej zimne kompresy do czoła. Zmienia przesiąknięte krwią prześcieradła. A przy tym na pewno modli się, modli żarliwie - nie o wyzdrowienie, ale by litościwy Bóg zabrał do siebie przekłętą duszę jej dziecka. Bo łatwiej by było żyć teraz bez córki niż z tą hańbą, która sprowadziła na dom.

„Dlaczego ona to zrobiła?” - zdają się szumieć wysokie topole nad ułożonym z gontu dachem dworu. Dlaczego? Marianna przymyka oczy. Tam jednak czai się obraz, którego nie chciałaby zapamiętać. Czy to jest dziecko, czy to było dziecko? - powtarza to pytanie, wiedząc, że ani Gabriela, ani nikt inny nigdy nie zaspokoi jej ciekawości.

I nagle przypomina sobie o Michale. Dobrze pamięta swoją matkę, gdy ta była w ciąży. Gdy wszyscy w domu z

radością oczekiwali narodzin niemowlęcia. I te sukienki coraz szersze, pod którymi matka chowała w zakłopotaniu powiększający się brzuch. Wtedy jeszcze Marianna nie widziała związku między tym brzuchem a mającym się narodzić dzieckiem. Mama po prostu przytyła. I dlatego już nie miała siły, by się z nią bawić. Teraz już jednak dziewczyna wie, że pod suto marszczonym materiałem rosło życie. A później Michał odebrał je matce. Tak jak dziś, wtedy też, Gabriela prała poplamione prześcieradła... A więc dziecko to zawsze krew. To dlatego podświadomie Marianna ma chłodny stosunek do brata. Nosi w sobie do niego taką niechęć... Przychodząc na świat, zabrał jej przecież coś bardzo cennego... Może Zosia bała się, że umrze, że to dziecko ją zabije? Dlatego ona postanowiła być pierwsza. Przeżyć za wszelką cenę. Jak wiele kobiet musi podejmować wybór między sobą a dzieckiem?

Sen przychodzi dopiero późno w nocy, kiedy pokój wypełnia odrobina chłodu pachnącego ściętą wczoraj trawą. Przychodzi, ale nie daje ukojenia. Marianna długo śni o wijącej się w bólu Zosi, o jej łzach spływających po policzkach, kiedy spomiędzy nóg ktoś wyrywa jej karę za namiętność. Za nieszczęśliwą miłość. Śni o Gryfie - z jego pustych oczu wypływają białe ruchliwe robaki. I o Zygmuncie, w którego ramionach, naga, zasypia na łące pełnej kwiatów. Pod niebem usłanym gwiazdami.

Rozdział VI

Kalina

Kilka dni bez jego widoku ciągnie się niczym rok...

Upalne dni zawieszono między pokojami kamienieckiego majątku niemal fizycznie zabijają w Mariannie chęć, by rano otworzyć oczy, wstać. Nie ma siły myć się, jeść. Każda ta czynność wydaje się jej teraz tak zbędna, przyziemna, nieistotna. I tak trudno jej uwierzyć, że zapadła na chorobę, która dotąd wydawała się tylko pustym, niezrozumiałym słowem, wymysłem, tak nieprawdopodobnym, nierealnym, niezrozumiałym, dotyczącym zawsze tych „innych”, słabych.

Ale jak dotąd mogła oddychać bez tego powietrza, które wypełnia teraz całe jej ciało? Każdą komórkę serca, głowy, brzucha... Jak to możliwe, że zdołała przeżyć tyle lat, nie znając Zygmunta? Czym zapełniała tę pustkę, która teraz tak rozpala zmysły, wyobraźnię, w oczekiwaniu na kolejne spotkanie? Czy to uczucie musi aż tak rozdzierać... Tak do końca zaprzętać każdą myśl? Rozbieganą, rozedrganą od nieopanowanych, pulsujących nieustannie, w środku, emocji. Dlaczego ten pierwszy raz zawsze czuje się najmocniej, dlaczego najmocniej boli...? I jest niczym opętanie.

Zosi nadal nie ma, choć minęło już kilka dni. Gabriela milczy na jej temat. A pan Aleksander widocznie uwierzył w zapewnienia, że dziewczyna wkrótce wyzdrowieje i wróci, bo o nic nie pyta. Nie ma teraz zresztą do tego głowy. Rozpoczęły się żniwa. Marianna także coraz rzadziej wspomina tamten dzień. Powoli obrazy się zacierają. Woli myśleć o sobie. O Zygmuncie. O nich. I o tym, że już sobota, że może jutro znowu, w kościele... Zobaczy go, porozmawiają. Nie, nawet nie muszą rozmawiać, ale żeby chociaż popatrzeć. Ukradkiem. Z wystudiowaną obojętnością.

Nikt, nikt się nie dowie, co się z nią dzieje. Nie zauważy, że bez reszty oddała każdą myśl temu... upragnionemu wrogowi.

Dziewczyna rozplęwa się nad tą myślą, siedząc w kuchni, gdzie wraz z Gabrielą dryluje pierwsze wiśnie - nadszedł czas, by przetworami zacząć na zimę wypełniać spiżarnię. Marianna ma w tym pomagać - zastępując Zosię - ale nie potrafi się skupić. Pestki, zamiast ładnie wyłuskiwać z miąższu, wydłubuje niewprawnie, miażdżąc owoc, który już do niczego się nie nadaje. Tylko palce ma całe zakrwawione ich sokiem.

- Jakoś mi to nie idzie.

- Właśnie widzę. - Gospodyni mówi cierpko, jakby miała w ustach kwaśną, wonną kulkę wiśni. - Od paru dni jesteś zupełnie nieobecna.

Gabrysia szybko żałuje tej uwagi. Co będzie, jeśli teraz Marianna zechce porozmawiać na temat wydarzeń sprzed kilku dni? Do tej pory gospodyni unikała rozmów z podopieczną - wciąż gdzieś się spieszyła, była bardziej niż zazwyczaj zajęta. A to wszystko, by tylko nie wdać się z dziewczyną w nieodpowiednią rozmowę, nie poruszyć niewygodnego tematu. By Marianna nie zadała pytań. Teraz są jednak same. Mogłyby... Ale widocznie młodą głowę zaprzęta już coś innego, bo Gabriela widzi, jak dziewczyna uśmiecha się nieznacznie, patrząc zamyślonym wzrokiem w miskę pełną owoców.

- Tak...

A więc ktoś zauważył - odczytuje błędnie słowa Gabrysi - ktoś jednak niepostrzeżenie wdarł się w jej tajemnicę. Tak pilnie strzeżoną. Czy wszyscy już wiedzą, czy tylko Gabriela? Czy opiekująca się nią od lat kobieta zna ją po prostu tak dobrze?

Rzeczywiście, gospodyni zna świetnie Mariannę. Zna to dziecko na wylot. Jednak, jak większość, jeszcze nie

dostrzega, że dziecka już nie ma. Dlatego każda z nich, w tej chwili, myśli o zupełnie czym innym.

- Powinnaś była pojechać z ojcem do ciotki Weroniki. Wyrwać się na chwilę z domu. Przecież tak chciałaś wybrać się znów do Warszawy, a pan Aleksander pojechał w twojej sprawie.

Warszawa, ciotka Wera - coś, co kiedyś wydawało się istotne, teraz nie ma już żadnego znaczenia, teraz nie mogłaby opuścić domu nawet na moment, na choćby jeden dzień. Przecież jej pobyt u ciotki jest już przypieczętowany. Jej zdanie się nie liczy. A tutaj... Tutaj jest on. Każda chwila spędzona we dworze, na oczekiwaniu, przybliża ją do ponownego ujrzenia Zygmunta. Daje nadzieję.

Gabriela niedbale wrzuca do miski kolejny wydrylowany owoc. I kolejny. Znowu podnosi skupiony wzrok, znad roboty, na dziewczynę. Przez moment patrzy swymi mądrymi, orzechowymi oczami na błakający się po ustach uśmiech. Czy to możliwe, by Marianna...?

- Ale ja chyba wiem, dlaczego nie śpieszy ci się już do wyjazdu - mówi powoli, obserwując reakcję dziewczyny. Widzi, jak młode ciało napina się. Jeśli to nie sprawa Zosi zaprzęta jej głowę, to nad czym tak rozmyśla? Do czego tak ukradkiem się uśmiecha? Rozmarzona. Nieobecna. Przecież to oczywiste.

- To ten młody człowiek z Warszawy, prawda? - wypala krótko i celnie.

- Co też...

Skąd, skąd ona to wie?!

- Nawet nie zauważyłam, kiedy przestałaś być małą dziewczynką - mówi smutno i przygląda się Mariannie z uwagą. Jakby pierwszy raz zauważyła rysujące się pod bluzką tamtej piersi. Jakby dopiero teraz dostrzegła pełne, kobiece usta, ostrzejsze niż u dziecka rysy twarzy. - Dorosłaś i to

normalne, że zaczynasz interesować się mężczyznami... Ale według mnie ten nie jest odpowiedni dla ciebie.

Marianna zapomina, że przecież „nie wie, o czym Gabriela opowiada”, więc mówi szybko, wzburzona:

- A to niby dlaczego?

- A to dlatego, że roisz sobie w głowie, że jesteś już całkiem dorosła, że już wszystko ci wolno. A tak naprawdę nie masz pojęcia, czym jest dojrzałość, odpowiedzialność. I przecież ten człowiek jest od ciebie sporo starszy. Ma być twoim wykładowcą. Poza tym - macha ręką, jakby chciała odgonić jakiegoś natrętnego owada - jest w nim coś takiego... zuchwałego. Ma w oczach coś niepokojącego. I patrzy na ciebie w sposób, który nie przystoi dżentelmenowi. Tak, tak, widziałam pod kościołem, a potem, gdy odwoził cię podczas tej burzy...

Kolejne wiśnie, tryskając sokiem, lądują w dużej emaliowanej misce. Gabriela pracuje jak automat. Szybko, metodycznie.

- Może myślisz, że jestem stara, a do tego panna, więc się na takich sprawach nie znam. Ale ja doskonale wiem, o czym mówię. Też kiedyś byłam w twoim wieku... A on jest wykształcony i ma to wszystko, czego skrycie pragniesz dla siebie. Ten cały wielki świat, Warszawa... - Z niechęcią kręci głową. - Wiem, że brak ci w domu rozrywek, że nuży cię to siedzenie na wsi.

- Myli się Gabrysia, to wcale nie przez nudę, to...

- Uczucie? Chyba nie wbiłaś sobie w głowę, że to jest miłość? Przeżywasz pierwsze zauroczenie, ale to nie jest nic poważnego.

I raczej jestem przekonana, że to dla ciebie tylko forma zabicia czasu tutaj. W oczekiwaniu na wyjazd na studia. A ten młody człowiek daje ci poczucie, że jesteś bliżej realizacji tych swoich wybujałych planów. To tylko erzac...

- Gabriela zupełnie nic nie rozumie.

- Tak sądzisz? Jesteś pewna, że to tylko serce? - Nabiera powietrza. Waży słowa. - Tym gorzej dla ciebie. Bo serce to bardzo zły doradca. - Wzdycha głęboko. - Wszystko jedno, czy potraktujesz tę znajomość lekko, jak wakacyjne zauroczenie, czy naprawdę stracisz głowę. I tak nic dobrego z tego nie wyniknie.

Marianna odkłada metalowy drucik, którym tak nieumiejętnie usuwała pestki, po czym oblizuje palce. Patrzy wyzywająco na Gabrysię, która znowu tylko na ułamek sekundy odrywa wzrok od pracy.

- Zawsze uważałam, że brak było w twoim wychowaniu twardej ręki, ale pan Aleksander nie słuchał. No i są efekty. Ojciec był dla ciebie zawsze zbyt wyrozumiały, a teraz na pewne sprawy jest już za późno. I jeśli ty sama, dziecko, nie będziesz rozsądna, to się może źle skończyć. Zobacz, co stało się z Zosią...

Gabriela urywa w pół zdania, gryzie się w język. Imię tamtej nie powinno paść w tej rozmowie. Nie powinna straszyć Marianny. Opanowuje więc wzburzenie i mówi już spokojniej:

- Ty nie wiesz, do czego zdolni są mężczyźni. Jak bardzo kobiety muszą na nich uważać. Jakie konsekwencje... A już tacy przystojni, światowi kawalerowie są szczególnie niebezpieczni. Odpowiedzialność...

- Ale ja nie rozumiem, o czym Gabrysia mówi?

- Doskonale wiesz. Naczytałaś się tych romansów z ojcowskiej biblioteki, więc „te” sprawy nie są już dla ciebie tabu. I ta nieszczęsna Zośka... Chyba już wszystko rozumiesz?

Rozrywana w tym momencie, dojrzała wiśnia strzela sokiem między pulchnymi palcami gospodyni. Kropelki czerwieni lądują na jej twarzy. Wyciera je wierzchem dłoni.

- Zawsze miałaś rozbuchany temperament i wiedziałam, że kiedy dorośniesz, przysporzy to nam wszystkim problemów. Przed ojcem możesz udawać grzeczne dziecko, on i tak ślepo cię kocha, ale ja wiem swoje... Zawsze traktowałam cię jak własną córkę... dlatego tak się boję... Chociaż... - w zamyśleniu odwraca głowę w stronę okna i mówi już ciszej, jakby do siebie - wiem, że i tak nic cię nie powstrzyma. Masz w sobie tę samą gorącą krew, co...

Gabriela milknie nagle, jak gdyby powiedziała za dużo i przypadkiem zdradziła się z czymś. Z czymś, czego nigdy nie powinna mówić przy Mariannie. Przecież ona nic nie wie. Nie zrozumiałaby...

Ale dziewczyna domyśla się, o kim jest ta rzucona niechęcą wzmianka. O czym to „rysie szaleństwa” mówi gospodyni. W końcu babka wielokrotnie załamywała ręce nad jej popędliwym charakterem. Jak u stryja. Choć nie rozumie, dlaczego akurat Konstanty przyszedł w tej chwili gospodyni do głowy.

- Nie wiem, czemu Gabrysia miesza do tego jeszcze stryja. Gdzie tu analogia?

Gabriela dziwnie wykrzywia usta. Jakby rozgryzła coś bardzo gorzkiego. Już ma odpowiedzieć, gdy w tym właśnie momencie przez otwarte kuchenne drzwi do środka wpada wyżeł Anatol, a za nim Michał. Chłopczyk ma zaróżowione policzki. Jest spocony od szalonej gonitwy za psem.

Zwierzę dopada do miski z wodą, jego pan umorusane palce zatapia w balii pełnej wiśni. Kilka z nich chwytą, po czym pełną garść wpycha do buzi. Sok spływa mu po brodzie.

- Michał! - strofuje go Gabriela.

- Pyszne! Takie pyszne... - Oblizuje się ze smakiem, nawet nie patrząc na rozgniewaną kobietę.

- Michałku, najpierw należy umyć ręce.

Chłopiec posłusznie zanurza na moment brudne dłonie w stojącym nieopodal wiadrze z wodą, po czym wyciera je w spodnie, wywołując kolejną falę upomnień gospodyni.

- Michał, Michał...

Michałek siada z impetem na krześle obok siostry. Znowu sięga po owoce i rzuca niedbale:

- Zaraz będziemy mieć gościa. Minąłem go na drodze. Marianna zaintrygowana przygląda się dziecku.

- Gościa?

- A tak. Tego pana letnika od księdza Piotrowskiego. - Zenona? - I dziewczyna czuje, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Nie, nie. Tego drugiego, co spadł z konia... No wiecie. - Napycha usta owocami.

Gabriela podnosi oczy na Mariannę. I jest w tym spojrzeniu jakaś zaduma, może strach, a może rezygnacja. Dziewczyna chętnie zerwałaby się z miejsca, ale zachowuje spokój, żeby zadać kłam podejrzeniom gospodyni, choć karty i tak już zostały odsłonięte. Mierzą się wzrokiem, każda z nadzieją, że ta druga posłucha, zrozumie, zaakceptuje.

Ale Marianna nie chce posłuchać.

Przecież on zaraz tu będzie - zerka na swoje dłonie, na czerwone opuszki palców. Czym ona to zmyje?

Gabrysia chwytła to spojrzenie. I ma uczucie, że zna każdą myśl dziewczyny, czyta w nich jak w otwartej księdze. Kiwa głową - rozumie, że przegrała. Bo jeszcze nikt nigdy nie wygrał z młodością. Z miłością? I jej też się to nie uda. Może próbować, przestrzegać, ale Marianna i tak zrobi, co zechce. Sama zapłaci za swoje błędy. Nie uda się jej uchronić... Nikomu.

Kobieta wraca do przerwanej pracy, lekko uderza Michałka po dłoni zatopionej w misce i rzuca do dziewczyny niechętnie:

- No idź.

Marie nie ogląda się za siebie, przebiega przez jadalnię i korytarz, wpada do swojej sypialni. W stojącej na toalecie misce szoruje szczoteczką palce do momentu, gdy już nie wie, czy czerwone są od soku, czy od intensywnego tarcia.

Przeczesa włosy, jednym ruchem zrywa z siebie roboczą sukienkę i nakłada inną, bardziej twarzową, czystą. Rzuca ostatnie spojrzenie w lustro...

Stary Antoni, który sprawuje od czasu do czasu funkcję odźwiernego, lekko puka do drzwi pokoju. Panienska uchyla je ostrożnie.

- Przyszedł pan Zygmunt Jasieński - anonsuje cicho mężczyzna, by gość stojący nieopodal w holu go nie usłyszał.
- A pana Aleksandra nie ma i nie wiem, czy wprowadzać? Panienska go przyjmie?

- Naturalnie. Proszę zaprowadzić gościa do salonu. Zaraz tam przyjdę.

Zamyka drzwi, opiera się o nie plecami, Oddycha ciężko. Musi natychmiast się uspokoić. On nie może zobaczyć, jak bardzo czekała, jak tęskniła...

Dziewczyna przymyka oczy, całą siłą woli skupia się na wyrównaniu oddechu. Odruchowo, jeszcze raz dłonią wygładza niesforne kosmyki. Jest gotowa. Na wszystko.

Salon skąpany jest w popołudniowym słońcu. Drzwi na werandę otwarte są na całą szerokość, a za nimi roztacza się piękny widok na ogród. W tym najlepszym świetle dla artystów stoi Zygmunt, wpatrując się gdzieś poza poruszone przeciągiem firanki. Stoi tyłem do przekraczającej próg pokoju dziewczyny i dopiero na odgłos jej kroków odwraca się powoli. Marianna zauważa, że gość w rękach trzyma sporą książkę.

- Witam pana. - Podchodzi i podaje mu dłoń.

On ją chwyta mocno, trzyma długo i nie odrywając wzroku od dziewczyny, nachyla się, by złożyć pocałunek.

- Dzień dobry.

- Niestety, nie zastał pan taty. Wyjechał do Warszawy. Wróci dopiero jutro.

Niestety?

Będą mówić szyfrem, kodem niezrozumiałym dla innych, lecz dla nich samych jasnym i przejrzystym. Jakby ściany domu miały uszy, jakby mogły ich wydać przed niepożądanym spojrzeniem.

- Och... to trudno - odpowiada mężczyzna z nieukrywanym rozbawieniem. - Ale tak naprawdę przyszedłem tu do pani.

Stoją tak wciąż w otwartych na ogród drzwiach. Ciepły blask tańczy po jesionowym parkiecie. Wpada w szczeliny między deszczułkami, wydobywając z ich zakamarków niedostrzegalny niemal kurz.

- Przyszedł pan do mnie? - udaje zaskoczenie. - A dziwi to panią?

Powinna odpowiedzieć, że nie. Że czekała, że wiedziała, że Zygmunt tu przyjdzie, ale dziewczęca przekora odpowiada za nią:

- Owszem, nie spodziewałam się...

- Czy nie obiecywałam pani ostatnio, że przyniosę jej tę książkę?

Naturalnie, że nie. Nie było ani słowa między nami o książce. - Ach, być może, rzeczywiście - odpowiada. Z jego oczu wciąż nie schodzi wyraz rozbawienia. Rozsmakowuje się w tej sytuacji, w tych półsłówkach, gestach, małych kłamstwach. Czy to jest właśnie flirt? Czy on z nią flirtuje? Tu, pod dachem jej ojca? Ma czelność... To wspaniale, że ją ma.

- Przyniosłem pani Zarys filozofii prawa Radbrucha. To dobry wstęp do nauki tego przedmiotu.

Podaje jej opasłe tomisko. Marianna kurtuazyjnie przygląda się okładce, zagląda do środka.

- Na pewno panią zainteresuje.

- Na pewno, dziękuję.

Milkną oboje, nie odrywając od siebie oczu. On już zrobił ruch. Teraz jej kolej.

- Może napiłby się pan herbaty. Co prawda ojca nie ma, ale... Zygmunt patrzy z ukosa, uśmiecha się zawadiacko, jakby po

głowie chodził mu nieprzerwanie jakiś świetny żart.

- Nie przepadam za herbatą...

- To może....

- I za późno już na kawę. Ale jeśli nie ma pani nic ciekawszego w planach, może przeszlibyśmy się na spacer?

Ciekawszego? - myśli. Ale głośno, z zupełnym spokojem mówi:

- Rozumiem, że interesują pana zagadnienia uprawy naszych pól.

- Niezmiernie. Wieś mnie fascynuje i gdybym zastał pani ojca, nie trudziłbym pani. Ale...

Gdyby był ojciec, nic a nic nie obchodziłyby cię te pola. Tak jak i mnie.

- Ale ja bardzo chętnie go zastąpię. Muszę tylko uprzedzić Gabrieleę, że zamierzam wyjść. Poczekaj pan tu na mnie?

- Poczekam przed domem.

Marianna odprowadza gościa do drzwi, a sama biegnie do kuchni. Nawet nie próbuje ukryć emocji. Nie zamierza też prosić o zgodę, ona tylko informuje:

- Idę oprowadzić pana Jasińskiego po naszym majątku. Bardzo go interesuje...

- Nasze pola zupełnie go nie interesują - cierpko odpowiada Gabriela, jakby wtórując jej własnym myślom. - I proszę wrócić o jakiejś normalnej godzinie. Nie wypada...

- A ja mogę iść z wami? - Michałek zrywa się z krzesła. W żadnym wypadku!

- Zanudzisz się. Pomóż lepiej Gabrysi drylować wiśnie. Nie patrzy na zawiedzioną minę brata, na troskę w oczach Gabrieli. Wychodzi.

A on już czeka. Stoi w cieniu rzucanym przez mury dworu. Spogląda w kierunku drogi prowadzącej w stronę wsi.

- Możemy iść - mówi dziewczyna.

Ruszają w milczeniu wąską ścieżką w stronę zabudowań gospodarskich. Idą dość szybko, jakby chcieli oddalić się od domu jak najprędzej. Uciec przed czymś ciekawym wzrokiem. Dopiero gdy mijają ostatnie budynki i ogrodzony wybieg dla koni, gdy przed nimi po horyzont rozlewa się morze dorodnych kłosów, Marianna pyta:

- Co chciałby pan zobaczyć? Co pana interesuje najbardziej...?

Zygmunt zerka na nią kątem oka i odpowiada tak spokojnie, jakby te słowa nic nie znaczyły, jakby wcale nie miały mocy trzęsienia ziemi:

- Interesuje mnie tylko pani.

Marianna nerwowo przełyka ślinę. Nigdy, przenigdy nie знаła człowieka, który by się nie bał, nie krepował, mówić na głos tego, co myśli.

- Drwi pan ze mnie albo jest pan bardzo bezczelny. Jedno czy drugie... Chyba powinnam poczuć się urażona?

- Ale wcale się pani nie czuje. A ja też nie zamierzam grać kogoś, kim nie jestem, udawać uduchowionego bohatera z panińskich romansów.

Dlaczego nie może odwrócić się i uciec? Co ją tu przy nim trzyma? Czemu nie potrafi znaleźć w sobie na to siły? Już wie,

że Zygmunt ją przejrzał. Zobaczył wszystko jak na dłoni. Wszystkie jej myśli, ukryte pragnienia. Zrozumiał. On wie... Czy powinna się teraz wstydzić? Albo chociaż po dziewczęcemu zarumienić?

- Myśli pan, że znalazł głupią wiejską dziewczynę, która umili mu wakacyjny pobyt? Dostarczy rozrywki?

- Tak mało się pani ceni?

- Myślę, że to pan mnie niewiele ceni. Ale zupełnie mnie pan nie zna.

Idą teraz wśród wysokich łąnów kołyszących się na wietrze. Łagodnie. Jak morska fala. Powietrze pachnie sianem i rozgrzanym piaskiem. Zygmunt wdycha je głęboko, po czym mówi, wciąż z tym samym niezmiennym spokojem:

- Nie mam w zwyczaju chadzać na spacer z kobietami, które uważam za niewarte mojej uwagi. A czasami nie trzeba wielu słów, by zauważyć pewne sprawy, prawda?

- Pewne sprawy...?

- Pani wcale nie czuje się „wiejską dziewczyną”, a nawet śmiem zaryzykować tezę, że zupełnie się pani nie odnajduje, tu, w tym sielskim Kamieńczyku. I to mnie w pani interesuje.

- Taka szybka obserwacja w tak krótkim czasie?

- A czy pani w tym krótkim czasie nie zdążyła dostrzec we mnie bratniej duszy?

Czemu on mówi to wszystko?

- Skąd ta pewność, że pan mnie w ogóle obchodzi?

- A myślę się? - Zatrzymuje się w pół kroku i odwraca powoli w jej stronę.

Marianę zalewa fala ciepła. Ale nie taka łagodna, przyjemna, upojna. Nie! Ta gorączka trawi ją, uwiera. Z trudem wytrzymuje więc świdrujące spojrzenie jasnych oczu Zygmunta. O ile łatwiej byłoby grać niedostępną, obojętną, ale teraz jest już chyba na to za późno. A Zygmunt wyraźnie się

bawi tą jej odkrytą słabością. Świeżo uzmysłowionym uczuciem...

- Czy to wypada, żeby podobne rozmowy toczył przyszły wykładowca ze swoją studentką?

Mężczyzna uśmiecha się lekko.

- Nie sędzę, żeby była pani kobietą, którą istotnie obchodzi, co wypada, a co nie. Choć jeśli się myślę... To proszę wybaczyć mi tę bezpośredniość.

Przez dłuższy czas idą w milczeniu. Aż wąska dróżka, prowadząca dotąd przez pole, nagle urywa swój bieg, dochodząc do usłanej kocimi łbami drogi ciągnącej się wzdłuż lasu. Skręcają w lewo, w stronę odległej wsi. Zatoczą tym samym wielki krąg wokół rozległych dóbr Aleksandra Boruckiego.

Marianna odzywa się pierwsza.

- Ma pan rację. Nie mam panu czego wybaczać i nie zamierzam udawać świętszej, niż w rzeczywistości jestem.

Jakiś wyraz satysfakcji rysuje się na jego twarzy, gdy dziewczyna to mówi. Zygmunt zwalnia kroku, zatrzymuje się. Bez słowa patrzy na nią.

Po prawej stronie ciągnie się pasmo sosen, po drugiej stoi kalina, rzucając długi cień i tworząc wraz z lasem zielony korytarz oddzielający to zaciszne miejsce od reszty świata. Stoją - Marianna i on - jak na samotnej wyspie, w mroku tej jedynej ciemnej plamy na drodze, kontrastującej z resztą jaskrawych barw lata. Marianna patrzy na wysoki krzew. Kwiaty już niemal całkowicie z niego opadły. Przypomina sobie Gabrielę, która daje jej czasami napar z kaliny na kobiece dolegliwości. Teraz też w dole brzucha coś ją drażni, pali. Ale inaczej. Może nawet przyjemnie. Na tę dolegliwość kalina pewnie jej nie pomoże. Tylko Zygmunt.

Patrzy na nią. I to nie takim rozmarzonym wzrokiem zauroczonego platonicznie szczeniaka, jakim do tej pory

obdarzali ją rówieśnicy. To pożądliwe spojrzenie mężczyzny, doskonale wiedzącego czego pragnie, czego od niej chce. Wyraźne spojrzenie zamglonych oczu...

Przygarnia ją jednym ramieniem. Ogarnia... Zagarnia dla siebie jej ciało. I patrzy z góry, mrużąc przed słońcem oczy. Marianna nie wrywa się, choć pewnie tak powinna postąpić młoda dama. Przecież zna go tak słabo - a może nie zna wcale, choć bardzo by chciała. Traci przy nim całą swoją siłę woli. Traci głowę. Traci oddech. To przez ten upał. Na pewno.

Przecież jako szanująca się kobieta nie powinna mu pozwalać na tak swobodne zachowanie, ale... Po plecach spływa jej strużka potu. Drży.

Boże, jak gorąco. Sekundy zdają się trwać wieczność...

Po chwili, w której tak walczy, by ze skrepowania, pod jego spojrzeniem, nie spuścić oczu - a która ciągnie się w nieskończoność - Zygmunt zbliża ku niej twarz. Idealnie piękną twarz. Lekko się uśmiecha. W jego jasnych oczach płonie przedziwny ogień. Marianna chce się wycofać, ale nie potrafi.

Czeka. On chyba też. Na co?

Wszystko się wokół niej kręci. Duszny zapach lata odbiera przytomność zmysłom. Wciąż tak trudno jest jej złapać oddech. Na co on czeka?

Zygmunt nachyla się jeszcze niżej i lekko drwiącym tonem szepcze... Wprost do jej ucha - Marianna czuje jego gorący oddech, który niemal parzy.

- Tylko nie całuj mnie tak, jak swoich szkolnych kolegów.

Marianna przymyka oczy.

Pocałuję cię tak, jak jeszcze nigdy tego nie robiłam! Nawet gdybym przez to miała pójść prosto do piekła.

A wtedy Zygmunt rozluźnia swój uścisk i lekko muska ustami jej czoło.

Dlaczego tylko tak? Nie! Ja chcę inaczej!

Odskakuje od niego i z wyrazem upokorzenia i wściekłością krzyczy:

- Jest pan... Jesteś...

Zygmunt pytająco unosi brew.

Marianna tak wiele chce wykrzyczeć. Prosto w tę cudowną twarz. Ale nie potrafi wydobyć z siebie już ani jednego słowa. Czuje się taka śmieszna...

Głupia! Jaka ja jestem głupia!

W jednej chwili odwraca się na pięcie i pozostawia wciąż uśmiechniętego mężczyznę na drodze. Kalina się śmieje, szeleszcząc listkami - nawet ona teraz z niej drwi. Marianna gnana wstydem biegnie w stronę domu.

Nie, wcale nie płacze ze smutku. Płacze ze złości. Poduszka jest już mokra, za oknem prawie ciemno. Marianna nie zapala nawet światła. O szyby lekko uderzają krople deszczu, który przyszedł nagle i zapewne równie szybko się skończy. Kilka razy gdzieś w oddali grzmi, ale burza widocznie wcale nie ma zamiaru rozpętać się na dobre. Jak to latem - raptownie przychodzi fala chłodu, by za chwilę znowu powrócił upał. Ziemia nawet nie zdąży namięknąć wodą, a rano - tworząc na moment, nad polami, lepka, rzadką warstewkę mgły - na powrót zapanowuje drażniące gardło susza. Ale teraz świat skąpany jest we łzach...

Kiedy Gabriela zaraz po nagłym powrocie dziewczyny wchodzi do jej pokoju, ta odpowiada wymijająco. Mówi, że źle się poczuła, więc zostawiła gościa i wróciła do domu. Że boli ją głowa, że ją mdli - może coś zjadła? Gospodyni nie wierzy w ani jedno słowo, ale też nie próbuje pytać o nic więcej. Wie swoje. Zostawia więc Mariannę samą - może przemyśli wszystko. Może zmądrzeje? Na następny raz. Jeśli będzie następny raz.

Nie chcę go więcej widzieć - myśli dziewczyna. Czuje się upokorzona, jakby znalazła się w pełnym ludzi pokoju zupełnie naga, bezbronna. A przecież nie stało się nic. Przecież tylko rozmawiali. I nawet dobrze się przy tym bawiła. Przecież... Ale to nie ona bawiła się z nim, to on zabawił się jej kosztem.

Marianna go teraz głęboko nienawidzi. Do siebie czuje odrazę. Za tę krótką słabość, za to, że poddała się pocałunkowi, którego on nie zamierzał jej oddać. Co za wstyd. A myślała, że on czuje to samo co ona. Miała nadzieję.

Nie chce go więcej oglądać - jakby mu teraz miała spojrzeć w oczy? Widzi na moment cień kaliny i tamtą twarz nachyloną nad jej twarzą... I nagle, gdzieś głęboko kiełkuje w niej świadomość, że żadne postanowienia nie mają już mocy. Bo choć nie może tego zrozumieć, całe jej ciało, każda część jej myśli i tak należy do niego. Wie, że dzisiejsze rozgoryczenie juto w blasku dnia znowu obudzi ze zdwojoną siłą to drugie, straszne uczucie. Odbierające godność i władzę nad samą sobą. Marianna już nie jest panią własnego losu, ale nie podda się bez walki. Zygmunt wygrał bitwę - ona wygra tę wojnę. Jeśli nawet wymagać będzie ofiar.

Rozgoryczenie wylane w poduszkę przysycha. Marianna zapala lampkę nocną. Podchodzi do stolika pod oknem, gdzie przed kilkoma dniami porzuciła paczuszki od panny Rogalskiej. Tak była dotąd pochłonięta innymi sprawami, że zapomniała o podarunku. Bierze zawiniątko do ręki i siada w fotelu. Pokój spowija półmrok. Dziewczyna w pośpiechu rozrywa kolorowy papier. W środku odnajduje małą książeczkę, oprawioną w płótno. To wiersze Tuwima. O miłości - prezent dla dojrzewającej kobiety. Na tytułowej stronie widnieje: Siódma jesień.

W środku odnajduje kilka słów skreślonych przez pannę Eugenię: „Dla Marianny, stojącej u progu dorosłości... Na pamiątkę”.

Dziewczyna kartkuje strony tomiku. Tytuły wierszy - krótkie hasła - mówią o miłości, o rozstaniu, tęsknocie. Jej palce zatrzymują się na przypadkowym wierszu. Los. Analizuje słowa, które Tuwim zadedykował: „Mojej St.". Swojej jedynej miłości? Swojej żonie, Stefanii?

Czyta powoli.

Taki to już los mój będzie, Takie to już miłowanie: Przywitanie, pożegnanie, Pożegnanie, wspomnianie... Oczy twoje widzę wszędzie, Oczy twoje mnie całują Z dali, z dali mnie miłują, Z dali, z dali mnie żałują, Nie przychodzą na wyzwanie, Jeno błyszczą, jak w legendzie, W dali, w dali, zewsząd, wszędzie, - Taki to już los mój będzie, takie to już miłowanie: Przywitane... pożegnanie...

Marianna zamyka szybko książeczkę z dziwnym rozdrażnieniem. Słowa poety wzbudzają w niej niepokój. Czy miłość przypieczętowała los? Zmienia wszystko. Na zawsze. Czy to, co poczuła do Zygmunta, będzie wywierać piętno na jej dalsze życie? Powitanie. Pożegnanie...?

Rozdział VII

Zenon

W niedzielny poranek, jeszcze przed wyprawą do kościoła, wraca pan Aleksander - zadowolony. Wszystko ustalił z ciotką Weroniką. Bardzo chce się podzielić dobrymi nowinami z córką, ale dziewczyna czuje się chora. Nie ma ochoty ani na rozmowy z ojcem, ani tym bardziej na wizytę w kościele. Ojciec ze zrozumieniem kiwa na to głową. Gabriela jest pełna podejrzeń - zna nazwę owej nagłej przypadłości. Ale taktownie milczy na ten temat. Pozwala Mariannie na samotność w czterech ścianach jej pokoju. I ze spokojem patrzy na tę niespodziewaną, wydumaną dolegliwość, która nie pozwala dziewczynie uczestniczyć we mszy.

Głosy w domu cichną. Marianna zostaje sama. Tylko z babką Leokadią, która leży pewnie, jak zwykle, w łóżku. Dzieli je zaledwie kilka ścian - a jakby mur nie do przebycia. Powinna pójść do niej. Dotrzymać jej towarzystwa, porozmawiać. Ale nie ma na to siły. Dziś nie jest w stanie słuchać starczych frustracji. Musi się pozbierać, przemyśleć wszystko jeszcze raz. W jej życiu dzieje się teraz coś bardzo ważnego, najważniejszego. I trzeba to na spokojnie rozważyć. Marianna nie zamierza stać się bezwolną kukiełką w rękach Zygmunta. Zawsze w życiu miała to, czego pragnęła. A teraz pragnie jego. I zrobi wszystko, żeby mu pokazać, że nie jest spłoszoną pensjonarką, że podejmuje jego wyzwanie. Jest kobietą. I to on będzie ją błagał o jedno ciepłe słowo, czuły gest, pocałunek... A ona mu to wszystko ofiaruje... Gdy nadejdzie właściwy czas.

Krystyna powoli upija łyk herbaty z kremowej filiżanki ozdobionej kilkoma gałązkami niezapominajek, którą wiele lat temu jej matka otrzymała w prezencie ślubnym. Wraz z Marianną siedzą w niewielkim saloniku, na tyłach domu, w którym przy frontowej ścianie tłoczy się kolejka do gabinetu

doktora Wieruszewskiego. Tu jednak nie dochodzą dźwięki z ulicy. Panuje niemal idealna cisza.

Dziewczyna patrzy na Mariannę. Milczy. Do niej również zaczyna docierać, że coraz mniej łączy ją z przyjaciółką. Choć przecież wszystko wygląda jak dawniej, dostrzega coraz wyraźniej, jak bardzo różne są od siebie. Nadal ją kocha, ale coraz mniej rozumie.

- Gabriela powiedziała, że źle się poczułaś, dlatego cię wczoraj nie było w kościele.

- Bolała mnie głowa.

Mała filiżanka ląduje na spodeczku z bolesnym trzaskiem. Krystyna patrzy z ukosa, z zadumą przyglądając się podkrążonym oczom przyjaciółki.

- Marie, co się dzieje, jesteś chora?

- Skąd. Tylko ta głowa... - wyrzuca zniecierpliwiona. Choć przecież Krysi mogłaby powiedzieć. Nigdy dotąd nie było między nimi niedomówień. Ale czy ona to zrozumie? Przecież Marianna sama do końca nie wie, co się z nią dzieje.

- Próbujesz mnie zbyć.

- Nie.

- Więc powiedz, o co chodzi? Coś cię martwi? Coś złego się wydarzyło?

Dlaczego Krystyna jest taka uparta? Czemu tak ciągnie ją za język? Marianna bardzo by chciała jej opowiedzieć o Zosi. O tym, co zobaczyła wtedy w domu. Podzielić się, jak kiedyś, tym, co ją porusza, intryguje, ciekawi. Mieć w przyjaciółce swego sojusznika. No, ale doktor Wieruszewski... Nie byłby zadowolony, gdyby Krysia się dowiedziała o skrobance. A Marianna dała słowo. Jest honorowa. Więc milczy.

- Widziałam się z Zygmuntem... - mówi w końcu.

- Z panem Jasińskim? - Tak...

- Och, ja też dość często go widuję. Wiesz, zdejmowałam mu szwy - mówi z dumą, jakby nie dostrzegając dziwnego wyrazu twarzy przyjaciółki.

- Nie słuchasz mnie... Widziałam się z Zygmuntem. Nieprzypadkowo...

Krystyna kręci się na krześle. Dopiero teraz jej oczy stają się czujne. Pyta cicho, choć w pobliżu nikogo nie ma. Ojciec pracuje, matka ze Stefanem pojechali do Wyszkowa.

- Marie? Czy ty...? To znaczy. Czy ciebie coś z nim łączy?

- Nie wiem - zaczyna powoli. - Jeszcze nie wiem. Możesz się śmiać, ale...

- Wcale nie zamierzam. Marie, ale przecież on jest od ciebie o tyle starszy, będziesz jego studentką... Mam nadzieję, że nie zrobiłaś czegoś nierozsądnego? - Nabiera powietrza. Łapie odruchowo przyjaciółkę za rękę. - Wiem, że twojego temperamentu wystarczyłoby dla kilku osób, ale chyba rozumiesz, że to nie ma sensu. A poza tym nie chcesz mi chyba powiedzieć, że w tak krótkim czasie zdążyłaś się w nim...?

- ...zakochać? A jaki czas, według ciebie, byłby odpowiedni? Powinnam odkrywać to przez lata, podkochiwać się, jak ty w Zenku? Przecież ty do dziś sama przed sobą się nie przyznałaś, że straciłaś dla niego głowę. Że nigdy nie czułaś do nikogo tego, co... Dlaczego wybrałaś medycynę, a nie biologię albo farmację? Bo masz nadzieję, że cię zauważy, dostrzeże, że będziesz mogła się do niego zbliżyć. Ta twoja chęć zaimponowania ojcu to tylko drugorzędna sprawa. Prawda?

- Marie... - Krystyna puszcza dłoń przyjaciółki. Wpatruje się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Pytasz, czy go Kocham? - Marianna nie zamierza zawracać z raz obranej drogi. - Czy ty w ogóle wiesz, co to

znaczy? Ja nie mogę spać, jeść, nie mam ochoty wstawać rano z łóżka. To jest jak szaleństwo. Wszystko mnie w środku boli. Nie mogę przestać o nim myśleć, choć on...

- Czy on ci coś zrobił?

- Mój Boże, ty nic nie rozumiesz. Jesteś jak dziecko... Czy Zygmunt coś mi zrobił? Nie. Nie zrobił. Nic mi nie zrobił. Choć ja... bardzo tego pragnę.

W pokoju zapada głucha cisza. Tylko za oknem zabłąkany słowik niestrudzenie wyśpiewuje jakieś molowe tony. Krystyna się waha. Kilkakrotnie próbuje coś powiedzieć, ale słowa zamierają jej na ustach.

- Nie patrz tak na mnie. Przecież ty chyba też jesteś kobietą? Nie chcesz mi wmówić, że kiedy wpatrujesz się w tego swojego Zenka, to jedyne, co ci przychodzi do głowy, to to, żeby cię złapał za rękę.

Przyjaciółkę oblewa rumieniec.

- Więc zapewniam cię, moja droga, że Zenon, patrząc na ciebie, na pewno nie rozmyśla o muśnięciu twojej dłoni. Myśli o tym samym, o czym ja, kiedy widzę Zygmunta...

- Ale Marie - Krystyna odzyskuje nagle głos - to po prostu nie wypada!

Marianna śmieje się nerwowo, krótko, urywanie.

- Myślisz, że tylko mężczyznom wszystko wypada? A ja mam to w nosie. Pierwszy raz w życiu spotkałam na swojej drodze człowieka, na którego widok zapominam o całym świecie. I który też, najwyraźniej, zauważył we mnie kobietę, a nie dziecko i jeśli tylko będzie mnie chciał, to dostanie...

- Przerażasz mnie. Zupełnie cię nie poznaję.

- Doskonale mnie znasz, tylko ty bardziej niż ja bronisz się przed tym, co nieuniknione.

- Ty go wcale nie kochasz, on ciebie opętał.

- Kocham, nie kocham, a może ja właśnie potrzebuję mężczyzny, który mnie opęta, a nie będzie recytował wierszy przy księżycu.

- Zapominasz tylko, kim pan Zygmunt jest, kim się dla ciebie wkrótce stanie. Przecież on będzie twoim wykładowcą!

- I mam nadzieję, że mnie nauczy...

Marianna idzie spokojnie, uśmiechając się do swoich myśli. Wypowiedzenie na głos tego, co dotąd w sobie dusiła, dało jej swoiste ukojenie. A przecież Krystyna nie potrafi się długo gniewać. I choć to, co usłyszała z ust przyjaciółki, może ją przerażać, smucić czy niepokoić, to na pewno doceni szczerłość. I wcale nie musi się zgadzać z niezrozumiałymi dla niej samej poglądami.

Kamień zrzucony z serca sprawia, że powrót do domu staje się nagle przyjemnym spacerem.

W ostatnim czasie dziewczyna nie zauważa wcale, jak pięknie rozkwitło lato, jak wspaniale i dorodnie obrodziły zboża na okolicznych polach. Widzi to wszystko jakby przez mgłę - niewyraźnie - skupiona jedynie na tym, co rozgrywa się w niej samej.

Gdy za plecami zostawia ostatnie zabudowania Kamieńczyka, przed jej oczami roztacza się sielski krajobraz. Po lewej stronie drogi, oddzielona pasmem łąk, spokojnie wije się zielonkawa wstążka rzeki, po której flisacy spławiają właśnie drewno. Ociosane bale wypełniają szczelnie koryto. A ta swoista tratwa wygląda niczym ruchomy pomost łączący dwa brzegi. Zapach wody miesza się ze słodkim, odurzającym aromatem żywicy - zapiera dech w piersi. A przez podmokłe pastwiska, aż tutaj, do uszu Marianny docierają odległe, ale dobrze słyszalne tony pieśni, której głuchy takt mężczyźni wybijają, odpychając się długimi bosakami o mulaste dno Liwca.

Marianna nigdzie się nie spieszy, przystaje na chwilę, odprowadza wzrokiem ten uroczy ruchomy obraz, aż znika on za odległymi wierzbami porastającymi zakole rzeki. Tam koryto nagle skręca, by pojawić się parę kilometrów dalej, niemal pod linią horyzontu.

Już ma ruszać dalej, gdy daleko za plecami słyszy odgłos kopyt stukających rytmicznie o kamienisty bruk. Nie widzi jeszcze jeźdźca, bo obraz przesłaniają jej przydrożne krzaki, ale domyśla się, że musi być to ktoś młody, lubiący brawurę, gdyż metaliczny pogłos podków zbliża się bardzo szybko. Dzieli ją od niego być może ze sto metrów, gdy go rozpoznaje - to Zenon.

On też ją widzi, ściąga lekko cugle - galop przechodzi w kłus - rytm wybijany kopytami o kamienie zwalnia do adagio. A chwilę później mężczyzna zeskakuje z siodła tuż przy niej.

- Dzień dobry, panno Marianno. - Teatralnym gestem całuje wyciągniętą ku niemu na powitanie dłoń. - Właśnie do państwa jechałem.

- Raczej pan gnał. Na złamanie karku. - Uśmiecha się do mężczyzny.

- Ktoś czasami musi poujeźdzać tę rozpasaną klacz. Wuj ją ciągle tylko prowadzi w zaprzęgu, a szkoda zwierzęcia.

Łapie za uzdę i czule głaszcze konia po pysku.

- Ale do takiej jazdy lepiej nadawałby się chyba Mefisto?

- Zapewne, ale po tej przygodzie Zygmunta wuj zakazał nam go dosiadać. - Nagle uderza się w udo, coś sobie przypominając. - No właśnie! I ja w tej sprawie wybieram się do pani ojca. Jeśli pani pozwoli, to jej potowarzyszę.

Ruszają dalej drogą. Koń prowadzony za lejce spokojnie idzie za Zenkiem.

- Wuj jest nieubłagany i powiedział, że nikogo już nie będzie narażał, więc biedny Mefisto chyba skończy przy pługu. No a my, z Zygmuntem, mamy problem, bo do jazdy

pozostaje nam tylko ta tutaj chabeta. I chciałem prosić pani ojca, czy nie moglibyśmy czasami pożyczyć konia.

- Pewnie najbardziej nadawałby się Gryf. - Zamyśla się. - Niestety ostatnio zdechł. Ojciec jeszcze nie kupił nowego konia na jego miejsce. Ale myślę, że to nie problem, na pewno udostępni panom jakiegoś innego. Może gniadego, Nicponia.

- Nicponia? - Zenon się śmieje. - Ciekawe imię... To byłby idealny koń dla Zygmunta.

Marianna uważniej przygląda się Zenkowi. Jego uwaga wzbudziła w niej ciekawość. Ale mężczyzna nie ciągnie tematu. Ona także o nic nie pyta. Nicpoń...

- W każdym razie będziemy bardzo wdzięczni pani ojcu...

Mijają zagajnik, za którym otwiera się ostatnia prosta prowadząca do dworu. Rozmowa się urywa, temat został wyczerpany. Idą przez chwilę w kłępującej ciszy, po ustach Zenka błąka się dziwny uśmiech. Przecież nigdy nie brakowało im tematów.

- Bardzo się pani zmieniła od moich ostatnich wakacji w Kamieńczyku.

- Wszyscy się zmieniliśmy. - Zamyśla się. - Rozstaliśmy się jako dzieci, a dziś... Pan student, ja i Krysia już wkrótce też stąd wyjedziemy. Jeszcze dwa lata temu mówiliśmy sobie po imieniu...

- Dziś nie śmiałybym tak się do pani zwracać. Już nie jest pani dziewczynką. - Patrzy na nią jakoś dziwnie, uśmiech zamiera mu na ustach.

- To aż tak wiele zmienia?

- To zmienia wszystko.

- A ja myślę, że tylko pewne sprawy. - Kładzie nacisk na „pewne”, tak by nie pozostawić Zenkowi miejsca na domysły.

Mężczyzna przygląda się jej uważnie. Z nieukrywanym zaskoczeniem. Milczą przez dłuższą chwilę.

- Uważa pan, że my tu na wsi słuchamy tylko niedzielnych kazań i czytamy książki, które przejdą przez bogobojną cenzurę pańskiego wuja. Że kobieta wychowana w takim miejscu musi być zacofana i pruderyjna?

- Ależ skąd. - Mimo zdumienia, w jakie wprawiają go te słowa, ożywia się. - Ale nigdy nie sądziłem, że z tamtej słodkiej dziewczynki wyrośnie tak świadoma kobieta jak pani. Nawet w Warszawie młode damy rzadko mają odwagę mówić głośno o swoich poglądach.

Widocznie „słodka dziewczynka” już nie chodzi po drzewach. Już nie biega roześmiana po polach. Przestała bezrefleksyjnie, po dziecięcemu przyjmować świat takim, jaki jest - zaczęła go analizować, dostrzegać jego mroczne i fascynujące strony. Z pucołowatego dziecka stała się olśniewającą kobietą. A Zenon to dostrzega. I wygląda, jakby się temu dziwił. Kiedyś nie zwracał na nią większej uwagi. Zauważał tylko Krysię - eterycznego anioła o złotych lokach. Teraz nieskomplikowana Krystyna nie już jest tak pociągająca - w niej te dwa lata zmieniły niewiele. Ale Marianna... Zenon patrzy na nią, jakby widział po raz pierwszy. Jakby odkrył coś, co dotąd umykało jego uwadze.

Może dlatego, że on również dojrzał od ostatnich wspólnych wakacji? Poznał smaki nocnego życia stolicy - wypełnione papierosowym dymem, alkoholem i szumem strusich piór. Karminowymi ustami. Lubieżnym splotem czarnych pończoch... Muzyką. I nogami - zgrabnymi, młodymi, unoszącymi się w oparach pożądania w równym kabaretowym szyku. W takt męskich pragnień, pulsowania krwi w ich skroniach i członkach. Poznał niemożliwy do zaspokojenia głód zabawy - przytłaczonej porannym bólem głowy, ale nie wyrzutami sumienia. Życie upływa mu między dniem - z jego chłodem w prosektorium i zapachem formaliny - a nocą, wibrującą nienasyceniem, gorącą i duszną od

przyciężkich piżmowych perfum. Teraz już wie, jak zniewalającą moc mogą mieć w sobie kobiety. Jak przyjemne jest ich zdobywanie, posiadanie. Choć tu, na wsi u wuja, tamto warszawskie życie wydaje się nierealne i takie odległe, to Marianna - ta dojrzewająca dopiero kobieta - wyzwala w nim falę wspomnień. Przypomina duszne sale klubów, które pęcznieją nocą od ulotnych gestów i obscenicznych pragnień.

Słodka Marianna. Zapewne Krystyna jest idealnym materiałem na przykładną, oddaną żonę - tak bezpiecznie jest ją adorować. Ale Marianna... - będzie kiedyś wspaniałą, zmysłową kochanką. Gdyby wiedziała, jakie myśli wzbudza w mężczyznach. A może już się domyśla?

Na tę myśl Zenon uśmiecha się ukradkowo, a tymczasem, niepostrzeżenie wyrasta przed nimi bielona fasada dworu z kolorową plamą kwiatów porastających klomb. Przez otwarte drzwi, z przysłoniętego portykiem ganku wypada mały chłopiec, a za nim pies z wywieszonym na brodę językiem. Nie wiadomo, kto z tej dwójki wygląda na bardziej zadowolonego. Zanim Marianna wraz z gościem dojdą do półkolistego podjazdu, dopada do nich zziajany Michał. Anatol macha ogonem, obwąchując pęciny prowadzonej przez Zenona klaczy.

- Dzień dobry - uprzejmie wita się chłopiec.

- Serwus, Michał. - Zenek bezceremonialnie ściska dłoń dziecka. - I pani mówi, że my się zmieniliśmy. Przecież jeszcze dwa lata temu pani brat był taki mały, nieskładnie mówił...

- ...A teraz usta mu się nie zamykają. - Dziewczyna uśmiecha się. - To prawda.

- Marie... - Michał naburmusza się. - Ja wcale nie mówię za dużo. Marianna dłonią przeczesuje włosy brata.

- Dużo. Dużo, za dużo... - Przypomina sobie cel wizyty Zenka. - A tata jest w domu?

- Jest. Czyta w salonie. Dziewczyna odwraca się do Zenona.

- No to zapraszam do środka.

Michał biegnie przed nimi, żeby zawiadomić ojca o wizycie. Marianna idzie z gościem za nim. Na moment zatrzymują się u podstawy schodów. Zenek uwiązuje konia, sięga do kieszeni marynarki. Podaje dziewczynie kopertę.

- Byłbym zapomniał. - Z jego twarzy znika uśmiech. - Zygmunt prosił, żeby to pani przekazać.

W drzwiach wejściowych pojawia się ojciec. Wylewnie wita młodego mężczyznę, zaprasza na pokoje. Zenek ostatni raz posyła spojrzenie dziewczynie, kłania się na pożegnanie i znika z panem Aleksandrem w korytarzu.

Marianna leży na łóżku. Nad głową trzyma niepozorną, zaklejoną kopertę, bez choćby jednego, skreślonego na awersie słowa. Trawi ją ciekawość. I strach. Ociąga się z jej otwarciem. Waha się. Nie wie, czy na pewno chce poznać zawartość. Przecież wcale nie powinno jej obchodzić, co Zygmunt ma do powiedzenia. Ale obchodzi ją bardzo.

Ręka jej drży, gdy rozrywa papier. Ze środka wypada niewielka, złożona na pół kartka. Na niej widnieje tylko jedno zdanie. Pytanie.

A może to ja jestem tchórzem?

Z.

Zosia wraca do pracy w samą porę. I choć nadal jest słaba, a Gabriela wyraźnie próbuje nie włączać jej do najcięższej roboty, dziewczyna pomaga w przygotowaniach do tej wyjątkowej kolacji. Albowiem w czwartkowy wieczór dom wypełnia się zapachem zupy z szyjek rakowych, pieczonej dziczyzny, duszonych kurek i ciasta z rabarbarem. Gabriela kręci się po kuchni, strofuje za lenistwo Mariannę, wydaje wszystkim polecenia. Antoni w salonie przygotowuje stół do gry w brydża, opędzając się przy tym od Michałka - który

chce mu pomóc - jak od natrętnej muchy. Ojciec dość późno wraca z pola, gdzie przez cały dzień nadzorował początek żniw i ledwo udaje mu się przebrać przed przyjściem gości.

Pan Aleksander nie ma nałogów, jest pobożny, prawy. Ma tylko jedną słabość - karty. I niewielu chętnych do wieczornych spotkań przy karciaku. Co prawda jego przyjaciel Adam Wieruszewski również lubi brydża, ale do gry potrzeba czterech osób, więc panowie rzadko mają okazję na tę rozrywkę. Sposobność nadarza się sama. Pan Aleksander w zamian za użyczenie konia do przejażdżek proponuje Zenonowi, wraz z jego przyjacielem, partyjkę. A młody człowiek z radością przyjmuje zaproszenie.

I tak, w zupełnie nieoczekiwany sposób, Zygmunt znowu będzie gościć w domu Marianny.

Tymczasem Gabriela nie podziela entuzjazmu gospodarza. Wieczorne spotkanie wiąże się bowiem z zarządzeniem bardziej wystawnej niż zazwyczaj kolacji, a to przysporzy jej dodatkowej pracy. A przecież Zosia nadal niewiele ma siły, by jej pomagać. No i teraz, kiedy tak pięknie obrodziły maliny, gospodyni wołałaby zająć się przetworami, dżemami, nalewkami i sokami, a nie nadzorowaniem przygotowań do przyjęcia. Nikt jej jednak o zdanie nie pyta.

Pierwszy przyjeżdża doktor Wieruszewski. Dziś zjawia się bez żony czy córki, bo to męski wieczór. Ale także bez syna, którego podobne rozrywki nie bawią. Mariannę obie te nieobecności cieszą. Za matką Krystyny nie przepada - dziwna kobieta. Zawsze zdystansowana i może zbyt wyniosła. Nie lubi jej sztucznych uśmiechów i pustych pytań, mających zabić ciszę, przesyconych nabożnym potępieniem: „Czy byłaś, Marianno, u spowiedzi w ten piątek? Nie widziałam cię w kościele w tym tygodniu, moja droga”. W jej towarzystwie Marianna zawsze czuje się skępowana. A Stefanek, nudziarz,

nie wniósłby do towarzystwa niczego wartego uwagi - więc też mała strata.

Od progu pana Adama wita gospodarz. Na oplątanej różą ganku panowie - pozostający w głębokiej zażyłości - poklepują się po plecach, wymieniają serdeczności. Pan Aleksander zaprasza na aperitif w jadalni. Marianna poprawia nakrycia, wymienia z ojcem przyjaciółki jakieś luźne, wesołe uwagi. Miły nastrój pryska tylko na chwilę - gdy w drzwiach pojawia się Zosia, donosząc jakiś brakujący element zastawy. Wieruszewski, nie przerywając rozmowy z Marianną, przenosi na służącą wnikliwe spojrzenie. Marie początkowo bierze to za oznakę lekarskiego zainteresowania. W końcu Zosia nie tak dawno była jego pacjentką, więc może chciałaby z nią porozmawiać. Choć naturalnie przy gospodarzu niewtajemniczonym w sprawę - stojącym teraz do nich tyłem i uzupełniającym stojące na bufecie kieliszki - nie może bezpośrednio zapytać dziewczyny o zdrowie. Marianna widzi jednak we wzroku doktora coś, czego nie spodziewała się tam zobaczyć. Odrażę, potępienie. Jakby pomimo tego, że sam uratował życie tej dziewczynie, wcale nie uważał, by na nie zasługiwała. Jakby w momencie, gdy skończyła się jego rola jako lekarza, pozostał już tylko mężczyzną.

Może Gabrysia miała rację? Może lepiej, że ojciec nie wie? - myśli Marianna. Czy on patrzyłby teraz na Zosię podobnie? Czy może też by nie zrozumiał? Nie stanął w jej obronie?

Przez otwarte okno dochodzi dźwięk kolejnego powozu.

- Marie, wyjdź, proszę, po gości - rzuca pan domu.

Marianna zapomina o Wieruszewskim i przemyka przez hol jak na skrzydłach. Staje na schodach. Obserwuje, jak powóz zatacza koło na podjeździe. Wsłuchuje się w odgłos żwiru chrzęszczącego pod kołami i śpiew kosa, który zaplątany gdzieś w koronie jesionu rozpoczyna wieczorny

koncert. Purpurowe niebo wisi nisko nad drzewami, rozpala ciągnące się daleko pola. Powietrze przesyca duszący zapach herbacianych róż przepleciony mdlawą nutą strzelistych malw przytulonych do murów dworu.

Mefisto, walcząc ze swoją naturą wierzchowca, zaprzężony do nudnego zadania, leniwie zatrzymuje się przed stopniami schodów. Nerwowo stuka kopytem, rozgrzebując drobne kamyki, jakby chciał się zerwać do dzikiego biegu, ale nic takiego się nie stanie. Antoni odprowadzi go do stajni, gdzie narowiste zwierzę w ciemnościach poczeka na powrót do domu.

Tymczasem dwóch młodych mężczyzn, ubranych w odpowiednie do okoliczności garnitury, energicznie zeskakuje z powozu. Marianna obserwuje tylko jednego z nich. Tylko jeden z nich się liczy.

- Dobry wieczór. - Jej wyciągniętą na powitanie dłoń pierwszy ujmuje Zenon. Całuje ją lekko. Odsuwa się na bok.

- Dobry wieczór - odpowiada ona, gdy ten, na którego czekała, w milczeniu pochyla się do pocałunku.

Czuje te usta na swojej ręce i ogarnia ją pewność i spokój.

- Panowie już czekają w jadalni. Zapraszam.

I jedno wymienione spojrzenie, w półmroku korytarza, gdy prowadzi gości do pokoju, mówi jej wszystko. Nic się między nimi nie zmieniło. Rozpoczynają swoją niemą grę od nowa. Od początku.

Goście siadają do stołu. Tylko mężczyźni i ona. Gabriela wymawia się od kolacji - sok malinowy wzywa. Może uważa swoją obecność wśród gości - mimo zaproszenia pana Aleksandra - za niewłaściwą? A może nie chce patrzeć, jak dziecko, które tak kocha, zatracą się w oczach nieodpowiedniego człowieka?

Ojciec zajmuje miejsce u szczytu stołu. Marianna siada z jego prawej strony - w roli nieobecnej gospodyni.

Naprzeciwko Zenon i doktor Adam, tuż obok niej Zygmunt. Nie może go obserwować, nie może napawać się jego widokiem. Ale są tak blisko, że czuje ciepło jego ciała. Wychwytuje każde muśnięcie rękawa marynarki na ramieniu, gdy mężczyzna podnosi widelec do ust.

Dziewczyna prawie nie słucha, na jaki temat toczy się rozmowa. Nie rozróżnia sensu słów, nie analizuje ich. Wszystko dookoła dzieje się jakby poza nią. Tylko kiedy słyszy swoje imię, na chwilę wychodzi ze skorupy, powstrzymuje emocje, odpowiada spokojnie, udaje uprzejmie zainteresowanie.

Zosia, jak duch, przemyka za krzesłami. Zręcznie zbiera talerze po zupie rakowej. Na stół wjeżdżają kolejne półmiski: krwistobrunatne mięso jakiejś nieroztropnej sarny - która nie usłyszała na czas kroków przyczajonego myśliwego - kopytka, młode ziemniaki, świeże sałaty, słodkie borówki, duszone kurki. Marianna z trudem przełyka kolejne kęsy jedzenia, nie czuje głodu. Traktuje posiłek niemal jak profanację tego, co rozgrywa się w jej sercu. I skupia się tylko na grze, jaką toczą z Zygmuntem. Czuje, kiedy on przesuwając kolano do jej nogi i ma wrażenie, jakby wszystkie zakończenia nerwowe w jej ciele skumulowały się w tym jednym miejscu. Delikatny ruch odczuwa niczym mocne, odbierające oddech uderzenie. A później mężczyzna ociera delikatnie serwetką usta i chowa wraz z nią ręce na kolanach, pod obrusem. Nie przerywając rozmowy z Wieruszewskim, przechyla się na bok, w jej stronę, przyjmując lekko nonszalancką pozę. Spokojnie wymienia uwagi z doktorem. Głos Zygmunta ani na moment nie zmienia intonacji, gdy tymczasem jego ręka wędruje pod stołem. Haftowany, w stylu richelieu, brzeg serwety zwisa bezwładnie i niewzruszenie. Nie zdradza przed niczym spojrzeniem tego niedostrzegalnego gestu. Wierzch męskiej dłoni nieznacznie przesuwając się po cienkim materiale sukienki.

Marianna czuje na udzie chłód jedwabiu poddający się tej pieśczoce. Widelec z lekka drży w jej ręce, kiedy podnosi go do ust. Odkłada sztucce. Porzuca bez żalu tonące w sosie kopytka i karbowane kapelusze kurek, prawa dłoń wędruje na kolano, wprost w oczekujący na nią uścisk. Przesuwa opuszkami po drobnych, sztywnych włoskach. Kciuk, palec wskazujący, digitus medius, digitus annularis... W odpowiedzi on odwraca w geście poddania jej dłoń, gładzi powoli jej wnętrze: linię życia, losu, serca...

Płomyki świec ustawionych w lichtarzu na stole chwieją się poruszone przeciągiem. Wchodzi Zosia. Ale teraz nikt z tu obecnych już nie zajmuje się jej cierpieniem. Jedni zatopieni są w wymianie zdań o polityce, inni w ukradkowej, bezgłośnie rozmowie o pożądaniu. Bez stów zbiera więc nakrycia, wnosi ciasto, stawia kilka karafek o różnobarwnej zawartości - nalewkę z pigwy, derenia, malin, ubiegłoroczną ratafię. Wypełniający pokój zapach świeżego ciasta to sygnał do rozstania - Marianna delikatnie wyrywa się Zygmunтови. Ich dłonie wracają na stół.

Ojciec nalewa dziewczynie kieliszek nalewki pigwowej, połyskującej starym złotem. Uśmiecha się czule, porozumiewawczo: „Jesteś dorosła, córeczko”. Wraca do rozmowy.

Panowie znowu zatapiają się w dyskusji. Jakieś urwane słowa docierają do jej głowy: chadecy, endecy, Mościcki, Hitler, Mołotow. Zdania przepływają nad nią. Nie próbuje ich zrozumieć, nie pozostawiają po sobie żadnej refleksji.

- Myślę, panowie, że czas na brydża. Młodzi kontra starzy... - mówi ojciec, odkładając łyżeczkę na talerzyk ustany okruszkami ciasta. Dopija ostatnie krople z mieniącego się w świetle świec kieliszka. - Zapraszam do salonu.

Marianna wie, że to koniec jej obecności w tym towarzystwie, ale tym razem pan Aleksander nie zamierza odbierać córce przyjemności. Jest już przecież kobietą.

Wszyscy wstają od stołu. Dziewczyna nieznacznie usuwa się na bok. Zosia, która zjawia się nie wiadomo skąd, otwiera na oścież skrzydła bocznych drzwi dzielących jadalnię z salonem. Goście przechodzą, rozmawiając, do pokoju zalanego ciepłym, przytłumionym światłem. Ojciec ujmuje córkę delikatnie za rękę.

- Jeśli nie jesteś zmęczona i masz ochotę, to może coś byś nam zagrała, córeczko?

- Ależ naturalnie, tatku. - Wieczór się jeszcze dla niej nie skończył.

Pan domu częstuje gości cygarami, napełnia kieliszki miętową nalewką „na trawienie” - słodko - gorzką wirtuozerią Gabrieli, robioną na sposób litewski. Marianna szerzej otwiera drzwi wychodzące na werandę, wypuszcza na zewnątrz ciężki, gryzący dym, zapraszając do środka falę rześkiego, wieczornego powietrza. Świerszcze cykają w ogrodzie tak głośno, że wydaje się, jakby wszystko wokół lekko drżało i wpadało w niewidoczne wibracje.

Zenon wymienia jakieś medyczne spostrzeżenia z doktorem, w ich rozmowę co chwilę krótkie uwagi wtrąca gospodarz. Panowie palą, siedząc w fotelach, powoli wypełniając pokój mleczną mgiełką. Zygmunt im w tym nie towarzyszy, podchodzi do dziewczyny, która przysiada przed rzeźbionym masywem fornirowanego orzechem pianina. Staje tuż obok, kiedy Marianna przerzuca nuty i wyciera z niewidzialnych pyłków klawisze z kości słoniowej. Z małych mosiężnych świeczników przytwierdzonych do błyszczącego instrumentu na klawiaturę padają kręgi światła. Odbijają się w oczach dziewczyny.

- Co pani zagra?

Marianna przenosi wzrok z nut na Zygmunta.

- Myślę, że to bez znaczenia. Gram zaledwie poprawnie.
- Niemożliwe. - Mężczyzna się uśmiecha.
- To proszę posłuchać.

Jednym ruchem, opierając o siebie opuszki palców, rozciąga je. Przygotowuje do gry. Kładzie je na klawiaturze. I wsłuchuje się w powolny, jednostajny rytm natury napływający z ogrodu. Zaczyna Nokturn f - moll Chopina. Wystukuje jego pierwszy, powolny takt.

Cyk, cyk, cyk... Świerszcz za oknem, niczym żywy metronom, akompaniując Mariannie, wygrywa rytm na swych maleńkich skrzypcach. Cyk, cyk, cyk...

I muzyka spod dłoni dziewczyny płynie równie powoli, zgodnie z pulsującą w jej żyłach krwią. Zgodnie z biciem serca. A czas nagle zwalnia. Mezzo piano wypełnia pokój, odgradza tych dwoje od rozmowy w drugim końcu salonu. Jakby byli tu zupełnie sami. Toną w dźwiękach. Zasłuchani w siebie. Zakłęci w melodii nastrojowej, molowej gamy. Marianna gra tylko dla niego. Dla Zygmunta.

Nie myli się, mimo drżenia dłoni, mimo emocji. I niemal wyczuwalnego oddechu mężczyzny na karku. Palce suną gładko. Takty, z wolna, wypełniają się życiem i coraz szybciej mkną po klawiszach, wzbierają na sile - mezzo forte, forte... Fortissimo! Jak miłosne uniesienie, jak wzbierające, pierwsze uczucie, pierwszy dotyk czyjejś dłoni...

Rozmowa w kącie cichnie. Już nie słychać dźwięków ogrodu - tylko przeszywający płacz nokturnu. Nawet firanki, dotąd drżące - zastygają w bezruchu. Tak jakby i one się zasłuchały.

I znowu tempo się zmienia - diminuendo - powraca spokój. Piano, pianissimo...

I każdy z obecnych, przez moment, pozwala sobie na chwilę wewnętrznej ciszy. Na wsłuchanie się w siebie. Chwilę

krótką, przerwana wstydem, wypełniona nieświadomym zażenowaniem. Jakby mogli w tym momencie zobaczyć to, co roi się w głowach współtowarzyszy wieczoru.

Zmieszanie - najłatwiej je przerwać dźwiękami. Zwykłymi. Oczekiwanymi w podobnej sytuacji. Więc z końca pokoju dobiegają oklaski.

- Ślicznie, córciu. Prosimy o jeszcze.

Dziewczyna odwraca się nieznacznie w tamtą stronę i uśmiecha delikatnie. Skinieniem głowy dziękuje za brawa.

Zygmunt nachyla się nad nutami. Udaje, że czegoś w nich szuka.

- Piękna i nieszczerze skromna...

- Za komplement dziękuję, ale naprawdę wirtuozem się nie czuję.

- Ale gra pani lepiej niż niejedna panna na warszawskich salonach, która ma o swojej muzyce nieadekwatnie wysokie mniemanie.

- Więc może wychodzą ze mnie prowincjonalne kompleksy?

- Może? - Znowu ten uśmiech. - Choć sądziłem, że akurat pani im nie ulega.

- Może wywieram błędne wrażenie?

- Wywiera pani właściwe wrażenie...

Marianna patrzy na niego kątem oka, nie przestając przeszukiwać nut. Czy oboje ulegli magii tej upalnej nocy?

- Po co pan to mówi?

- Przecież pani wie...

- Nie wiem. - Zamyśla się. - Wtedy, na spacerze...

- Przecież przyznałem, że stchórzyłem.

- A czego pan się przestraszył? Mnie?

- Dobrze pani wie, że nie powinniśmy, nie powinienem...

Pani jest stanowczo za młoda i... Nasze relacje... To może wiele skomplikować.

Marianna lekko mruży oczy. Czuje satysfakcję.

- A ja mam wrażenie, że pan się mną bawi. I w ogóle nie powinnam więcej z panem rozmawiać... - mówi z przekorą.

- Ale nie jest pani w stanie się oprzeć...

Dziewczyna wyciąga z pliku kart tę poszukiwaną. Chwilę milczy. Nerwowo wyłamuje palce.

- Czemu pan nie pali z innymi? Pana obecność mnie rozprasza. - Słowa, które chciałaby wypowiedzieć, zastępuje innymi, banalnymi.

- Nie palę, bo mam chore serce. - Nabiera powietrza, uśmiech wraca mu na usta.

Marianna marszczy brwi. Czy Zygmunt jest chory?

- Na serce...?

- Tylko w przenośni.

- Jest pan nieznośny. Proszę już iść do panów.

- Pójdę, ale pod jednym warunkiem...

- Słucham?

- Proszę się ze mną spotkać w sobotę, nad rzeką, wieczorem.

- A pan znowu ze mnie zakpi?

- Zobaczymy. Proszę przyjść. Będę na panią czekał. Odwraca się. Odchodzi. Marianna traci go z pola widzenia.

Czuje tylko na plecach jego wzrok. Po głowie pędzą myśli. Najchętniej uciekłyby do siebie już teraz. Ale obiecała zagrać. Więc gra.

Zaczyna. Ale tym razem muzyka nie brzmi już tak płynnie. Palce sztywnieją, w melodię wkradają się fałszywe nuty, gubią właściwe tony. Dziewczyna kończy utwór z wyraźnym trudem. Na jej twarzy rysuje się znużenie i niechęć.

Podczas gdy brzmi jeszcze muzyka, panowie zasiadają do stolika i rozkładają karty. Marianna chce czym prędzej wyjść z salonu. Tak wiele się dziś wydarzyło... Czuje, że policzki ją palą, w środku nieznośnie coś pulsuje. Z przyklejonym do

twarzą uśmiechem żegna zebranych mężczyzn, życzy udanej gry. Oni dziękują jej za miłe towarzystwo, wspaniały akompaniament. Dziewczyna wysłuchuje wszystkich tych kurtuazyjnych frazesów, mówi: „dobranoc” i zamyka za sobą drzwi na korytarz.

Długo leży w ciemnej sypialni, wpatrując się w sufit i nasłuchując odległych rozmów dobiegających z drugiej części domu. Nie może zasnąć. Nie do końca rozumie, co zaszło między nią a Zygmuntem. A może uczuć nie da się przeanalizować, nawet na chłodno? Może potrzeba na to nie godzin, a lat? Długich lat zapomnienia?

Nie wie, czy powinna pójść na to spotkanie. Przecież za to, jak zachował się wtedy, pod kaliną, zasłużył na karę - za zbrodnię na młodym sercu należy się kara. Może powinna mu pozwolić na siebie czekać - niech poczuje, jak to jest, gdy nie jest się panem sytuacji. Gdy karty rozdaje ta druga osoba...

Ale Marianna wciąż czuje na ciele dotyk jego dłoni - zatapia się we wspomnieniu tego zuchwałego zachowania, któremu z taką przyjemnością się poddała - i już wie, że nie będzie w stanie się oprzeć, by znowu go zobaczyć, że już nic jej nie zatrzyma.

Zasypia dużo później, kiedy za oknem słyszy dźwięki odjeżdżających powozów. I śpi spokojnie. Po raz pierwszy od tygodni.

Rozdział VIII

Władek

Przez cały piątek niebo zanosi się płaczem, więc sobotni poranek budzi się w oparach mgły - ziemia oddaje Bogu łzy. Marianna, zatrzymana w czterech ścianach przez wczorajszą ulewę, teraz pragnie wyrwać się na dwór, na rześkie powietrze. Choć na chwilę. By porozmawiać z Krysią, opowiedzieć jej... Może Krystyna już się na nią nie gniewa po ich ostatnim spotkaniu?

Więc zaraz po śniadaniu dziewczyna wymyka się z domu. Od narzekań Gabrieli na ogrom pracy przy owocach. Od pustego spojrzenia Zosi. Od kipiących wekami garnków i przypalonych konfitur w rondlu. Nie zamierza siedzieć w kuchni. Nic ją te przetwory nie obchodzą. I kto to wszystko zje?

Dlatego wymyka się po cichu, bierze rower i jedzie błotnistą drogą do Kamieńczyka.

Powoli, ponad jej głową, przesuwiają się chmury. Te ciemne, kłębiaste, deszczowe, z wolna wypierane są przez pierzaste cumulusy. Do wieczora pewnie znów zaświeci słońce. I Marianna, patrząc w niebo, cieszy się na ten powrót ładnej pogody. I na potajemne spotkanie, które dziś ją czeka.

Brukowaną uliczką dojeżdża do domu przyjaciółki. Otwiera furtkę i stawia rower pod płotem okalającym ogródek. Mały skrawek trawnika, który zazwyczaj wypełniają pacjenci Wieruszewskiego, dziś jest opustoszały. Może wraz z chwilowym odejściem upału ludziom przestały doskwierać ich choroby? Opuściła ich trawiąca dotąd gorączka...

Marianna kieruje się ścieżką prowadzącą na tyły domu, do drugiego wejścia. I dopiero wtedy, kątem oka, dostrzega pochyloną postać, która siedzi na ławce przysłoniętej krzakiem bzu. To dlatego nie zwróciła na nią uwagi od razu.

Przez chwilę się waha, czy do niego podejść - mężczyzna zastygł nieruchomo, twarz chowa w dłoniach. Nadal jej nie zauważył. Więc może nie powinna...? Może on czeka na wizytę? I o czym, niby, miałyby z nim rozmawiać? A wtedy tamten nagle unosi głowę. Zauważa wpatrzoną w siebie dziewczynę. Wstaje, kłania się, próbuje uśmiechnąć. Dzieli ich kilkanaście metrów zażenowania. Robi w jej stronę parę kroków. Ona też, odruchowo, zbliża się do niego. Aż ich drogi się przecinają na środku trawnika, pod rozłożystym kasztanowcem, i stają naprzeciwko siebie.

- Dzień dobry - mówi Władek. Zdejmuje czapkę. Nerwowo mnie ją w dłoniach.

- Dzień dobry - odpowiada, próbując się uśmiechnąć. Czemu nie umknęła, zanim ją zauważył? - Pewnie jesteś umówiony na wizytę?

Mężczyzna wydaje się zmieszany.

- Nie... ja... Nie. Tylko tu czekam.

Marianna przygląda mu się z zainteresowaniem. Władek wygląda, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale nie ma odwagi. Może się wstydzi? Zamiast tego proponuje zduszonym głosem, szybko - jakby się bał, że dziewczyna zaraz znowu odejdzie:

- Może usiądzie pani na chwilę? Może zechce pani... Dziewczyna widzi cienie pod jego oczami. Jeszcze parę dni temu, gdy spotkali się nad rzeką, wyglądał inaczej. Choć skromnie ubrany, biła od niego jakaś świeżość, energia. Teraz to wrażenie znikło, ustępując miejsca zmęczeniu, rezygnacji. Rozgoryczeniu? I ciekawość Marianny wygrywa:

- Oczywiście, usiądźmy.

Idą razem w kierunku ławki otulonej bzem. Siadają, zachowując między sobą dystans. Władek czuje niestosowność tej sytuacji. Niepotrzebnie prosił, by została.

Teraz zada mu pytania, na które nie chciałby odpowiadać, ale jest już za późno, by się wycofać.

- Pewnie przyszła pani do panny Krystyny? - zaczyna on, aby przerwać krępującą ciszę.

- Tak. Miałam nadzieję się z nią zobaczyć. Znowu zapada milczenie.

- Panna Kryśka jest w gabinecie. Pomaga ojcu. - Pomaga...?

- Opatrują wspólnie moją matkę - wyrzuca z siebie mężczyzna. I zanim Marianna zdoła zadać kolejne pytanie, dodaje: - Została pobita. Trzeba jej założyć szwy, więc doktor... To nie pierwszy raz. - Po co on to mówi, czemu nie ugryzie się w język?

Dziewczyna wpatruje się w jego ręce spoczywające na kolanach. Lekko drżą.

- Została pobita? Nie pierwszy raz? Ale kto...?

Kto podnosi rękę na bezbronną kobietę, na słabszą płęć? W świecie Marianny takie rzeczy się nie zdarzają. To prawda, kobieta ma mniejsze prawa, zamknięta jest często w domu - albo w surowych normach. Ale należy jej się szacunek. Albo przynajmniej złudzenie, że jest nim darzona.

- Mój ojciec. - Władek mówi niemal niedosłyszalnie. - To ten łajdak jej to zrobił. - Zakrywa twarz dłońmi. - Zabiję go. W końcu do tego dojdzie, że go zabiję.

Marianna myśli, że on płacze, ale nie. W głosie mężczyzny słyhać głęboką nienawiść. Złość hamowaną z takim trudem, że dziewczyna czuje się nieswojo, jakby rzucone przez Władka groźby były skierowane do niej.

- Proszę tak nie mówić - przemawia łagodnie. - Tak nie można. Przecież... to by było bardzo nierozsądne. No i od tego jest policja. Przecież to trzeba zgłosić do posterunkowego.

Mężczyzna podnosi na nią oczy. Po raz pierwszy nie ma w nich śladu życzliwości. Na twarzy maluje się rozdrażnienie.

Potem zdziwienie. Na koniec na poblądłe wargi wypływa lekko drwiący uśmiech.

- Pani żartuje? Na policję? Bo chłop pobił żonę po paru głębszych? Wyśmialiby mnie... To są przecież sprawy rodzinne. Kogo to by miało obchodzić? - Z jego ust, równie szybko jak się na nich pojawił, znika uśmiech. - Zresztą matka nigdy by się na to nie zgodziła. Wystarczająco się wstydy, przychodząc tutaj, do doktora Wieruszewskiego. Ludzie i tak już gadają. Miałaby pójść na policję...? A jeśli go aresztują? Matka nie przeżyłaby takiego upokorzenia.

Marianna nie kryje wzburzenia. Jak można udawać, że nic się nie stało? Jak można się godzić...? Więc ojciec Władka będzie bezkarnie bił żonę? I wszyscy wiedzą? Doktor Wieruszewski wie? I wszyscy milczą. Nikt nic z tym nie robi. Jeśli ofiara nie chce tego zgłosić, czemu nie uczyni tego lekarz? Ile jeszcze razy będzie ją opatrywał, zszywał rany? Czemu nikt tej kobiety nie chce uratować? Przed jej mężem - przed jej oprawcą.

A później przypomina sobie Zosię. Jej przecież też nikt nie pomógł. Nikt się za nią nie wstawił. Nie wziął za rękę, nie przytulił, kiedy... Nawet ona, Marianna - udaje, że nic się nie stało. Nie mówi na głos tego, co w głębi duszy o tym myśli: że przecież Zośka o mały włos nie umarła i że tylko ona zapłaciła karę za chwilę namiętności. A przecież nie poczęła tego dziecka sama... Marianna wypiera to z pamięci. Gabrysia milczy. Wieruszewski pogardza.

A więc to normalne? Sprawy rodzinne, katowanie żon, wyskrobywanie z ciała niechcianych dzieci - nikt przecież nic nie powie.

Podnosi się energicznie z ławki. Wygładza sukienkę. Władysław widzi rozdrażnienie na jej twarzy i żałuje tej chwili szczerości. Dlaczego jej powiedział? Dlaczego się otworzył? Teraz Marianna już nigdy nie zechce z nim

porozmawiać. Ich odległe dotąd światy rozdzieliła jeszcze głębsza przepaść.

- Idzie już pani? Nie zaczeka na pannę Krystynę? Pewnie niedługo skończą...

Marianna nie patrzy mu w oczy. Czuje złość. Na siebie, na niego, na Wieruszewskiego. Nawet na Krysie, która pewnie nie pierwszy raz opatruje pobitą kobietę. I nigdy nic na ten temat nie wspomniała. Może ona również uważa, że tak musi być?

- Powinam już iść. Przyjechałam tylko na chwilę - kłamie. - Proszę przekazać Krystynie... Albo nie. Proszę nie mówić, że tu byłam.

- Przepraszam, jeśli panią czymś uraziłem. - Władek wstaje, prostuje się. - Nie powinienem był pani mówić o matce... Proszę mi wybaczyć. Ale czasami... czasami jest mi bardzo ciężko. Nie powinienem... - Milknie.

Bez słowa odprowadza ją do furtki. Marianna wsiada na rower.

- Nic nie szkodzi. Rozumiem - mówi, choć przecież właśnie nic nie rozumie. Jeszcze nie potrafi poukładać sobie w głowie tej kolejnej lekcji o świecie. Patrzy na Władka ostatni raz. - Proszę przekazać mamie życzenia powrotu do zdrowia.

- Dziękuję i do zobaczenia.

- Do widzenia.

Gabriela ma rację. Mężczyźni nigdy nie płacą za swoje czyny - ręce zbyt twarde albo przeciwnie - zbyt napastliwe, bezwstydne.

Bez różnicy. Wszystko uchodzi im na sucho. Dla wszystkiego znajdują przyzwolenie. Tylko im przysługują prawa. Rozgrzeszenie. W oczach ludzi, w oczach Boga. On też jest mężczyzną. Stoi po ich stronie, strzegąc biblijnego ładu - patriarchatu.

I gdzie jest ta rewolucja? Gdzie ta zmiana, w którą Marianna tak dotąd wierzyła? O której tyle czytała? Którą nabijała sobie głowę? Czy to wszystko są tylko mrzonki? Czy świat pozostanie taki, jak tego chce babka Leokadia? A może na wszystko potrzeba czasu...? Dwadzieścia lat równości wyborczej i nadal żadnych perspektyw na równość obyczajową... Może to nadal za mało? Może potrzeba kolejnych dwudziestu, pięćdziesięciu? Żeby kobiecie wolno było tyle samo co mężczyźnie. Żeby to ona mogła rozdawać karty w grze.

Marianna nie będzie czekać. Nie ma tyle czasu. Teraz jest jej moment... Nie pójdzie na spotkanie z Zygmuntem. Niech on poczuje, niech wie, że to ona jest panią sytuacji - jej serce zaczyna szybciej bić...

Ale kobieta ma jeden oręż. I Marianna idzie stoczyć swoją walkę.

Już z daleka widzi jego postać - siedzącą na zwałonym pniu spróchniałej wierzby, którą tego lata powalił jakiś zbłąkany piorun - zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym jeszcze niedawno rozmawiała z Władkiem. Mężczyzna ma lekko zgarbione plecy. Wygląda na skupionego, kiedy wpatruje się w małe wiry na leniwie sunącym poniżej lustrze wody. I zdaje się jej jeszcze piękniejszy niż dotychczas. Najpiękniejszy, najdoskonalszy - nieprzyjaciel w walce płci.

Zygmunt nie słyszy kroków tłumionych przez miękką, pośliskłą od słońca trawę i odwraca się dopiero, gdy zauważy cię dziewczyny.

Kieruje spojrzenie w jej stronę i nagle wcześniejsze zamyślenie znika z jego twarzy, zrywa się na równe nogi, staje wyprostowany przed Marianną. Mierzy ją wzrokiem... I po chwili, bez słowa powitania, robi krok do przodu. Ten gest jest jak zaproszenie, jak przyzwolenie na to, co musi się stać. I

sprawia, że dziewczyna zapomina, jak miała być wobec niego chłodna. Jak miała mu udowodnić...

Jej ręce same wyciągają się do niego, głaszczą policzek, ciasno obejmują szyję. Przez chwilę jeszcze czuje jego i swoje wahanie, ale to szybko mija i Zygmunt przygarnia ją mocnym uściskiem silnych ramion. Spogląda z góry w lekko przymknięte oczy, w których więcej jest pragnienia niż strachu - i tama pęka.

Nachyla się, zatapia w niej usta, a ona poddaje się bez oporu. W jego ruchach nie ma delikatności, a język wdziera się w nią intensywnie, odbierając oddech. Ręce, jakby nagle oswobodzone z uwięzi, zaczynają podróż po jej ciele. Teraz! Powinna zaprotestować. A jednak nie potrafi. W całym zdziwieniu jej niedoświadczonego organizmu, dla którego każde dotknięcie, uścisk, pocałunek są pierwsze, nie pozostaje ani odrobina niepewności. Jakby sama natura podpowiadała jej kolejne gesty i właściwe reakcje na ciało mężczyzny.

Czuje, jak Zygmuntowi szybciej bije serce, kiedy niecierpliwą dłonią zsuwa z jej ramion sukienkę i zachłannie, wilgotnym językiem, błądzi po szyi. Splątane ciała przywierają do siebie tak mocno, że niemal stają się jednym... oddechem, pożądaniem, niedosytem. I Marianna już wie, że bez sprzeciwu dopełni ostatniego aktu dziewictwa - zahamowania i wątpliwości oddają ostatnie tchnienie. Całą ją przepełnia pewność, że kocha tego człowieka nieprzytomnie, choć nie ma w tym uczuciu rozsądku, nie ma wytłumaczenia. Miłość nie jest racjonalna i Marianna też nie zamierza rozmyślać nad jej konsekwencjami. Nie teraz... Jest tylko jedno, jedno, co musi teraz uczynić - strawić ten płomień, który wzniecił Zygmunt.

I gdy już jest pewna... Gdy już rozsądek umiera w zduszonych konwulsjach, stłumiony przez obezwładniające pulsowanie między udami, w dole brzucha, mężczyzna nagle

odrywa się od niej. Dysząc, oswobadza się z jej ramion. Staje na wyciągnięcie ręki, patrzy w milczeniu dziwnym, nieobecnym wzrokiem.

Ciszę, która przed chwilą wydawała się krzyżeć, teraz znowu wypełnia tylko szum rzeki. Choć świat dookoła nadal wiruje jej przed oczami, Marianna z wyrazem zdziwienia na zaczerwienionej twarzy próbuje trzymać się prosto. Ręce opadają jej bezwładnie wzdłuż ciała.

- Przepraszam. - Zygmunt dłonią przygładza włosy, w których przed chwilą tkwiły jej palce.

- Przepraszam?

Marianna intensywnie próbuje zrozumieć, co się wokół dzieje i co on do niej mówi.

- Posunąłem się za daleko. Nie powinienem... Nie powinniśmy. To błąd.

- Błąd? - powtarza cicho, jak automat.

- Proszę mi wybaczyć. Ja... Nie wiem, co się ze mną stało. Przy pani... Przy tobie tracę rozum. To nie powinno się wydarzyć. Jesteś jeszcze dzieckiem.

Każde słowo boli ją niczym uderzenie - siarczysty policzek. Nagle odsłonięte ramiona sprawiają, że czuje się zupełnie naga - niezdarnie poprawia sukienkę. Zaczyna rozumieć. Przez ciało przechodzą kolejne skurcze podniecenia, ale emocje powoli opadają. Wyraz niezrozumienia na twarzy zastępuje grymas wściekłości.

- Nie jestem dzieckiem!

- Owszem. Pięknym i bardzo jeszcze niedojrzałym. Szalonym i trudnym do poskromienia. Namiętnym... Ale my nie możemy...

Nie mogę, nie mam prawa. A ty... Nie rozumiesz, jak wiele by to zmieniło, jak bardzo skomplikowało...?

- Bzdury! Pan się po prostu mną bawi! I jest pan tchórzem. Myślałam, że coś nas połączyło, że akurat pan mnie

rozumie... Ja nie umiem tego nazwać, ale przecież wiem, co czuję. Myślałam, że pan... Z panem jest podobnie. A pan jest...

- Możesz mnie nazywać tchórzem. Możesz nawet nienawidzić. Ale przecież ja nie mogę deprawować własnej studentki. Prawie dziecka.

- Niech pan już przestanie z tym dzieckiem! Jestem dorosła i zrobię z własnym życiem, co zechcę. I po co były te wszystkie gesty z pana strony? Po co to dzisiejsze spotkanie?

- Sądziłem... Wydawało mi się, że będę w stanie to opanować, że się powstrzymam...

- I będziemy mówić sobie czułe słówka przy zachodzie słońca...?

Na twarz Zygmunta wraca całkowite opanowanie.

- Sam już nie wiem, co myślałem. Chciałem cię znowu zobaczyć. Chciałem porozmawiać, wyjaśnić pani...

Znowu „pani”?

- ...że to mrzonki, że należy te niepotrzebne uczucia zdusić w zarodku. Nie powinniśmy się byli spotykać.

Wykonuje nieznaczny gest, jakby chciał złapać ją za rękę, ale dziewczyna cofa się o krok.

- Myślałem, że mam na tyle siły i rozsądku... Ale jak widać, nie mogę być pewien samego siebie. Tego, co do pani czuję... Tym bardziej nie powinniśmy się już więcej widzieć. Pani pozostanie moją studentką. I tylko studentką.

- To nie ja jestem niedojrzała...

- Pani nic nie wie o świecie.

- Wiem o świecie więcej, niż się panu wydaje. - Marianna podnosi głos. - Na każdym kroku mężczyźni mnie utwierdzają w przekonaniu, jak niewiele ważne są kobiece pragnienia.

Zygmunt przysłuchuje się z zainteresowaniem. Jakie prawdy poznała już Marianna? Przygląda się jej w skupieniu. Mówi powoli:

- Czy pani zdaje sobie sprawę, jaki wpływ na moja karierę na uczelni miałyby taki romans? Na pani studia? Ja nie mogę ryzykować.

- Kariere? Pan się boi o swoją karierę?! - Jej ciałem wstrząsa niepohamowany, nerwowy śmiech. - Przecież to tylko ja musiałabym za wszystko zapłacić! Pana kariera...?

Śmiech odbija się od wody, wypełnia polanę. Drzewa chichoczą, poruszając się miarowo. Drwią z niej. I z niego.

Zygmunt milczy, szukając odpowiednich słów, żeby załagodzić to, co już zostało powiedziane. Zastanawia się nad jej słowami.

- Pani nic nie rozumie... Jeśli zrobimy o krok za daleko... Pani nie wie, jakie to zrodzi konsekwencje. Stracimy na tym oboje.

Marianna patrzy na niego w skupieniu. Uśmiech zamiera na ustach. Znika. Zostaje tylko nagłe, bolesne rozczarowanie. To już koniec?

- Nikt, nawet pan, nie będzie mi dyktował, co mam czuć... Nic mnie nie obchodzą konwenanse, pana kariera ani to, że wkrótce będę pana studentką. To są w życiu jakieś nieistotne, drugorzędne sprawy... Zresztą może będzie ta wojna, o której wszyscy tak dyskutują, a wtedy już nic nie będzie ważne. Nic oprócz tego, że pan się dzisiaj mnie wyrzeka.

Dziewczyna obraca się w pół słowa. Już nie jest w stanie dłużej wytrzymać spojrzenia bladoniebieskich oczu. Nie może patrzeć na człowieka, dla którego zrobiłaby wszystko, a który nic od niej nie chce. Niedbałym gestem odgarnia włosy z twarzy i idzie ścieżką w stronę lasu, którą jeszcze przed chwilą przebyła pełna nadziei.

- Marianno!

Dzieli ich już kilkanaście metrów. - Marianno...

Przystaje, ale nawet nie odwraca głowy w jego kierunku.

- Tak będzie dla nas lepiej.

Tak będzie lepiej dla ciebie - myśli i przyspiesza kroku.

Nic już nie pozostało do powiedzenia. Słowa sieczą tylko przestrzeń, tworząc niewidzialną próżnię między nimi. Dziewczyna wchodzi między długie cienie rzucane przez sosnowy las. Pas drzew zamyka się za nią, odgradzając od polany nad brzegiem rzeki. Biegnie, by jak najszybciej zostawić za sobą Zygmunta i wszystkie te słowa, które w tej chwili tak rozrywająco bołą.

Rozdział IX

Konstanty

Każdy dzień podobny jest do poprzedniego. Upał, burza - chwila oddechu - i znowu żar leje się z nieba. Pan Aleksander niemal całe dni spędza na polach, nadzorując żniwa, załatwiając sprawy w młynie, organizując sprzedaż obfitych plonów. Cały dom nadal wypełniają najęte do pracy kobiety, które pod czujnym okiem Gabrieli przetwarzają pełne skrzynki owoców i warzyw na konfitury, soki, wszelkiej maści pikle i marynaty. Powietrze wypełnia zapach octu i karmelu, którym krwawią duszone bez sentymentu maliny. Harmonogram nudy przerywa czasami parobek, który przychodzi od proboszcza i pożycza obiecanego Zenonowi konia.

Marianna chciałyby porozmawiać z Krystyną. Opowiedzieć jej o spotkaniu nad rzeką, o Zosi. Podzielić tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. Ale Krysia widocznie nadal czuje do niej urazę, bo wciąż nie przychodzi do dworu.

Tymczasem Marianna popada w odrętwienie, nie ma ochoty nigdzie wychodzić i z nikim się spotykać - jeśli i tak nie może spotkać Zygmunta. Początkowy ból słabnie, choć rany goją się powoli, a ona sama, z wrodzonym sobie uporem, wciąż nie opuszcza myśli, że jednak wyrok na jej serce nie zapadł. Znowu wbrew rozumowi zaczyna go usprawiedliwiać. Może Zygmunt jest inny? Może rzeczywiście nie chciał jej skrzywdzić? Tamten dzień to tylko mały, czarny kamyk (Zaznaczany w ten sposób przez Rzymian niepomyślny dzień w kalendarzu.). Potrzeba czasu. Dystansu. Żeby mógł za nią zatęsknić. Żeby zrozumiał błąd. Spotkanie nad rzeką było przegrane, ale tym razem dla nich obojga. Więc jeśli nie będą się widzieli wystarczająco długo, wtedy Zygmunt zrozumie, co stracił, czemu się sprzeniewierzył. Ona poczeka...

Tylko czemu to oczekiwanie jest takie trudne do zniesienia?

W ostatni poniedziałek lipca, późnym popołudniem, na ganku kamienieckiego dworu staje w końcu Krystyna. Dla nich obu ten niedługi czas rozłąki włókł się w nieskończoność. Ale ktoś musi pierwszy wyciągnąć rękę. Ktoś musi zakopać wojenny topór.

Wpuszczona do środka przez Antoniego zastaje Marie w jej ulubionym fotelu na werandzie. Z książką w ręce.

- Co czytasz? - Przysiada na otomanie stojącej nieopodal oszklonych drzwi. Nie zaczyna od wyrzutów, przeprosin, tłumaczeń. Postanowiła zapomnieć o poprzedniej rozmowie. Przecież Marianna jest najlepszą, najwierniejszą przyjaciółką. Siostrą.

- Filozofia prawa. - Zamyka z trzaskiem opasłe tomisko i odkłada je na stolik. Uśmiecha się, choć nie chce, by przyjaciółka zauważyła, jak ją cieszy ta wizyta.

- Już się uczysz? - Krysia kręci głową z niedowierzaniem.

- Tylko przeglądam.

- Znowu nie było cię na mszy.

- Wiesz, jak śmiertelnie mnie to nudzi.

- Ale może twojemu ojcu jest przykro?

W oczach Marianny błyszczą małe iskierki rozbawienia - kochana, dobra Krysia.

- Ojciec ostatnio jest zupełnie nieobecny. Ciągłe tylko jak nie żniwa, to interesy. Nie sędzę, żeby moja obecność w kościele, lub jej brak, robiły mu różnicę.

- Taki czas, musisz go zrozumieć. Wszystko jest na jego głowie...

- Ach, sędzę, że jest mu wszystko jedno. Pójdę do kościoła, nie pójdę i tak nikt nie zauważy... - Macha niecierpliwie ręką. - No, a co u ciebie?

Krystyna uśmiecha się szerzej, jakby tylko czekała na to pytanie.

- Za tydzień, w sobotę jedziemy w góry, do Zakopanego.

- Wyjeżdżacie? - Marianna unosi brwi i mówi z lekką przekorą: - Twój ojciec jednak nie boi się wojny?

- Już od dawna mieliśmy zarezerwowany pensjonat. No i mama go namawia. Ojciec uważa, że nawet jeśli coś zacznie się dziać, to nic nie nastąpi zbyt prędko. Zdamy wrócić. Zresztą to tylko na tydzień.

Marianna rozsiada się wygodniej w fotelu, podkulone dotąd stopy rozciera z odretwienia, kładzie na stojący obok puf. Czuje nutkę zazdrości. Zakopane - mekka artystów. Tętniące życiem i sztuką miasto wśród bajecznych gór... Jej rodzina nigdy nie wyjeżdża w czasie zbiorów - powinność wobec ziemi. A w domu doktorostwa jedyną osobą, którą interesują żniwa, jest Stefan.

- Twój brat też jedzie?

- Nie, wyjeżdżam tylko z rodzicami. Stefan zostanie przypilnować gospodarstwa. Poza tym i siłą nikt by go teraz nie wyciągnął z domu. - Dziewczyna zamyśla się, po czym uderza się nagle po kolanie. - Zapomniałabym o najważniejszym. Mój szanowny brat prosił, bym w jego imieniu zaprosiła cię na niedzielę...

- Na niedzielę?

- No przecież wtedy wypadają jego imieniny.

- Ach tak... - Marianna zamyśla się. Szybko analizuje słowa przyjaciółki. Dotąd nigdy nie uczestniczyły w tym corocznym hucznym wydarzeniu. Stefan uważał, że są jeszcze dziećmi i nie pasują do grona jego starszych znajomych. Widocznie jednak w tym roku uznał je za wystarczająco dorosłe.

- Będzie kilkanaście osób. Jego przyjaciele ze studiów, z Warszawy, kilka osób z Wyszkowa i z okolicy. - Zamyśla się, wyliczając kolejnych gości. - No i Zenek z panem Jasieńskim.

Przez twarz Marianny przemyka niedostrzegalny niemal skurcz. Uśmiech spełza jej z twarzy.

- Przyjdiesz, Marie, prawda? Będziemy tam najmłodsze. Nie za dobrze znam tych ludzi. Sama czułabym się niezręcznie.

- Tak... Naturalnie. Przekaż Stefanowi, że dziękuję za zaproszenie. Przyjdę na pewno.

- To cudownie. Myślę, że będzie bardzo miło. No i spotkasz swojego pana Zygmunta. - Krysia bezrefleksyjnie wyrzuca słowa. Nie zauważa nagłej powagi na twarzy przyjaciółki. - Dawno się nie widzieliście, prawda?

Zapada milczenie. Marianna przygląda się swoim paznokciom, jakby ich stan był dla niej teraz najważniejszą rzeczą na świecie.

- Widziałaś się z nim. - Krystyna bardziej to stwierdza, niż pyta. - Widziałaś i zrobiłaś coś... Coś niewłaściwego. Prawda?

- Nie! Nie zrobiłam niczego z tych rzeczy, o których myślisz. Poza tym... Co to za pytania? To moja sprawa.

- Marie - jej głos brzmi łagodnie, niemal błagalnie - ja się tylko niepokoję. Po tym, co mi wtedy powiedziałaś...

- A cóż ja ci takiego powiedziałam? Że go pragnę, że straciłam głowę. Czy uważasz, że jest w tym coś dziwnego?

- Marie... Nie denerwuj się.

- Ale możesz być spokojna. Nic się nie stało. Znowu nic się nie stało. Jednak to się zmieni. Już wiem, że nie jestem mu obojętna, że on też mnie... że czuje to samo. Muszę mu tylko udowodnić, że nie jestem już dzieckiem, że jestem warta jego uczuć. I czy Zygmunt tego chce, czy nie, będzie mój. Muszę tylko poczekać.

- Znowu mnie przerażasz. Ty nie jesteś zakochana. Nie tak, jak wszyscy. Oszalałaś. To, o czym mówisz, przypomina mi bardziej jakąś walkę. Nie wiem o co... O dominację?

Marianna oddycha ciężko. Uspokaja się.

- Jeśli nie rozumiesz, o czym mówię, to znaczy, że nigdy nie kochałaś.

Siedzą blisko, ale są teraz bardzo daleko od siebie. Wzrok Krystyny błądzi gdzieś po odległych wierzchołkach drzew otaczających ogród. Mówi zupełnie spokojnie, jakby wypowiedziane przed chwilą słowa wcale jej nie zabolowały, a tylko zmusiły do przemyśleń:

- Może każdy kocha inaczej, Marie?

- Może... I na pewno to, co czujesz do Zenka, jest piękne, szlachetne, ale ja tak nie potrafię. Zygmunt nie jest mężczyzną, którego można by kochać w taki sposób. - Spuszcza głowę. - A może to ja nie potrafię go kochać inaczej?

Krystyna przygląda się ze smutkiem tej młodej kobiecie i wydaje jej się, jakby to był ktoś zupełnie obcy - jakby dopiero się poznały. I nagle odkrywa w przyjaciółce coś, czego dotąd nie dostrzegała. Marianna w tym swoim oszołomieniu wcale nie jest zła, ona jest kompletnie zagubiona. Wierna przyjaciółka podnosi się z otomany i klęka przy fotelu. Obejmuje opuszczoną głowę i głaszcze po włosach.

- Czasami mówisz i zachowujesz się jak mężczyzna.

- Bo chciałabym być mężczyzną. Bycie kobietą jest takie trudne...

Krysia słucha z uwagą. Delikatnie gładzi jasne włosy przyjaciółki.

- Nie ma nic złego w byciu kobietą... Marianna podnosi głowę. Patrzą sobie w oczy.

- Tak sądzisz? Mogłabyś to samo powiedzieć pani Długoleckiej?

- Skąd wiesz?

- Byłam tam wtedy, u ciebie pod domem. Rozmawiałam z Władkiem.

Przez długą chwilę milczą obie.

- Nie wszyscy mężczyźni tacy są... - zaczyna Krysia.

- Może. Ale prawo zawsze stoi po ich stronie. Kobieta...
Gdybym mogła ci powiedzieć.

- O czym?

- Obiecałam Gabrieli, twojemu ojcu... Więc nie mogę. Ale uwierz mi - kobieta zawsze przegrywa w starciu z mężczyzną. I każdy z nich jest taki sam. Zygmunt, pewnie nawet mój ojciec. Nawet twój Zenek. Oni wszyscy...

Pan Aleksander cieszy się, że przygnębiona ostatnio córka trochę się rozerwie. Na imieninach u Stefana na pewno znajdzie się wielu ciekawych młodych ludzi. A Borucki uważa prostodusznie, że to właśnie brak towarzystwa tak negatywnie wpływa ostatnio na jego dziecko. Po prostu młodość musi się wyszumieć. A gdzie tu na to miejsce? W Kamieńczyku? W jego poczuciu Marianna to wyjątkowa dziewczyna. Pełna temperamentu, życia i energii, której pomiędzy rozległymi mazowieckimi polami, lasami - na tej sennej wsi - nie ma gdzie spożytkować. A może ta melancholia to efekt dojrzewania? Tak czy owak odrobina zabawy nie zaszkodzi. No i on też ma dla córki niespodziankę.

W połowie tygodnia, gdy cała rodzina siedzi przy śniadaniu, ojciec od niechcienia rzuca do gospodyni:

- No, Gabrysiu, musisz dzisiaj przygotować wystawniejszą kolację. Rano dostałem depeszę. Będziemy mieli gości.

Przez twarz kobiety przemyka cień.

- Konstanty wrócił z Francji i zamierza nas odwiedzić.

- Stryj przyjedzie sam czy z ciocią Małgorzatą? -
Marianna się ożywia i uśmiecha szeroko.

- Napisał, że ciocię zmęczyła podróż, więc jak sądzę przyjedzie sam.

Stryj Konstanty - szalenie przystojny i pociągający, a do tego niezwykle inteligentny i zabawny. Jest najbardziej lubianym przez Mariannę członkiem ich szacownej rodziny. Cioteczny brat jej ojca jest bowiem człowiekiem bezpośrednim, nieskrępowanym formami, o postępowych poglądach. A do tego czarującym lekkoduchem. I jak twierdzi babka Leokadia, wnuczka charakter odziedziczyła nie po własnym, spokojnym ojcu czy równie łagodnej matce, ale właśnie po jej niepokornym siostrzeńcu.

Kostek, mimo statecznego wieku bardzo długo pozostawał kawalerem - i bez wątpienia korzystał w tym czasie z uroków życia - a ślub wziął z rozsądku. Choć może przede wszystkim za sprawą nalegań rodziny. Niemniej był już wtedy mężczyzną dojrzałym i ożenił się z kobietą tyleż niewymagającą, co nudną.

Stryjenka Małgorzata jest cicha i nieznośnie rozsądna. Zarówno fizycznie, jak i mentalnie jest całkowitym przeciwieństwem męża. Z racji dojrzałego wieku nie mają też dzieci - co jest zresztą Kostusiowi na rękę, gdyż w żaden sposób nie musi rezygnować ze swoich starych, kawalerskich przyzwyczajień. Żona z kolei zadowala się wygodnym dostatnim życiem, wiodąc je cicho i spokojnie w cieniu męża.

Marianna nie zna zbyt dobrze szczegółów dosyć rozwiązłego życia Konstantego, ale z urywanych zdań dorosłych dowiaduje się, że stryj w młodych latach, niesiony jakimś szalonym uczuciem do pewnej panny o wątpliwej reputacji - zdezerterował z armii. Miłość, jak wiele kolejnych w jego życiu, szybko się skończyła i tylko rodzinne koneksje sprawiły, że młodemu wówczas mężczyźnie udało się uniknąć kary za ową wojskową niesubordynację.

Ale życiorys Konstantego jest znacznie bogatszy w podobne historie, choć oczywiście wiedzę na ich temat Marianna zdobywa przypadkiem - i nigdy z ust bliskich. Jedną z takich rodzinnych tajemnic odkrywa podczas swojego pobytu w Wyszku. Córka gospodyni, u której Borucki wynajmował dla córki stancję na czas nauki, opowiedziała jej podczas pewnej luźnej rozmowy ciekawą historyjkę. Mówiła bez skrępowania, nie kojarząc Marianny z jej stryjem - nosząc przecież inne nazwiska. I takim sposobem dziewczyna dowiedziała się, że jej krewniak miał swego czasu proces. W sprawie o zabójstwo. Jak zwykle w przypadku niepokornego Kostusia poszło o kobietę.

Historia miała miejsce w jednym z podwyszukowskich majątków, pewnej mroźnej zimy lat dwudziestych. Niejaki Poręcki, mąż wyjątkowo urodziwej - a wśród sąsiadów uważanej również za niezwykle prawą - damy, zmuszony do wyjazdu służbowego, pozostawił ukochaną żonę samą. Nie wiedział jednak, że szczęście małżeńskie od pewnego czasu nie jest jego udziałem, a jedynie pobożnym życzeniem. Rzeczywistość okazała się zgoła inna, bo w nudnym życiu pani Poręckiej pojawił się „ten trzeci”. Mąż przebywał poza domem, gdy tymczasem kochanek - którym okazał się pan Konstanty - chcąc zapewnić swojej nowej miłości odrobinę rozrywki, postanowił zabrać ją na najnowsze przedstawienie w stołecznym „Qui Pro Quo”. Tam, w podziemiach Galerii Luksemburga - będąc incognito - nieskrępowani niepożądanymi spojrzeniami sąsiadów czy znajomych, będą mieli szansę na udany wieczór. I w oparach dekadencji poobcują z warszawską socjetą, zobaczą na żywo gwiazdę estrady - Jarosego oraz skosztują najlepszego kawioru spokojnie popijanego szampanem.

Dżentelmen przyjechał po damę wczesnym wieczorem i - znając zwyczaje kobiet - spokojnie oczekiwał, aż ta dokona

ostatnich poprawek makijażu i garderoby. Jednak to, co się wydarzyło później, skłania do przypuszczeń, że zamiast pozwolić kochance włożyć odpowiednią suknię, Konstanty bardziej się zajął jej zdejmowaniem. Faktem pozostaje, że Poręcki wrócił do domu wcześniej, niż się go spodziewano, i złapał kochanków in flagranti.

Nie wiadomo, kto pierwszy sięgnął po broń. Niemniej lepiej by było dla pana domu, gdyby w delegacji pozostał choć kilka godzin dłużej.

Kiedy na miejsce przyjechała policja - zawiadomiona zresztą przez samego Kostusia - ten od razu przyznał się do zastrzelenia męża swej przyjaciółki. Tymczasem biedną kobietę - której plany na romantyczny wieczór spełzały na niczym - wezwany na miejsce lekarz odwiózł w spazmach do szpitala dla nerwowo chorych.

Jednak odciski palców pobrane z rewolweru wskazywały jednoznacznie: broń w dłoniach trzymał wyłącznie denat - on był zresztą jego właścicielem - oraz niewierna żona, która w stanie nieprzerwanego szoku pozostaje w zamkniętym ośrodku. Sąd, po zapoznaniu się z dowodami i wysłuchaniu zeznań jedyne go świadka, pozostającego przy zdrowych zmysłach - czyli stryja - wydał wyrok. I stwierdził bez wątpliwości, że Poręcki poniósł śmierć z ręki wiarołomnej żony w wyniku strzału, który padł nieszczęśliwie podczas szamotaniny. I choć ogólnie szanowany obywatel ziemski, pan Konstanty - jako człowiek honoru - próbując ratować przed więzieniem obląkaną, post factum, całą winę postanowił wziąć na siebie, to wysoki sąd wiary w nią nie dał. Ale oczywiście docenia i szanuje ów szlachetny gest.

I być może, rzeczywiście, zbrodni dokonała zdesperowana kobieta, ale śledczym umknął w całej sprawie jeden dość istotny szczegół. Pan Konstanty wybierał się przecież do kabaretu literackiego i miejsca niezwykle wytwornego. A czy

można u dżentelmena mówić o prawdziwej elegancji, jeśli do fraka nie włoży białych rękawiczek?

Na początku w Mariannie rodzi się dla nowo poznanej prawdy sprzeciw, później zrozumienie, na końcu - akceptacja. Z wiekiem dochodzi do wniosku, że pełne rozrywek życie Konstantego nie zasługuje na potępienie, bo tylko w taki sposób można je przeżyć ciekawie. A czy ona sama nie chciałaby go wieść podobnie? Dlatego nigdy nikomu nie wspomina, że zna tę historię. Zarówno babka, jak i ojciec nigdy by się głośno nie przyznali, że to istotnie ich krewniak był głównym bohaterem podobnego skandalu. Na takie sprawy nie ma miejsca w szacownym katolickim domu. A że stryj jest całkowitą antytezą zasad, jakim hołduje się w kamienieckim dworze, więc na pewno próbowaliby jego postępowanie napiętnować. Tymczasem Konstanty zdążył już w jej oczach urosnąć do rangi bohatera.

Wyjątkowa atencja, jaką obdarza tego mężczyznę, nie jest nieodwzajemniona. Stryj również uwielbia Mariannę, czując, że w tej młodej dziewczynie więcej jest pierwiastków jego własnego charakteru niż tak hołubionego w ich rodzinie rozsądku i spokoju. Jest wnikliwym obserwatorem. I przecież dobrze zna płęć piękną. Więc już teraz - mimo że Marianna dopiero rozkwita - dostrzega, że wyrośnie z niej kobieta nietuzinkowa. Wolna i niezależna. I nawet wiele lat odpowiedniego wychowania nie zdusi w niej pragnienia do życia pełną piersią.

Zawsze podczas swoich wizyt w majątku z zagadkowym uśmiechem obserwuje stosunek Aleksandra do córki. Ten ciepły człowiek zdaje się nie dostrzegać diamentu, który z każdym rokiem otrzymuje kolejny szlif. Nie widzi, że pod jego dachem wyrosła młoda kobieta, która swoim intelektem i otwartością na świat przerosła wszystkich mieszkańców. Ale Konstanty już wie, że Marie w przyszłości zdobędzie

wszystko, czego zapragnie... I zapewne tym samym postawi między sobą a ojcem mur, za który ona już nigdy nie zechce wrócić, a którego Aleksander nigdy nie zdoła przekroczyć.

Wiadomość o dostaniu się na studia przez Mariannę Konstanty otrzymuje, będąc jeszcze na Riwierze. A więc tej małej się udało - myśli z satysfakcją, wysyłając do Polski liścik z gratulacjami. Ta dziewczyna przechytry wszystkich. Wedrze się w studenckiej czapce, uniwersyteckimi drzwiami do świata, o którym marzy. Już nie wróci do dworu i nie urodzi gromady dzieci. Jego krew...

Jako osoba postępową i jedyną w rodzinie Konstanty jeździ czarnym autem marki Mercedes Benz, modelem 540K. Ze składanym brezentowym dachem i szaloną, czerwoną tapicerką. Zanim Marianna zdoła usłyszeć przez otwarte okna swojego pokoju ryczące dźwięki silnika, najpierw zauważa wznoszące się daleko nad drogą, ponad linią ostatnich nieskoszonych jeszcze kłosów, tumany kurzu. Pył wyrywa się spod opon pędzącego auta, prowadzonego przez kierowcę z ułańską fantazją. Wysokie trawy kłaniają się głęboko, na powitanie, porwane szybkim podmuchem. Słońce odbija się w czarnej karoserii.

Twarz dziewczyny rozjaśnia uśmiech i pędem rzuca się do drzwi wejściowych, gdzie chwilę później, wykonując kółko honorowe, stryj okrąży wypielegnowany przez Gabriele klomb, by zatrzymać się tuż przed schodami.

Wysiada z samochodu. Wygląda na wypoczętego i wydaje się, jakby odmłodził od ostatniego razu, kiedy go widziała. Może to z powodu opalenizny przywiezionej z Francji, a może ubyło mu kilka kilogramów, nadając sylwetce sportowego charakteru? W blond włosach iskrzą się pojedyncze srebrne nitki, które odcinając się od smagniętego słońcem czoła, wydają się jeszcze jaśniejsze niż zazwyczaj. Konstanty zawsze był przystojny, ale dodatkowo należy do tej wybranej grupy

mężczyzn, którym wiek nie odbiera urody, a nadaje dodatkowego uroku.

Stryj zatrzaskuje lekko drzwiczki, obchodzi szybko auto i bez wstępów podnosi dziewczynę, by ją mocno ucałować w oba policzki. Uśmiechają się do siebie jak para starych przyjaciół, po czym on stawia ją z powrotem na ziemi i przygląda się, zasłaniając oczy przed słońcem.

- Znowu wypiękniałaś, Marie. Nie widziałem cię zaledwie trzy miesiące... Pożegnałem dziecko w szkolnym mundurku i granatowym bereciku, a witam kobietę.

- Zawstydzasz mnie, stryju. - Śmieje się.

- Zupełnie niepotrzebnie. Zbyt dobrze się znamy, bym nie wiedział, że sama zdajesz sobie sprawę, jak jesteś czarująca. - Przygląda się jej wnikliwie, z rozbawieniem błakającym się po ustach. - A może to nie kwestia dorastania, tylko miłości? Co, mała szelmo?

- Co też, stryжку, opowiadasz.

Mężczyzna oddaje klucze do samochodu Antoniemu - który zwabiony odgłosem silnika nadchodzi od strony zabudowań gospodarskich - i poleca, by przyniósł z maleńkiego bagażnika jego neseser oraz kilka zapakowanych w ozdobny papier pudeł. Sam bierze Mariannę pod rękę i razem przekraczają próg domu.

- Przywiozłem ci z podróży kilka drobiazgów w nagrodę za twoje ostatnie, naukowe dokonania. Co prawda nic ci się z tego na studiach nie przyda, ale na pewno będziesz się ślicznie prezentować.

Dziewczyna z zainteresowaniem patrzy na dźwigane przez Antoniego pakunki, które pan poleca mu zostawić w saloniku. Mężczyzna z rozbawieniem obserwuje jej roziskrzona oczy.

- Ale nic nie dostaniesz, dopóki nie powiesz: kim jest ten łobuz, dla którego tak rozkwitłaś?

Dziewczyna udaje zdziwienie, ale nie odpowiada. Z niezręcznej sytuacji uwalnia ją ojciec, który na odgłosy dochodzące z holu wychodzi ze swego gabinetu i z uśmiechem wita ciotecznego brata.

Panowie wymieniają uściski, po czym idą razem w głąb domu, by gość mógł się również przywitać ze swoją ciotką, Leokadią. Marianna nie ma ochoty im towarzyszyć, więc rozczarowana musi jeszcze poczekać, by porozmawiać z Konstantym swobodnie i poznać zawartość przywiezionych z tak daleka podarunków. A okazja nadarza się dopiero przy kolacji.

Między jednym a drugim pysznym daniem przygotowanym przez Gabriele - która z powodu migreny nie bierze w posiłku udziału — Konstanty obdarowuje rodzinę. Ojciec dostaje kilka butelek prowansalskiego wina, Michał metalowy model Citroena, a zachwycona Marianna piękną suknię w komplecie z twarżowym, letnim kapeluszem i jedwabnymi pantofelkami. Pan Aleksander wszystkie te części garderoby uznaje za stanowczo zbyt drogie, zbyt strojne i zbyt ekstrawaganckie jak dla młodej kobiety. Ale ona jest zachwycona. Problem, w czym pójdzie na imieniny Stefana, właśnie sam się rozwiązał. Na jej usta wypływa rozmarzony uśmiech, gdy myśli, jakie wrażenie zrobi na Zygmuncie w tej bajecznej toalecie.

Po kolacji nadal jest jasno i ciepło, więc w końcu nadarza się okazja, by mogli porozmawiać bez świadków - tak jak to mają w zwyczaju. Stryj proponuje Mariannie przejażdżkę nad rzekę jego sportowym autem, a ona zaproszenie z radością przyjmuje.

Dziewczyna uwielbia szybką jazdę, więc Konstanty nie oszczędza silnika. Mkną po ścieżkach wśród rżyska, poczerwieniałych od promieni zachodzącego słońca, by drogą przez las, a później przez łąki, dotrzeć nad rzekę.

Pozostawiają samochód na skraju drogi - która im bliżej wody, tym bardziej staje się piaszczysta - by dalej już ruszyć piechotą. Kierują się na małą dróżkę ciągnącą się wzdłuż brzegu - wydeptaną przez okolicznych mieszkańców i przyprowadzane na wypas krowy.

Nigdy nie brakuje im tematów, więc i teraz rozmawiają z ożywieniem. O jego podróży po Lazurowym Wybrzeżu, gdzie jak co roku - może powodowany wyrzutami sumienia wobec zaniedbywanej, a ostatnio chorowitej żony - stryj zabiera Małgorzatę. O planach Marianny na najbliższą przyszłość i jej rozczarowaniu związanym z mieszkaniem u ciotki Wery. W końcu o wojnie, która, według dziewczyny, nie ma prawa wybuchnąć, i zamiarach Konstantego, który w razie ataku Niemiec na Polskę - jak twierdzi - nie zamierza uchylać się od służby wojskowej. Nie tym razem...

Dziewczyna żartuje z wojennych planów stryja, który mimo wieku ma wyraźnie ogromną ochotę na wojaczkę, on na to rozbawienie reaguje dziwnym dla niego spokojem. Może nie wierzy, tak jak ta młoda kobieta, że coś się rzeczywiście wydarzy? Ale nie czas o tym rozprawiać w ten ciepły, sierpniowy wieczór i w tak uroczym towarzystwie. Konstanty zmienia temat.

- Więc kim jest ten człowiek?

- Ale o co stryjowi chodzi? - Marianna udaje zdziwienie.

- Już ty, kwiatuszku, wiesz. - Mężczyzna górujący o głowę nad dziewczyną ujmuje ją pod ramię. - Pamiętaj, że ja nie jestem ani twoim nic niewidzącym prócz gospodarstwa ojcem, ani wielce szacowną, ale już całkowicie oderwaną od rzeczywistości Leokadią. Daleko mi też do szlachetności twojej ukochanej Gabrieli. Więc kto to taki? Kolega ze szkoły? - Tu lekko dotyka palcem czubka jej delikatnie opalonego nosa. - A może, ku rozpaczy naszej szacownej

rodziny, twoje serce popełniło niewybaczalny megalomans i zabiło mocniej do jakiegoś wiejskiego chłopaka?

Przystają. Marianna chwilę walczy, by niczego nie dać po sobie poznać. Ale przecież to jej stryj Konstanty. Taki światowy, wyrozumiały. Jemu może powiedzieć...

- Też ma stryj fantazję. Ja i jakiś parobek?

- Więc kim jest ten łotr, który zamierza mi ciebie odebrać? Czy jest jeszcze sens, by dalej zaprzeczać?

- To nikt ze szkoły... - Waha się.

- I tu cię mam, moja droga! Więc jednak jest jakiś „ktoś”.

- Ale to nie tak, jak stryj myśli.

- A co tu myśleć. - Uśmiecha się. - To chyba normalne w twoim wieku, że zaczynasz się oglądać za chłopakami, czyż nie? W końcu krew nie woda. Więc kogo pokochała moja ulubiona bratanica?

- Pokochała...? - Marianna nie przyzna się przed Konstantym do takiej słabości. O nie. - To nie tak. To znaczy... To przecież nie miłość. Tylko widzi stryj, on jest taki... inny. Mądry, inteligentny. Nieznośny... Groźny... Jest w nim coś, co mnie drażni, czego bardzo nie lubię, a z drugiej strony właśnie to podoba mi się w nim najbardziej. Jestem pełna lęku przed każdym z nim spotkaniem. I boję się, gdy go nie widzę... Rozumie stryj?

Konstanty przystaje, puszcza jej dłoń i uważnie się przygląda.

- ...Jest zupełnie inny niż ci chłopcy, którzy robili do mnie słodkie oczy w szkole. On nie jest z tych, co wypisują naiwne wierszyki, liściki. Nie wpatruje się we mnie jak w obrazek. Wie stryj, o czym mówię? Nie prawi mi pustych komplementów, nie opowiada frazesów i tak naprawdę to wcale nie musi się odzywać, bym wiedziała, co chce powiedzieć. No i jest pierwszym mężczyzną, który chyba mnie nie chce, mimo że wie, co do niego czuję...

Czy tylko jej się wydaje, czy w oczach Konstantego dostrzegła zdziwienie. Chyba nie to spodziewał się usłyszeć z jej ust. A przecież nie powiedziała mu wszystkiego.

- Marie - mówi spokojnie - kto to jest?

- Letnik... To znaczy, przyjechał tu z Zenonem. Wie stryj? Z tym siostrzeńcem księdza Piotrowskiego. Z tym, który od lat spędzał tu wakacje. To jego przyjaciel.

Konstanty milczy. Jego spojrzenie zaczyna ją uwierać, ale teraz należy zakończyć temat, gdy już raz został poruszony.

- A najgorsze jest to, że on absolutnie nie powinien mi się podobać. Bo w październiku będę jego studentką.

Miała nadzieję, że stryj się rozpogodzi, odetchnie z ulgą. Może nawet roześmieje. W końcu doktorant prawa to chyba nienajgorsza partia dla Marianny?

- Mam nadzieję, że dotąd nie zrobiłaś żadnego głupstwa - mówi sucho stryj, na co dziewczyna unosi pytająco brew. Dlaczego nie uspokoiła go informacja, kim jest Zygmunt?

- Co innego naiwne zauroczenie jakimś twoim niedojrzałym rówieśnikiem, ale Marie, to przecież dorosły, młody mężczyzna. A wkrótce także twój wykładowca. Czy ty postradałaś rozum? I chcesz mi powiedzieć, że on wie, co do niego czujesz? Powiedziałaś mu?

- Nie musiałam...

Konstanty patrzy na dziewczynę. Z dezaprobatą kręci głową.

- Myślałem, że jesteś rozsądniejsza.

- Ale co ja poradzę, że mnie nie obchodzą jacyś dziecinni chłopcy. Poza tym sam mi, stryju, mówiłeś, że jestem dorosła. Czyż nie?

- Wyglądasz jak dorosła, a to różnica. Przecież ty jeszcze nic kompletnie nie wiesz o życiu. Uwierz, moja droga, ja dobrze znam mężczyzn, i nawet jeśli ten twój będzie dżentelmenem, to zrozum, że jego pragnienia mogą bardzo

wybiegać poza to, co ty, prawie dziecko, możesz mu dać. Lub, co gorsza, rozkocha cię w sobie i odwzajemni twoje uczucia. A to nie powinno się zdarzyć. Wkrótce będziesz jego studentką. I jak wyobrażasz sobie wtedy wasze relacje, Marie?

- Ale, stryju...

- Nie jestem twoim ojcem, by prawić ci kazania. No i też nie prowadziłem zbyt cnotliwego życia, bym miał moralne prawo cię upominać, ale mieszkamy w kraju, gdzie kobiety, a tym bardziej dziewczynki, nie mają prawa wdawać się w takie niebezpieczne związki, to nie Paryż. A i tam kobieta nierówna jest mężczyźnie. Pomyśl o swojej przyszłości.

Jego słowa brzmią tak poważnie, że Marianna spuszcza z zawstydzieniem głowę.

Po chwili wypełnionej ciszą Konstanty mówi spokojnie, jakby chcąc już zamknąć temat:

- Dobrze wiesz, że w każdym domu są brudy, które zamiata się pod dywan, ale nie popełniaj moich błędów.

- Możesz być, stryju, spokojny, przecież mówiłam ci, że on mnie nie chce.

- Będę spokojny dopiero wtedy, gdy ty nie będziesz chciała jego...

Ale oboje już wiedzą, że mu tego nie obieca, więc milczą.

Może, by podnieść dziewczynę na duchu, a może jest mu jej szkoda, chwyta jej rękę i jakby przeganiając złe myśli, dodaje już pogodniej:

- No i po co ta smutna mina? Pomyśl. Będziesz się uczyła na wydziale, gdzie prócz ciebie będzie może z piątka innych kobiet. A z pewnością żadna nie tak ładna jak ty. Wśród tylu wesołych studentów na pewno znajdzie się odpowiedni dla ciebie.

Już znalazłam tego odpowiedniego i z przyzwoleniem całego świata, czy bez, zrobię, co będę chciała.

Nad ich głową, wśród konarów drzewa, roznosi się głuchy dźwięk, którego nie da się pomylić z żadnym innym. Kukułka.

Konstantemu wraca humor.

- No to licz, moja panno, ile ci jeszcze czasu zostało. Przystają. Nadśluchują. Zmarszczki wokół ust stryja się wygładzają. Uśmiech znika. Kukułka milczy.

Stryj bierze Mariannę za rękę i powoli prowadzi w stronę samochodu.

- Nie zajmuj sobie tym głowy. To tylko zabobony.

Tylko rok? A jeśli został mi tylko rok? Koniec życia... Koniec świata? A może jednak będzie wojna...

Do domu wracają w zupełnej ciszy. Każde zatopione we własnych, nie najweselszych rozmyślaniach.

Stryj wyjeżdża już następnego dnia rano, po śniadaniu. Marianna żegna się z nim chłodniej niż zazwyczaj, ale Konstanty obiecuje jej, że wkrótce znowu się zobaczą. Rozstając się z rodziną, po wszystkich uściskach, pocałunkach, zanim wsiada do samochodu, rzuca jeszcze okiem na dziewczynę. Wie, że nie posłucha jego rad - zbyt mocno podobni są do siebie. Uśmiecha się do niej smutno, choć jeszcze nie wie, że widzą się po raz ostatni.

Rozdział X

Zygmunt

Punktualnie o siódmej Antoni podstawia powóz przed wejście. Marianna wygląda przez okno sypialni, zabiera z oparcia fotela jasny długi szal - na wypadek gdyby wieczorem zrobiło się nieco chłodniej - i wybiega na korytarz. Z pokoju ojca dochodzą dźwięki odtwarzanej z gramofonu arii, dziewczyna otwiera szerzej drzwi, wchodzi, by się pożegnać przed wyjściem.

Pan Aleksander patrzy na córkę ze zdziwieniem, jakby nie mogąc w tej pięknej kobiecie odnaleźć własnego dziecka.

- Marie...?! - mówi z zachwytem. - Włożyłaś tę suknię od Kostka. Nie uważasz, że zbyt strojna?

- A to tatko uważa, że imieniny pierworodnego syna najlepszego lekarza w okolicy to nie wystarczająco dobra okazja? - Dziewczyna się śmieje. Podbiega do ojca i zarzuca mu ręce na szyję.

- Oj, ty mała kokietko. Wiesz, jak mnie okręcić sobie wokół palca.

Marianna odsuwa się od ojca i rozpromieniona robi teatralny obrót. - I jak?

- Zaniemówią na twój widok. Gdzie się podziała moja mała dziewczynka?

- Zjadłam ją na śniadanie. - Całuje ojca ze śmiechem w policzek. - Muszę już iść. Antoni czeka.

Wybiega z pokoju i nie słyszy, jak ojciec jej życzy udanej zabawy.

W progu wpada jeszcze na Gabrysię, która niesie w dużym koszu jakieś suszone zioła. Kobieta mierzy wzrokiem radosną dziewczynę od stóp do głów i kręci głową.

- Sukienka nieobyczajna... Obcisła. Jak z kabaretu... I kto to widział taki dekolt? A makijaż - za mocny...

- Ale jak wyglądam? - Wyjmuje z dłoni Gabrysi kosz i łapie za spracowane ręce. Czeką na odpowiedź jak na wyrok. Zdanie Gabrieli nadal się dla niej liczy.

- Nie powinnam ci tego mówić... I tak już masz przewracane w głowie. Ale wyglądasz pięknie. Choć ten makijaż...

I w oczach kobiety Marianna dostrzega podziw, a może również jakąś dziwną, niemal matczyną miękkość. Czy Gabriela już zaakceptowała, że jej wychowanka dorosła?

Ale teraz dziewczyna nie ma czasu, by się nad tym zastanawiać. Całuje zaskoczoną kobietę w policzek i zbiega po schodach wprost do czekającego powozu. Dzisiejszy wieczór należy do niej.

- Do Wieruszewskich, kochany Antoni.

Kochany Antoni - na tę nagłą poufałość - otwiera szeroko ze zdziwienia oczy. Ale nic nie mówi, tylko uderza lejcami w grzbiet konia. Ruszają.

Jak co roku imieniny ukochanego syna Wieruszewskich - od czasu gdy osiągnął dorosłość - obchodzone są z pompą. Stefan zaprasza wszystkich znajomych, a stoły uginają się od smakołyków przygotowanych przez kucharkę doktorostwa. Zwyczajowo przyjęcie zaczyna się od sutej kolacji, w towarzystwie rodziców, a później młodzi - już sami - przechodzą do salonu, gdzie meble poodsuwane pod ściany dają miejsce, by przy muzyce z gramofonu tańczyć do późna w nocy.

Marianna zaproszona jest po raz pierwszy, a to oznacza, że właśnie dostała przepustkę do świata dorosłych. Cieszy ją jednak nie tylko sposobność do zabawy, ale przede wszystkim możliwość zobaczenia się z Zygmuntem. Próbuje zatrzeć w pamięci obraz ich ostatniego spotkania i gorzkich słów, które wtedy padły. Wierzy, że emocje już nieco w nim okrzepły i teraz, kiedy ujrzy ją tak piękną, w tej długiej bladuróżowej

sukni podarowanej przez stryja, mężczyzna zrozumie swój błąd. Zrozumie i go naprawi. Bo dziewczyna ma już wszystko obmyślane. I dziś zamierza jemu i sobie udowodnić, że wcale nie jest dzieckiem. I że kobiety też mają prawo do wolności. Jeśli Zygmunt myślał, że gra między nimi jest skończona, to się grubo myli.

Antoni zostawia panienkę przed wejściem do domu lekarza i zawraca powóz, gdy tymczasem Marie, unosząc rąbek sukni - by jej nie zakurzyć na zwirowanej alejce - podchodzi do drzwi wejściowych. Nie musi nawet pukać, bo gdy się zbliża, ktoś z drugiej strony łapie za klamkę i w wejściu staje solenizant. Dziewczyna uśmiecha się szeroko, widząc zdziwienie i zachwyt w jego oczach. Składa mu życzenia, w dłoń wkłada prezent - kupioną na tę okoliczność w Wyszkanie przez pana Aleksandra ciekawą książkę o tematyce rolnej. Stefan dziękuje za upominek i zaprasza ją na pokoje. Z głębi domu dochodzą już głosy licznych gości, ale zanim Marianna wejdzie do jadalni, w holu zjawia się rozemocjonowana Krysia. Obejmuje przyjaciółkę, całują się serdecznie, zapominając o ostatnich, dość przykrych rozmowach. Nawzajem oceniają wieczorowe toalety - pierwsze w życiu - i obdarzają się komplementami.

- Wszyscy już są, czekamy tylko na tatę. Został nagle wezwany do pacjenta. - Ścisza głos. Przez moment widocznie się waha, czy powiedzieć Mariannie prawdę, ale najwyraźniej dochodzi do wniosku, że dość już było między nimi ostatnio niedomówień, bo szepcze jej do ucha: - Chodzi o ojca Władka. Nie wiem, co tam się stało. Ale przed godziną ktoś przybiegł po ojca. Podobno ten człowiek umiera.

Marianna patrzy w oczy przyjaciółki z zainteresowaniem. Przypomina sobie słowa, które niedawno padły przed domem Wieruszewskich. Czy Władek zrobił coś złego ojcu? Czy w ich domu wybuchła kolejna awantura i...

- A co się stało?

- Prawdopodobnie wylew. Ojciec Władysława ostatnio okropnie pił. Może to dlatego?

Marianna oddycha z ulgą. A więc chłopak niczemu nie jest winien. Kara za grzechy przyszła z innej strony. Kara boska? A może Bóg, który dotąd umywał ręce, i teraz nie miał z tą sprawą nic wspólnego? Ot, biologia.

- Podobno stary Długołęcki upadł nagle, na podwórku i już się nie podniósł - cicho kontynuuje Krysia. - Ten człowiek, który do nas przybiegł, mówił, że jest nieprzytomny, ale strasznie jęczy. Chyba cierpi. Myślę, że tatko nic już tam nie wskóra.

Tak by było dla wszystkich najlepiej - Marianna nie znajduje dla niego litości, ale na głos mówi:

- Pewnie się z tego wylize. Tacy jak on zawsze żyją zbyt długo. Krystyna nic nie mówi na tę gorzką uwagę. Ona wierzy w Boga. Uważa, że każdy człowiek zasługuje na litość. No, ale może to Marianna ma rację - dziewczyna przypomina sobie krew sączącą się z kącika ust matki Władka, opuchnięte powieki, przecięty łuk brwiowy... Tak, Marianna ma chyba rację. Biedny Władek...

Dziewczęta idą w stronę uchylonych drzwi, zza których dochodzi szmer rozmów i śmiechy. Marianna otrząsa się z zamyślenia, próbuje przywrócić pogodny wyraz na twarz. Co ją teraz obchodzi jakiś tam Władek - już sprawiedliwości stało się zadość. Teraz nie czas o tym myśleć. Dziś jest ten dzień. Jej dzień. Dziś Zygmunt już nie będzie taki hardy - niech tylko ją zobaczy.

Przyjaciółki przekraczają próg pokoju wypełnionego po brzegi młodymi ludźmi. Na środku stoi olbrzymi stół nakryty już do kolacji. Wokół niego kręci się pani Wieruszewska - ze sztucznym, przyklejonym do ust uśmiechem - wydając dyspozycje służącej co do odpowiedniego rozstawienia

półmisków. W lichtarzach płoną świece ustawione pomiędzy wazonami pełnymi wonnych kwiatów. Dookoła, zebrani w większe i mniejsze grupki, tłoczą się goście, wesóło rozmawiając. Popijają aperitif. Wśród znajomych lawiruje Stefan, zamieniając kilka słów to z tym, to z owym. Zauważa wchodzące dziewczęta i głośno, tak aby wszyscy usłyszeli, mówi:

- Pozwólcie państwo, że wam przedstawię... Moją siostrę Krystynę już widzieliście...

Wśród zebranych słychać szmer. Marianna przeciąga wzrokiem po ludziach patrzących w jej stronę. Chwyta kilka zaciekawionych męskich spojrzeń. Wie, że to nie Krysia wzbudza zainteresowanie.

- ...a ta młoda, piękna dama, to nasza sąsiadka i przyjaciółka mojej siostry - panna Marianna Borucka.

Dziewczyna kłania się lekko wszystkim gościom. Spod spuszczonej rzesz rzuca ukradkowe spojrzenia, szukając tych jednych, jedynych oczu. Dostrzega je w odległym kącie. I widzi to, czego oczekiwała. Zdumienie i zachwyt. Zygmunt wpatruje się w nią tak intensywnie, że dziewczyna na ułamek sekundy zapomina, gdzie się znajduje. I czuje tylko czyjeś ręce ściskające jej dłoń, gdy tymczasem Stefan prowadzi ją między tłumem gości, dokonując osobistej prezentacji. Ale ona nie słyszy ich imion i nazwisk, nie zapamiętuje, kto jest kim i jakie więzy łączą tych ludzi z rozpromienionym Stefanem. Młode kobiety uśmiechają się do nowo poznanej przyjaźnie, choć może z odrobiną skrzętnie tajonej zazdrości, widząc jej zjawiskową, jedwabną suknię, która mocno przylega do szczupłego ciała. A mężczyźni nawet nie próbują ukrywać, jak bardzo im się podoba. Podaną przez Mariannę dłoń całują dłużej i z większą estymą, niżby tego wymagały formy.

Dziewczyna wraz ze swoim przewodnikiem posuwa się w głąb pokoju, aż do miejsca, gdzie wyrastają przed nimi dwaj znajomi panowie.

- Państwo już się znacie, więc pozwolę sobie na chwilę was opuścić - mówi Stefan i odchodzi w przeciwny kąt, gdzie pani Wieruszewska zakończyła już przygotowania stołu i z nienaturalną wesołością opowiada coś parze młodych ludzi. Krystyna pozostała przy jednej z grup i rzuca tylko przyjaciółce jedno krótkie, porozumiewawcze spojrzenie. Nie zamierza im przeszkadzać.

Zygmunt wiedzie tymczasem w skupieniu wzrokiem po jej ciele. Zenek z wrodzoną sobie otwartością wypala:

- Wygląda dziś pani bajecznie. Nigdy bym nie przypuszczał, kiedy parę lat temu ganialiśmy razem po polach, że z tamtego dziecka wyrośnie taka piękność.

- Na wsi nietrudno zrobić wrażenie, tu nie ma konkurencji.

- Piękna i skromna? - Śmieje się.

- Przeciwnie, ale jestem realistką. Pewnie takich, jak ja, mają panowie w stolicy na pęczki. Prawda, panie Zygmuncie?

Jasieński, który dotąd milczy, na dźwięk własnego imienia nieco się ożywia, ale dziewczyna odnosi wrażenie, że wcale nie słuchał jej wymiany zdań z Zenonem. Dlatego na pytanie nieznacznie tylko rusza głową, co równie dobrze może oznaczać „tak”, jak i „nie”. Zamiast niego odpowiada przyjaciel:

- Wkrótce będzie pani mogła sama zrewidować to mylne przekonanie.

Ich rozmowę przerywa wejście doktora, który z widocznym przygnębieniem staje w drzwiach, głośno wita wszystkich i przeprosza za spóźnienie. Z trudem próbuje przywrócić uśmiech na usta, ale Marianna już wie, co zaszło -

pacjenta nie dało się uratować. A więc jest jakaś sprawiedliwość na świecie — myśli z satysfakcją.

Tymczasem Wieruszewski widocznie również dochodzi do wniosku, że nie ma za kim ronić łez, bo powoli się rozpogadza - nie zamierza psuć radosnej atmosfery podczas imienin syna. Przez chwilę wymienia jakieś uwagi z najbliższym stojącym gościem, po czym, zwracając się do wszystkich zebranych, zaprasza do stołu.

Ponad talerzami stoją małe kartki wizytowe z imionami gości i każdy zajmuje przypisane mu miejsce. U szczytu stołu zasiada gospodarz, przeciwległy kraniec zajmuje główny bohater wieczoru - Stefan. Doktorowa zasiada na krześle tuż obok męża, reszta biesiadników, naprzemiennie - kobieta, mężczyzna - wzdłuż dłuższych krawędzi stołu.

Marianna swoje nazwisko odnajduje pomiędzy Zenonem i jakimś zupełnie obcym, młodym mężczyzną. Trochę z boku, vis - à - vis, siada Krystyna, obok niej Zygmunt.

Dziewczynie jest trochę smutno i czuje delikatną zazdrość, że w trakcie kolacji to przyjaciółka będzie miała okazję z nim porozmawiać. Tymczasem ona skazana została na towarzystwo Zenka, który z jej bliskiej obecności wydaje się bardzo zadowolony.

Kieliszki zostają napełnione i pan domu wznosi toast za pomyślność syna. Sztuńce się rozdzwaniają, na stole pojawiają się kolejne dania, cały pokój wypełniają głośnie rozmowy. Sąsiad Marianny, na zmianę z Zenonem, co chwilę proponują pannie kolejne przysmaki, podają półmiski, salaterki, dolewają wina, zabawiają rozmową. I pewnie potrafiłaby się cieszyć tą wyjątkową adoracją, gdyby nie para po drugiej stronie stołu, która wyraźnie dobrze się bawi. Wymienia między sobą jakieś wesołe uwagi, nachylając się ku sobie. Im bardziej tamci wydają się zadowoleni ze swojego towarzystwa, tym większą niechęć Marianna czuje do przyjaciółki. Dlaczego Krystyna

tak się do niego uśmiecha? O czym tak rozmawiają? Czy Kryisia nie rozumie, jak bardzo ją rani tą poufałością z Zygmuntem?

Przełyka kolejne kęsy jedzenia, sący alkohol, który powoli zaczyna rozgrzewać jej ciało. Mięśnie się rozluźniają, ruchy stają wolniejsze. Dlaczego miałyby się dziś bawić gorzej niż Kryisia? Jeśli tamta tak bez skrpułów czaruje Zygmunta, czemu Marianna nie miałyby tego samego czynić z Zenonem - tym bardziej że ten wygląda na więcej niż zainteresowanego jej osobą. Zerka na profil siedzącego obok mężczyzny i nagle wraca jej dobry humor - Krystyna dzisiaj też poczuje zazdrość. A Zygmunt... Kto wie, czy nie najlepszą metodą zdobycia jego uczucia jest wywołanie w nim niepewności. Nie jest przecież jedyny na świecie. Niech poczuje, że ona mu się wymyka, że ją traci - wtedy przyjdzie do niej, błagając o choćby jedno czułe słowo. Tak... na pewno tak właśnie się stanie.

Marianna uśmiecha się więc do Zenona zalotnie, patrzy na niego przeciągle. On odwzajemnia ten uśmiech, pyta ją o coś, przekrzywia głowę, patrząc w oczy. Toczą rozmowę tylko między sobą. Przekomarzają się, śmieją. Nieznajomy siedzący po drugiej stronie zaczyna rozumieć, że ta para skupiona jest już wyłącznie na sobie, więc szuka rozmówcy po drugiej stronie stołu. A oni wydają się bawić coraz lepiej, coraz bardziej sobą zajęci.

Upływa godzina i następna. Marianna nawet nie zauważa pomiędzy jednym a drugim toastem, przystawkami, zupą, daniem głównym i deserem, że ta część wieczoru dobiega końca. Stefan zaprasza gości do salonu, gdzie została już włączona muzyka, pan doktor wraz z małżonką żegnają się z młodzieżą. Zenon grzecznie odsuwa krzesło Mariannie, podaje ramię i tylko przez moment spojrzenie dziewczyny gubi się wśród przechodzących do drugiego pokoju gości w

poszukiwaniu tej jedynej interesującej ją pary. Dostrzega ich przy wyjściu do holu, rozmawiających z rodzicami Krystyny. Wieruszewscy uśmiechają się do Zygmunta. Pani doktorowa z wyraźnym rumieńcem podaje mu dłoń, do której on nachyla się z szacunkiem. Później pan Adam ściska jego ramię. Gospodarze wychodzą, a młody człowiek prowadzi Krystynę w tłum zebranych w salonie gości, nawet nie szukając Marianny wzrokiem.

Ta obojętność z jego strony niemal fizycznie ją boli. Przymyka oczy - czuje ramię tego drugiego - i wyobraża sobie, że to inna ręka ją prowadzi, że to ciepło innego ciała czuje na swoim biodrze. Przez głowę przelatują obrazy. Znowu stoi z tamtym nad rzeką. Znowu pragnie go do utraty tchu. Jego ręce gorączkowo błądzą po jej twarzy ramionach, piersiach...

- Napije się pani ponczu? - pyta Zenon, a ona, jak za dotknięciem różdżki złośliwej czarodziejki, znajduje się znowu w eleganckim salonie Wieruszewskich.

- Pani Marianno. - Chłopak patrzy na nią roześmianymi oczami.

- Tak...?

- Pytałem, czy napije się pani ponczu. Nieprzytomny wyraz rozmarzenia znika z jej twarzy.

- Tak, bardzo proszę.

Zenek przeprosza ją i odchodzi w stronę zastawionego jedzeniem stołu w kącie pokoju i nagle przed dziewczyną staje uśmiechnięta Krystyna. Obejmuje ją poufale - jakby nic się nie stało, jakby nie flirtowała przez całą kolację z Zygmuntem.

- I jak się bawisz?

- Wybornie - mówi z przekąsem, ukrywając go jednak pod naturalnym tonem głosu. - Gdzie się podział twój towarzysz?

- Towarzysz? Aa... Pan Jasiński rozmawia z Janem Kępińskim, kolegą Stefana jeszcze ze studiów. Ale już go przecież poznałaś. - Marianna widocznie nadal nie kojarzy tego mężczyzny, więc Kryśia dodaje z uśmiechem: - To ten, koło którego siedziałaś podczas kolacji.

- Ach tak, rzeczywiście...

- Marie, jesteś zupełnie nieobecna.

- Ależ skąd, po prostu poznałam tylu nowych ludzi, że jeszcze nie zapamiętałam wszystkich nazwisk.

Na środku salonu Stefan zaczyna tańczyć z pewną ładną, jasnowłosą kobietą, dołączają do nich kolejne trzy pary. Dziewczęta odsuwają się na bok, robiąc miejsce tańczącym.

- Chyba miło ci się rozmawiało z Zenonem? Wyglądaliście, jakbyście świetnie się rozumieli.

- To miły i zabawny człowiek... Ale tobie chyba też się nie nudziło z Jasińskim?

- Och, on jest niezwykle zajmujący, choć trzeba przyznać, nieco specyficzny.

- Czemu tak sądzisz?

- Większość rozmowy sprowadzała się do uszczypliwych uwag na temat Zenka. Co prawda bardzo wesołych, ale... - Zamyśla się na moment. - Czasami mówił o nim tak, jakby wcale nie byli przyjaciółmi. Aż mnie te uwagi chwilami dotykały.

Marianna uśmiecha się na te słowa. Ona rozumie, skąd się bierze ta nagła niechęć Zygmunta do kolegi. Ale cóż. Sam tego chciał. Nikt nie ma prawa jej ignorować.

Rozmowę kobiet przerywa Zenek niosący w dłoni szklaneczkę wypełnioną ponczem.

- Może pani, pani Krystyno, też się napije?

- Nie, dziękuje panu. - Spuszcza wstydliwie wzrok.

- Proszę Krysi nie namawiać, ona ma słabą głowę. - Marie...

- Może niech lepiej zaproponuje jej pan taniec.

Zapada chwila pełna konsternacji. Krystyna jest wyraźnie zawstydzona, Zenon wygląda, jakby się wahał i wcale nie miał chęci opuszczać swojej dotychczasowej partnerki.

- Jeśli nie ma pan ochoty... - przyjaciółka zaczyna niepewnie.

- Ależ nie! Skąd. Z największą przyjemnością.

Delikatnie ujmując podaną mu dłoń i oglądając się za siebie - jakby chciał sprawdzić, czy nie urazi Marianny, zostawiając ją samą - prowadzi skrepowaną dziewczynę na środek pokoju, gdzie w takt melancholijnego: Całuję twoją dłoń madame (Piosenka: Całuję twoją dłoń, madame, słowa: Andrzej Włast.) wyśpiewywanego przez Aleksandra Żabczyńskiego kołyszą się już inni. To będzie dla panny Wieruszewskiej pierwszy w życiu taniec z mężczyzną, który nie jest ani jej ojcem, ani bratem i zapewne zapamięta go na długo.

Marie zostaje sama. Przygląda się tańczącym, ale jej myśli krążą gdzie indziej. Czy właśnie teraz Zygmunt nie powinien do niej podejść? Przecież nic nie stoi mu na przeszkodzie. A ona tu czeka tylko na niego. I czy on nie słyszy, jak Marianna go do siebie przyzywa? Czemu stoi z tym nudnym Janem? Cóż tamten ma ciekawszego do powiedzenia Jasińskiemu niż Marianna?

Do pozostawionej dziewczyny nie podchodzi jednak ten, na kogo czeka, a jakieś dwie młode kobiety, najwyraźniej także pozostawione same sobie przez partnerów, którzy wyszli na taras, by zapalić.

Ich imion Marianna również nie pamięta, dlatego na pytania odpowiada zdawkowo, choć stara się być uprzejma. Udaje zainteresowanie konwersacją, wodząc niemal niedostrzegalnie wzrokiem pomiędzy zatopionym w dyskusji Zygmuntem a tańczącą nieopodal parą, która porusza się miarowo do trzeciej z rzędu piosenki.

Tymczasem obie kobiety trajkoczą jedna przez drugą - o jakiejś nowej modystce w Warszawie, o najlepszym salonie kapeluszy - próbując w swoje puste dywagacje włączyć także Mariannę. Z odsieczą przychodzi jej dopiero pewien niezbyt przystojny młody człowiek, który dotąd - wraz z innymi - palił na dworze.

Zatańczyłaby teraz choćby i z samym diabłem, byle tylko nie słuchać tych dwóch pustych kobiet, więc z przyjemnością chwyta podane ramię.

Ze swoim partnerem niewiele rozmawia - dyskusja jakoś im się nie klei - a później do tańca proszą ją kolejni i następni. Powoli traci rachubę, jak długo już pozostaje na parkiecie. Pokój kręci się dookoła zbyt szybko, by mogła odnaleźć wzrokiem Zygmunta. Ledwie udaje jej się na moment wyrwać z kolejnych ramion, by się napić, gdy znowu ktoś ją porywa. Tym razem to Stefan, a jemu przecież nie może odmówić. I dopiero teraz - bo akurat z gramofonu płyną wolniejsze dźwięki: Me kochać w taką noc to grzech... (Piosenka: Nie kochać w taką noc to grzech, słowa: Jerzy Jurandot.) udaje jej się wyłuskać postać Jasieńskiego wśród innych par. Tańczy w drugim końcu salonu z Krystyną. Słucha uważnie, co mówi partnerka, uśmiecha się do niej łagodnie.

Dlaczego on tak na nią patrzy, czemu tak głęboko zagląda jej w oczy?

Marianna znowu czuje ukłucie zazdrości, znowu jakieś szaleństwo zatruwa jej głowę i kiedy utwór się kończy, a jej dłoń Stefan przekazuje Zenkowi, głucha rozpacz niemal rozrywa ją od środka. Tymczasem Zygmunt kłania się tancerce i przechodzi do gabinetu obok salonu, którego drzwi otwarto na oścież. W środku znowu ktoś go zaczepia. Znowu zatapia się w rozmowie, oddala się od niej...

Muzyka wypełniająca pokój zwalnia, Zenon przygarnia Mariannę bliżej.

- Chyba nie najlepiej się dziś pani bawi.
- Skąd to podejrzenie? - pyta niedbale.
- Obserwuję panią.
- Chyba nie na mnie powinien się pan koncentrować.
- A to czemu? - Patrzy na nią z uśmiechem, zalotnie.
- Bo w tym salonie na pewno znajduje się osoba, którą pańskie zainteresowanie, bardziej niż mnie, wprowadziłoby w radość.

Zenon patrzy na nią z góry, zagadkowy uśmiech nie schodzi z jego ust.

- Myśli pani o pannie Krystynie?
- Jeśli uważa się pan za wnikliwego obserwatora i tak dobrze rozszyfrowuje mój nastrój, to na pewno zauważył pan też, że Krysia...

- Tak...?

Marianna wzdycha ciężko.

- Proszę nie ciągnąć mnie za język.
- To pani zaczęła ten temat.
- Więc teraz go kończę. - Milknie.

Przez chwilę poruszają się rytmicznie, nie odzywając się do siebie. Piosenka się kończy. Zenon nie wypuszcza Marianny z ramion. Kolejny utwór wypełnia pokój muzyką. Znowu ruszają do tańca.

- Ale ma pani rację. Pani przyjaciółka to bardzo miła osoba. Na pewno wielu z obecnych tu mężczyzn byłoby szczęśliwych, gdyby obdarzyła ich swoim zainteresowaniem.

- A pan? - pyta szybko.
- Myślałem raczej o kimś innym...

Czy to możliwe, by Zenon nic nie czuł do Krysi? Zawsze wydawało się Mariannie, że idealnie by do siebie pasowali, że przyjaciółka obdarzyła uczuciem właściwego człowieka. I że on to wie i je odwzajemnia. Tymczasem...

- O kim pan myślał?

Zenon patrzy Mariannie głęboko w oczy. Iskierki uśmiechu połyskują w zielonym, kocim spojrzeniu.

- Nie domyśla się pani?

Nie odrywając wzroku od twarzy Zenona, przecząco kręci głową.

- Mówi pan o... o panu Zygmuncie?

To niemożliwe! Niemożliwe! Zenon się myli albo drwi z niej. Odkrył jej tajemnicę i po prostu żartuje. Na pewno.

Mężczyzna udaje, że nie widzi nagłego zmieszania Marianny. Trzyma ją stanowczo, nie pozwala się oswobodzić z mocnych objęć.

- A czemu nie? Czy nie piękna byłaby z nich para? Czy nie pasowałiby do siebie?

Marianna próbuje opanować drżący głos.

- Cóż, nie mnie oceniać. Pan przecież zna pana Zygmunta lepiej.

- A tak... Znamy się świetnie. Niemal od urodzenia. Nasi rodzice przyjaźnią się od zawsze. Traktuję Zygmunta jak starszego brata... A on...

- Tak?

- On powinien się związać z kimś łagodnym, spokojnym, z kimś, kto pozwoliłby mu się ustatkować, zapomnieć...

- Zapomnieć?

- Nie powinienem o tym mówić. - Przygląda się reakcji Marianny. Próbuje wybadać, jak bardzo ją zaciekał.

- W takim razie proszę nie...

- ...Pani chyba mogę powiedzieć. I tak po wydziale prawa krążą plotki. Prędzej czy później dowiedziałyby się pani, ale... Może chce się pani czegoś napić? Mnie też zaschło w ustach.

Odchodzą na bok. Stają przy stole, na którym ustawiono kryształowe karafki, wazę z ponczem, patery z owocami i ciastami. Zenon podaje Mariannie kieliszek wina. Piją powoli, przyglądając się tańczącym.

- Zygmunt zdecydował się na tę wakacyjną banicję tu, u mojego wuja, nie bez powodu - zaczyna. - Przez jakiś czas był związany z pewną kobietą. Choć może słowo „związany” nie do końca oddaje charakter tamtej relacji. Można powiedzieć, że uwikłał się w dość niemądry romans.

- Romans? - Marianna zaczyna pić łąpczywiej. Tylko ciepło, jakie spływa na nią wraz z alkoholem, może zatrzeć chłód wywołany przez słowa Zenka. Opróżnia kieliszek. Mężczyzna nalewa jej kolejny.

- Tak, mój rozsądny zazwyczaj przyjaciel dał się omotać niewłaściwej kobiecie. Starszej od niego. I do tego mężatce. Oczywiście jest dorosły, zazwyczaj wie, co robi. Ale tym razem wpadł w spore kłopoty. To nie była przypadkowa znajomość. Poznał ją w domu swojego profesora... I oszalał na jej punkcie.

Marianna z coraz większym zainteresowaniem słucha słów Zenka. Wbija w niego pytające spojrzenie.

- Tak, tak. Dobrze się pani domyśla. Zygmunt wdał się w romans z żoną swojego naukowego mentora. Swojego prawniczego guru. I cóż... Nie udało mu się utrzymać sprawy w tajemnicy. Profesor dowiedział się o zdradzie i o mały włos Zygmunt nie wyleciał z uczelni. Uratował go rektor, który uznał, że sprawy osobiste i zatarg z promotorem nie mogą mieć wpływu na jego karierę naukową. Oczywiście miłość do pani profesorowej nie wytrzymała tej próby. Zerwali w dość niemiły sposób, no i Zygmunt postanowił zniknąć z Warszawy na czas wakacji. Ot i cała historia.

Zenek z uśmiechem opróżnia kieliszek i odstawia go na stół. Odbiera także ten z dłoni Marianny i delikatnie ujmuje jej dłoń.

- Zatańczmy.

Dziewczyna poddaje się bez sprzeciwu i wtapiają się w rozkołysany muzyką zlepek innych par.

- Czy pan Zygmunt kochał tamtą kobietę?

- Myślę, że ich związek miał niewiele wspólnego z uczuciem, o które pani pyta. Zygi oszalał z zupełnie innego powodu, jeśli pani rozumie, co mam na myśli... I dlatego uważam, że teraz powinien mądrzej kierować swoim życiem. Pokochać kogoś. Kogoś, kto by potrafił swoim spokojem, dobrocią, okiełznać mojego przyjaciela. A panna Krystyna...

- Krystyna... - powtarza głucho Marianna.

- Panna Krysia jest właśnie taką osobą. I chyba sam Zygmunt zaczyna rozumieć, że tylko taka kobieta może dać mu szczęście.

Zenon milknie. W Mariannie wszystko krzyczy. Czuje się zdradzona. Oszukana. Nie, wcale nie dotknęła jej opowieść Zenka. Zdawała sobie sprawę, że mężczyzna taki jak Zygmunt musiał mieć w życiu wiele kobiet. Profesorowa... To już przeszłość. Ale teraz. Teraz to ona miała zdobyć jego serce, gdy tymczasem Krystyna... Ta niepozorna Krystyna okazała się największym, najbardziej podstępny wrogiem.

Tańczą z Zenonem coraz szybciej. Alkohol burzy młodą krew - jego słodki smak na ustach usypia w dziewczynie rozsądek. Rozgoryczenie zabija jasność umysłu. Rytm porusza w takt ich ciałami. Coraz bliżej... I bliżej. Marianna czuje męską dłoń obejmującą jej talię. W ułamku sekundy, gdy odwrócona jest w kierunku gabinetu, widzi w świetle lampy kilka osób zgromadzonych wokół Jasińskiego. Mówią o czymś z przejęciem. On skupiony jest na rozmówcach, ale też na moment odwraca głowę w jej kierunku. Nareszcie. Zatapia w jej oczach spojrzenie. Wypełnione pewnością. Na jego twarzy rysuje się cień dziwnego uśmiechu. Rozmawiają bez słów. Marianna jest zwierzyną, on jest łowcą. Jeszcze nie oddał strzału, ale ma pewność. Wie, że ona należy już tylko do niego.

Me bądź taki pewny - to nie twoja ręka trzyma teraz moją dłoń. Adoruj sobie słodką Krystynę, graj dalej zdobywcę, a być może nie dostrzeżesz, że ci się wymykam. Powalcz o mnie. Teraz twój ruch.

Marianna wiruje w tańcu. Salon wiruje wokół. Patrzy w wesołe oczy Zenona, ale widzi tylko tamto przelotne spojrzenie. I przeczucie staje się pewnością - już rozumie, że kobieta jest dla mężczyzny tylko wtedy atrakcyjna, kiedy mu ucieka, wyślizguje się z rąk. Ma ostatnią szansę. Pozwoli się Zygmuntovi gonić. Stanie się nieuchwytnym celem. Niedoścignionym. Upragnionym. Niech szaleje z zazdrości, niech z jego oczu zniknie ta denerwująca pewność. Bo ona nie zamierza być przelotnym epizodem. Nie pozwoli, by Krystyna go omotała, a Marianna pozostała chwilowym, jednorazowym uderzeniem w jego piersi. Jego dusza ma oszaleć...

Ktoś zmienia płytę. Ordonka śpiewa drżącym głosem: Na pierwszy znak, gdy serce drgnie... (Piosenka: Na pierwszy znak, słowa: Julian Tuwim.). Czy Zygmunt wie, co czuje teraz Marianna? Czy jego serce też drgnęło? Jeszcze nie, ale może już wkrótce... Skruszy ten lód. Na razie pewnie myśli, że ma ją w garści - prowincjonalną dziewczynkę zduszoną konwenansami - że ona się obawia. Konsekwencji? Zygmunt wierzy, że to on pociąga za sznurki, a ona jest tylko bezwolną kukielką.

Marianna przytula się mocniej do Zenka. Czuje, jak mężczyźnie wali serce. Intensywnie... Szybko. Gorący oddech drażni skórę jej szyi. Jego dłoń przygarnia ją mocniej. Tak mocno, że Marianna czuje teraz całe jego młode, naprężone ciało.

I znowu widzi tylko tamto spojrzenie spod zmrużonych oczu. Znowu stoją pod kaliną. Znowu coś ją przyciąga do tamtego, a on ponownie z niej kpi.

Marianna szepcze do ucha Zenona:

- Wyjdźmy na chwilę. Zakręciło mi się w głowie. Ten upał...

Przeciskają się między tańczącymi, pomiędzy rozbawionymi grupkami rozmawiających. Wychodzą otwartymi na ogród drzwiami. Zostawiają za sobą słowa piosenki. Muzykę. Otacza ich ciepła noc. Niebo obsypane jest gwiazdami. Sączy się z niego zimne światło księżyca, które jednak nie daje wytchnienia.

Zenon nie wypuszcza jej dłoni z rąk. Idą w głąb ogrodu. Powoli. Bez słów. Każde ukrywające własny cel tego spaceru. Przystają pod starym kasztanowcem. Długie cienie kładą się na zieleni traw, poruszone migotliwą poświatą. Prawie nie słychać tu dźwięków dochodzących z salonu. Zenon patrzy na nią jakoś inaczej, już bez cienia uśmiechu. Raczej z pytaniem. Marianna dostrzega nowy, nieznany błysk w jego dużych, zielonych oczach. Jasny kosmyk włosów spada mu na czoło, kiedy nachyla się nad dziewczyną. Odgarnia go zdecydowanym ruchem. Czeka...

I ona znowu słyszy bicie jego serca. Wsłuchuje się w szybki rytm. W jego urywany oddech - usta Zenka zbliżają się do jej warg. Są takie gorące. Mężczyzna smakuje malinową nalewką i cygarem - dorosłością. Dziewczyna oddaje pocałunek. Delikatny, niegroźny, subtelny. Jego ręce muskają jej twarz, zatapiają się we włosach. Miękki język głaszcze powoli jej usta, wdziera się do środka. Nieproszony, ale oczekiwany. Me kochać w taką noc to grzech...

Teraz i ona oddycha szybciej. W środku drży. Jej nogi robią się miękkie. Jest tak ciepło...

Zenon na chwilę odrywa się od niej. I jest w nim teraz coś dziwnego, groźnego. Nieznanego... Jakaś determinacja... Czemu Marianna dotąd tego nie dostrzegała? Mężczyzna szuka w jej oczach potwierdzenia i chyba je odnajduje.

Znowu bierze ją za rękę. Idą szybko, prawie biegną. Wpadają do altany ukrytej wśród wysokich krzaków jaśminu. Ich mdły zapach drażni nozdrza... Ukrywają się przed chłodnym światłem miesiąca. Mężczyzna zrywa z siebie marynarkę i kładzie na szerokiej ławce. Siada, przyciąga do siebie dziewczynę - ona się nie opiera. Przecież wszystko ma pod kontrolą...

To dla Zygmunta znalazła się tutaj. To jemu udowodni, jak jest dojrzała. Na co ją stać. Już nie będzie mógł powiedzieć, z tym wszystkowiedzącym uśmiechem, że Marianna jest nieświadomym dzieckiem. Że nic nie wie o życiu. Jest tu dla niego i przez nią. Przez Krystynę. Przecież on nie może pragnąć tej nudnej Krysi...

Zenon całuje jej dekolt. Jego usta muskają młode piersi - dłonie są w ciągłym ruchu... Dziewczyna słyszy swój urywany oddech - jej ciało poddaje się pieszczocie. Ale przecież nad wszystkim panuje. Palce mężczyzny wędrują wzdłuż jej nóg, pod sukienką, obejmują uda. Usta wtapiają się w jej usta. Wszystko pod kontrolą...

Przez głowę Marianny przelatują kolejne obrazy. Ciało Zygmunta leżące obok, na kocu. Połyskujące kropelki wody spływają tam, gdzie wzrok nie sięga i wytyczają pewnie swój dalszy bieg między zagłębieniami mięśni. Na skórze. Jego duże dłonie... Długie palce odgarniające z twarzy mokre włosy... Stop - klatka. I następna scena - uśmiech łowcy w cieniu kaliny. I znów nowy obraz - tamten dotyk jego ciała. Zapach skóry i sosnowego lasu. Łapczywy język wchodzący w nią mocniej, władczo, zapamiętałe - tak by chciała zawładnąć jego duszą. Nim całym... Teraz.

Inne ręce, inny język... Jeden wspólny mianownik. To samo pożądanie zalewa jej ciało. A więc do tego nie potrzeba miłości?

Instynktownie wyrywa koszulę ze spodni Zenona. Unosi ją wysoko. Teraz jej ręce, tak jak jego, poznają mapę nieznanego ciała. Twarda pierś zwieńczona maleńkimi sutkami unosi się rytmicznie. W napięciu, w oczekiwaniu. On opuszcza rękawy jej sukienki, zsuwa ramiączka jedwabnej halki, która opada miękko na biodra.

Kręci jej się w głowie. Powinni już przestać. Zabawa musi się zakończyć w tym miejscu.

Zenon opada na nią ciałem. Podpiera się na jednej ręce, druga wędruje coraz wyżej wzdłuż gorących, gładkich ud dziewczyny. Marianna próbuje się wyśliznąć z tego uścisku. Nad niczym już nie panuje. Już przestaje być reżyserem tej sceny. Przedstawienie zaczyna żyć własnym życiem, choć przecież sama dała przyzwolenie na drugi akt. Nagły strach staje się silniejszy niż pożądanie. A Zenon wydaje się nieobecny, jakby jego myśli odpłynęły gdzie indziej. Zielone oczy wydają się niemal czarne. Mężczyzna zapada się w sobie... Szepcze jej do ucha zachrypniętym, obcym głosem słowa, których ona wcale nie chce teraz usłyszeć - nie z tych ust... Że w to upalne lato poczuł, że ją kocha, że wydawała się nie do zdobycia, nieosiągalna, poza jego marzeniami.

A teraz jest taka piękna, tak cudownie dojrzała. I są stworzeni dla siebie, więc pragnie i odda jej wszystko, siebie...

Marianna traci oddech, niezdarnie próbuje się oswobodzić. Wolną ręką stara się przygłodzić podciągniętą suknię. Zakrywa piersi. Ale Zenek jest daleko. Nie słyszy i nie widzi, że dziewczyna mu się wymyka.

A ona czuje to niepoznane tabu - jego członka między nogami - i próbuje się podnieść. Zenek jest cięższy, niż mogło się jej wcześniej wydawać. Przygniata ją ten ciężar niewysłowionego pragnienia. Oczy mężczyzny już jej nie widzą...

- Nie - szepcze, ale wie, że on nie słyszy.

- Nie! - jej krzyk dusi jego pocałunek.

Nagle Zenek odrywa się od niej, staje wyprostowany obok ławki, po czym zgina się pod wymierzonym w twarz ciosem. Upada na kolana. Kuli się.

Zygmunt patrzy na nią bez słowa. Przygląda się bez skrepowania jej na wpół nagiemu ciału. Ciału, które miało należeć tylko do niego. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji.

Zenek podnosi się z kolan, łapie oddech. Poprawia ubranie,

- Wyjdź! - Głos Zygmunta brzmi głucho, obco.

Mężczyźni stoją naprzeciwko siebie - jak do pojedynku. Bez słów. Nikt nie ma nic do dodania. Nikt nie zamierza się tłumaczyć. Żaden dodatkowy cios już nie pada.

- Wyjdź, powiedziałem.

Zenek bez słowa zabiera marynarkę i wychodzi z altany w ciemność ogrodu.

Zostają sami. Jej dłonie nieporadnie zasłaniają piersi. Nie patrzy na niego. Nie potrafi. Chowa się za swoim wstydem. Mężczyzna przykłęka. Naciąga na ramiona zwiewne rękawy jej sukienki. Marianna nie ma odwagi podnieść na niego oczu. Ale on niemal siłą unosi jej podbródek. Metodycznie układa zmierzwione włosy, wygładza jedwab sukienki. Patrzy na nią bez emocji. Długo. Beznamiętnie. I ten jego chłód boli ją najbardziej. Wolałaby, żeby powiedział te wszystkie słowa, które teraz powinny paść. Żeby przerwał tę ciszę, która niemal fizycznie ją boli. Ale on tylko poprawia kciukiem szminkę rozmazaną wokół jej ust, chwytą jej dłoń, pomaga podnieść się z ławki. Marianna poddaje się tym zabiegom bez sprzeciwu, jak w hipnozie. Jakby to, co się stało, nie wydarzyło się naprawdę. - Idziemy.

Trzyma ją mocno za rękę i prowadzi w stronę domu.

Tylko nie tam. Nie teraz - próbuje wyrwać ramię, ale Zygmunt trzyma je w żelaznym uścisku. Niemal je miażdży. Musi wiedzieć, że sprawia Mariannie ból, ale nie zwalnia uchwytu, póki nie staną na środku salonu, w przytłumionym świetle lampy. Ćmy wirują w samobójczym tańcu wokół klosza. Ich włochate ciała rzucają cienie na ścianach.

To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy... (Piosenka: To ostatnia niedziela, tekst: Zenon Friedwald.) - Zygmunt chwyta ją mocno. Przyciąga do siebie. Patrzy w zdziwione, przestraszone oczy. Kołysze jej ciałem lekko, rytmicznie. Metodycznie. A jego twarz nadal pozostaje niewzruszona, jakby ktoś odarł ją z emocji - dlaczego on to robi? Czy to kara? Publiczna chłosta? Czy może on się tak z nią żegna?

Marianna czuje, że ma mokre policzki. Oczy tak bardzo pieką, że już nie może powstrzymać łez. Wie, że kilka spojrzeń zwróconych jest na nich, ale nie ma siły, by wyrwać się z jego ramion. By uciec gdzieś, przed uczuciami, których nie potrafi jeszcze ogarnąć, uporządkować. Uciec i schronić się przed wstydem i tym miażdżącym wzrokiem jego nieodgadnionych oczu. Przez ułamek sekundy ma nadzieję - w swojej młodzieńczej naiwności - że jakoś z tego wybrnie. Że nie poniesie konsekwencji. Przecież zrobiła to, aby mu pokazać... żeby ją gonił... Zapragnął. Tak jak ona jego. Tylko jego... Miała być nieuchwytnym celem, nieugaszoną pożądaną, wyczekiwaniem, miłością... Co poszło nie tak? Czy teraz czeka ją surowa kara? Przecież Marianna Zenka nie kocha. Nie kocha! Zupełnie nic do niego nie czuje. Błaga tylko o te ramiona, które teraz ją trzymają, które nadają rytm jej ciału. Niech ta piosenka nigdy się nie skończy...

Dzisiaj się rozstaniemy, dzisiaj się rozejdziemy.

Na wieczny czas.

Nie!

Nie, to nie może się tak skończyć. Nie może? Igła gramofonu z trzaskiem zjeżdża do końca płyty. Ktoś z boku głośno się śmieje. Ktoś wznosi toast. Słychać brzęk szkła. Przechodząca obok para potrąca ich łokciem. Zygmunt zwalnia uścisk. Ręce opadają mu wzdłuż tułowia. Kłania się jej. Żegna? Odchodzi...

Na wieczny czas.

Przez otwarte na szeroko okno wpada chłodny powiew, unosząc firanki. Noc jest jasna. Księżycowa. Marianna śpi lekkim, przerywanym snem.

Czuje na sobie ręce Zenka. Ciepłe. Łagodne. Nieporadne.

Czuje na sobie wzrok Zygmunta. Zdziwiony. Ostry. Rozczarowany.

Mężczyzna stoi. Patrzy na nich z góry. Na wpołnagie ciała. Splecione. Skulone.

Wyraz jego twarzy się zmienia. Smutek przechodzi w śmiech. Cyniczny - głupia Marianno!

Dziewczyna podrywa się na łóżku. Jest chłodno, ale skórę pokrywają kropelki potu. Długa biała koszula lepi się do mokrego ciała. Kosmyki włosów oblepiają twarz. Usta pulsują.

Nie pamięta, jak się tu znalazła. Kto odwiózł ją do domu? Widzi tylko oddalającą się postać Zygmunta.

Czemu to nie sen? Dlaczego to nie może być tylko nocny koszmar? - kładzie głowę na wilgotną poduszkę. Łzy bezwiednie spływają jej po policzkach. Słone krople wstydu i upokorzenia... Przewraca się z boku na bok. Próbuje zasnąć. Sen nie nadchodzi - może to i lepiej. Ile jeszcze razy będzie musiała przeżyć to wszystko podczas tej jednej nocy? Ile dni minie, zanim to, co zrobiła, zatrze czas i niepamięć? A może tak nie stanie się nigdy? Taki to już los mój będzie...?

Rozdział XI

Michał

Przy śniadaniu Marianna nie kryje rozdrażnienia. Jest milcząca. Noc zostawiła pod jej powiekami piasek. Ciemne cienie odcinają się od pobladłej twarzy. Gabriela przygląda się dziewczynie przenikliwie - domyśla się? Ale o nic nie pyta.

Pan Aleksander rozmawia z synem i nie dostrzega tej nagłej zmiany w córce. Michał co chwilę wybucha nieznośnym śmiechem. Czy teraz cały świat nie powinien płakać? Ubolewać nad jej bezmyślnością, ale też żałować. Przecież każdy ma prawo do błędu.

Marianna dłubie srebrną łyżeczką w jajku na miękko. Skorupki pękają, opadają na spodeczek. Żółtko rozlewa się po ściankach kieliszka. Nie jest głodna. Ma zaciśnięty żołądek. Wszystko, co się wczoraj wydarzyło, dociera do niej powoli, ale coraz boleśniej - i ma ochotę krzyczeć. Ale uparcie milczy.

Przecież chciała mu tylko pokazać... No właśnie, co chciała pokazać? Co udowodnić? Jemu? Sobie? Krystynie? Że Krysia niewarta jest jego uczucia, zbyt nudna, zbyt dobra, zbyt przewidywalna? I Zygmunt popełni błąd, kochając niewłaściwą z przyjaciółek? A przecież Krystyna pragnie Zenka. A Zenek...? Dlaczego to wszystko jest takie trudne? Dlaczego rozum umiera w starciu z miłością?

A przecież wszystko mogło potoczyć się inaczej... Ona tylko pragnęła dotknąć tego, co zakazane... Tylko spróbować. Posmakować nieznanego. Otrzeć się o to. Na tyle delikatnie, by nie ponieść konsekwencji. Przecież nie wiedziała, jak to do końca wygląda. Nie rozumiała. Nie doczytała tego w książkach. Nikt jej nie powiedział. To miała być tylko zabawa... Dlaczego Zygmunt tak opacznie to zrozumiał?

I Zenek. Ten miły, nieskomplikowany Zenek... Nagle, w jednej chwili stał się taki inny... Natarczywy. Głuchy na jej słowa. Jego delikatne ręce... Było tak przyjemnie.

Niebezpiecznie. Marianna straciła nad tym kontrolę. Czuła, że już nie ma odwrotu. Że nie umie powstrzymać biegu wypadków. Spadała bezwładnie w otchłań do miejsca, którego istnienia nawet nie podejrzewała. Czy tak wygląda pożądanie? Gdzie w tym momencie ukrywa się rozsądek, uczucia? Gdzie jest miejsce na miłość?

Choć przecież Zenek szeptał, że ją kocha... Ale mówił to nieswoim głosem. To coś niebezpiecznego, groźnego krzyczało z jego środka, żeby usprawiedliwić ręce, usta, członka. Żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, uspić jej czujność. Zdusić opór.

Jak wspaniale by było, gdyby to był Zygmunt. Gdyby to z jego ust padły te wszystkie słowa. Nie... On nie musiałby mówić nic. Jemu oddałaby wszystko bez słów. Bez prośby, bez pytania. Przy nim by nie walczyła. Przecież wszystko należało do niego. Każdy skrawek jej ciała, dusza, zmysły...

Teraz już nigdy go nie zobaczy. Wstyd jest silniejszy niż miłość. Zygmunt jej nie wybaczy. Ona sobie tego nie wybaczy... Że bezdusznie zamordowała w nich tę pierwszą, tę jedyną, dla której warto się urodzić, wstawać co rano, oddychać...

Miłość!?

Czy będę potrafiła żyć bez powietrza? Ale Marianna wciąż oddycha.

Niemal nie tknąwszy śniadania, nie pytając o zgodę, wstaje od stołu. Gabriela z dezaprobatą kręci głową, ale wciąż nie odzywa się ani słowem. Tylko ojciec, który nagle zauważa dziwne zachowanie córki, zupełnie nieświadomy powodów, zaczepia dziewczynę, która stoi już w drzwiach:

- Marie...

- Tak, tatku? - Patrzy na niego z zupełnie bezbarwnym wyrazem twarzy.

- Czy coś się stało, córeczko?

- Nie. - Zbyt intensywnie zaprzecza ruchem głowy. Ojciec przygląda się jej ciekawie.

- Przecież widzę, kochanie, że coś cię martwi. Michałek, kręcąc się na swoim krześle, uśmiecha się, ukazując wielkie szpary między zębami oczekujące na wyjście stałych zębów.

- Pewnie się zakochała wczoraj na tych tańcach?

- Milcz! - rzuca groźnie w stronę brata.

Pan Aleksander ze smutkiem patrzy na dzieci.

- Przestańcie. - Nawet jego reprimendy brzmią tak delikatnie jak głaskanie po głowie, więcej w nich prośby niż nakazu.

- Marie, źle wyglądasz. A może ty jesteś chora, dziecko?

- Nic mi nie jest, tato. Po prostu źle spałam...

Michałek, nie przestając się wiercić, znowu wchodzi jej w słowo:

- Mówię ci, tatusiu, że się zakoch...

- Nie mów z pełnymi ustami, synu - upomina go ojciec. - Marie, teraz muszę już iść, ale porozmawiamy przy obiedzie. Może się położyć, zdrzemnij...

Marianna bez słowa przytakuje. Ojciec z zadumą wyciera usta serwetką, rzuca do Gabrieli jakieś niezrozumiałe słowa. Wstaje i kieruje się do wyjścia. Stojącą w drzwiach córkę przelotnie, pocieszająco klepie po ramieniu i znika w mroku korytarza. Chwilę później słychać lekkie trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Dźwięk ten wyrywa zgromadzonych w jadalni z letargu, co wygląda, jakby nagle ktoś ożywił na nowo aktorów odgrywających teatralną scenę. Gabriela ciężko podnosi się z krzesła, zbiera naczynia. A Michał z lubością pokazuje siostrze język, na co ona odwraca się na pięcie i wychodzi.

Powinna teraz zaszyć się w swoim pokoju, ale obawia się samotności - nie wytrzyma już więcej tych napływających myśli, tych obrazów, które chciałaby wymazać z pamięci.

Idzie więc w głąb domu i lekko puka do drzwi pokoju babki. Niech pokuta zacznie się od zaraz.

- Proszę. - Kobieta leży na swym szezlongu pod oknem. Obok, na małym karciaku (Niewielki, rozkładany stolik używany do gry w karty.) stoi ledwo napoczęte śniadanie. Na kolanach Leokadii spoczywa rozłożona gazeta. Na czole rysują się głębokie zmarszczki zdziwienia.

- A, to ty... - W jej głosie słychać zawód. Czekwała na kogoś innego.

Marianna bez zaproszenia zajmuje krzesło pod oknem. - Jak się babcia dzisiaj czuje?

Leokadia z szelestem składa gazetę i odkłada na stolik. Jej małe, głęboko osadzone oczy świdrują wnuczkę. Mówi powoli:

- Myślę, że czuję się lepiej od ciebie. Okropnie wyglądasz. Nie spałaś? - Chwyta za spodek i delikatnie podnosi filiżankę z herbatą do ust. Upija mały łyk. - Uważam za niestosowne te twoje wieczorne wyjścia.

- Ale to przecież były imieniny Stefana...

- Tym bardziej. Co sobie o nas pomyślą Wieruszewscy? W moich czasach to było nie do pomyślenia, żeby młodzież się bawiła bez jakiegokolwiek kurateli rodziców, do późna w nocy. A szczególnie takie niedojrzałe panny jak... - Wznosi oczy do nieba, jakby tam szukała poparcia dla swego wzburzenia. - O tempom, o mores!

- Ale czasy się zmieniły.

- Obyczaje też. Niestety.

Leokadia obserwuje wnuczkę, która nieprzerwanie wpatruje się w widok za oknem. Stara kobieta powoli kończy herbatę. Odstawia filiżankę z powrotem na stolik. Milczy.

- Dlaczego babcia nie wyjdzie na dwór? Jest taka piękna pogoda... - Marianna mówi to tonem wskazującym, że jest

zupełnie nieobecna i że wcale nie czeka na odpowiedź - zwykła próba kulturalnego podtrzymania konwersacji.

I odpowiedź rzeczywiście nie pada.

- Dlaczego przyszłaś?

Marianna powoli odwraca głowę w kierunku babki. Nie rozumie pytania.

- Ostatnio rzadko mnie odwiedzasz. I wiem, że tylko wtedy, kiedy poprosi cię o to ojciec. Wolisz biegać gdzieś poza domem, niż słuchać wywodów starej kobiety. Więc dlaczego dzisiaj przyszłaś?

Dziewczyna milczy. Nie wie, co odpowiedzieć na ten jawny zarzut. Obie z babką od dawna rozumieją, że jedyne, co je łączy, to więzy krwi. Już dawno całe zasoby swojej miłości Leokadia zarezerwowała dla jej ojca i brata. Nie ma między tymi dwiema kobietami cienia porozumienia. Więc czemu dzisiaj wnuczka tu przyszła?

- Widać, że nie spałaś... Coś cię dręczy. I ja domyślam się co. Chodzi o tego młodego człowieka. Jak mu tam...? Jasińskiego. Prawda? Nie zaprzeczaj. Widziałam was przez okno jakiś czas temu. Jak z nim rozmawiałaś, jak szliście gdzieś razem...

Słowa babki uderzają w dziewczynę niczym karcący bat. Czy już naprawdę wszyscy wiedzą?

- Nie wiem, o czym babcia mówi.

- Doskonale wiesz, moja droga. Być może siedzę ciągle w tym moim pokoju jak w więzieniu, ale wiem o wszystkim, co się tu dzieje.

- Michał! To Michał naopowiadał babce tych bzdur?

- Michałek nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu widziałam cię z nim i to wystarczyło. Widziałam, jak na siebie patrzycie... Jak on patrzy na ciebie. Może rzeczywiście przystojny... - Z wyraźną niechęcią kręci głową. - Ale to taki typ Konstantego. Piękny, pewny siebie i niszczący wszystko

po drodze. Możesz sobie roić o wielkich uczuciach. Każda dziewczyna w twoim wieku to robi. Ale ten człowiek jest nieodpowiedni dla ciebie.

- Babciu... - W głos Marianny wkłada się niezwykła miękkość. Jakby nagle puściła jakaś tama. Jak gdyby na chwilę wyznanie prawdy komukolwiek, choćby tej starej kobiecie, mogło przynieść ulgę. Jednak po tym nieuchwytnym momencie szybko wraca jej opamiętanie. Przecież tego, co zrobiła, nie może powiedzieć nikomu. A przede wszystkim Leokadii. Jej nie powie nigdy. Dlatego milczy. Milczą obie.

Kobieta przerywa ciszę, która zapada w pokoju niczym teatralna kurtyna po zakończonym spektaklu.

- Nie potrzebuję twoich wyznań, bo i tak wszystko wiem. Ostatnie słowa padają w akompaniamencie otwieranych na oścież drzwi, w których pojawia się roześmiany chłopiec. On nie musi tu pukać. Wie, że zawsze jest oczekiwany, mile widziany. Dla niego babka ma odrębny kodeks należytych zachowań.

Michał, nie zważając, że przerywa rozmowę, bez wstępów podbiega do szezlonga i przywiera do Leokadii. Bez słowa powitania od razu zaczyna referować wydarzenia sprzed śniadania.

Babka uśmiecha się wyrozumiale, słuchając o wizycie w stajni, krótkim obchodzie pastwisk i planach wnuczka na popołudnie.

Marianna wie, że jej „audiencja” właśnie dobiegła końca. Po co w ogóle tu przyszła? Bez żalu wstaje ze swojego miejsca pod oknem i wycofuje się w stronę drzwi. Ponad głową brata chwyta spojrzenie babki. Jej usta śmieją się do dziecka, ale oczy skierowane na wnuczkę mają w sobie chłód. Wyraz rozczarowania. A może rezygnacji?

Jest już prawie przy drzwiach, gdy Michał orientuje się, że siostra wychodzi.

- Pójdiesz ze mną przed obiadem pojeździć? Dziewczyna przystaje w pół kroku. Dwie pary oczu czekają na jej odpowiedź.

- Nie najlepiej się czuję. Może kiedy indziej. Poproś Antoniego. Na pewno ci potowarzyszy.

- Marie! - W głosie chłopca słychać wyrzut.

- Mogłabyś czasami zająć się bratem. - Babka nie ukrywa irytacji.

Ale ona nie zamierza ustępować. Nawet Leokadii. Przede wszystkim jej. Odwraca się bez słowa i zamyka za sobą drzwi.

Popołudnie zalewa żar gęsty niczym smoła. Mazowieckie równinne pola aż po horyzont niosą w powietrzu ciężki zapach rozgrzanej ziemi, a słońce stojące wysoko na bezchmurnym niebie wypala z trawy resztki jej wilgotnego życia, czyniąc z pastwisk żółtobrazowe morze. Nie ma jeszcze drugiej i dopiero wkrótce domownicy mają ponownie zebrać się przy stole.

Ciszę przerywa tętent konia oraz nagłe trzaśnięcie drzwi od strony podjazdu. Nie może to być ojciec, ponieważ już wrócił po porannym obchodzie majątku i od pół godziny zagrzebany w papierach siedzi w swoim gabinecie. Poza tym Borucki, nawet wzburzony, nigdy nie zatrzęsnałby drzwi z takim impetem. Mariannie wydaje się to dziwne. Zamyka książkę, którą udawała sama przed sobą, że czyta. Nasłuchuje. Czuje, że dzieje się coś niezwykłego, a po zaledwie chwili w owym przekonaniu utwierdza ją hałas kilku podniesionych głosów docierający aż tu, na werandę. Najpierw do jej uszu dociera czyjeś zawrodożenie, z którego wyrwanych dźwięków niewiele rozumie, potem krzyk ojca, a na końcu głośny szloch Gabrieli, która w spazmach, wykrzykując rozpaczliwie, na zmianę wzywa wszystkie wyższe instancje: „O Matko boska!”, „O Boże!” i „Jezusie nazareński”. Być może ta litania wywołałaby u Marianny uśmiech, ale w tej wrzawie

przenikającej ściany jest coś tak przerażającego, że dziewczyna zrywa się na równe nogi i w szalonym pędzie, pokonując korytarz, wpada do kuchni.

Na środku pomieszczenia stoi parobek, pod jego nogami kręci się wyżeł Anatol. Macha ogonem. Ale gdzie Michał? Marianna zna chłopaka, który sterczy teraz ze spuszczoneymi bezwładnie, wzdłuż ciała, rękami. Poznaje jego wykrzywioną strachem twarz - to on pomaga podczas żniw w stajni. Nigdy jednak nie ośmielił się przekroczyć progu dworu.

Tymczasem ojciec siedzi przy kuchennym stole. W dłoni trzyma jakiś dokument, który czytał widocznie w swoim gabinecie na chwilę przed tym niezwykłym najściem. Głowę ma zwróconą ku otwartemu na oścież oknu i choć dziewczyna nie widzi jego oczu, wie, że płacze.

I jedynymi dźwiękami wypełniającymi kuchnię jest pobrząkiwanie naczyń, które, jakby mechanicznie, przestawia Zosia, oraz rozpaczliwy szloch Gabrieli zasłaniającej twarz bielusińskim fartuchem.

- Co się stało? - rzuca zdyszana Marianna, choć już w tym momencie domyśla się, że wołałaby nie poznać odpowiedzi.

Nikt się zresztą nie kwapi, żeby jej udzielić.

- Powiedźcie mi, co się dzieje?! - niemal krzyczy.

W twarzy ojca nie drga żaden mięsień. Zosia kuli się, jakby chroniąc przed krzykiem Marianny i jeszcze intensywniej wpatruje w stojące na kuchni garnki. A Gabriela tłumi krzyk, zasłaniając usta wykrochmalonym materiałem. Tylko chłopak nieśmiało podnosi na dziewczynę oczy i cicho, jękając się, wypowiada zdanie, które niczym zbląkana kula przesywa powietrze i uderza prosto w jej serce:

- Panienci brat... Michałek...

- Co z nim? - On... nie żyje.

Marianna marszczy brwi, jakby sens tych słów był dla niej całkowicie niezrozumiały.

- Jak to? Nie żyje? - szepcze. - Ale... przecież on jest w domu. Gdzie jest Michał?!

Chłopak nieco ośmielony dodaje:

- Przed kwadransem spadł z konia. Zawieźliśmy go z Antonim od razu do doktora... ale on już wtedy nie oddychał. Pan Wieruszewski kazał mi tu przyjechać i powiedzieć... że Michałek skręcił kark... że na miejscu... A dodatkowo dostał się pod kopyta i koń stratował...

Pierwsza myśl, choć irracjonalna, uderza w dziewczynę z pełną mocą: To przeze mnie! To kara! Dlaczego nie dała się namówić Michałowi na tę przejażdżkę? Przecież nic ją to nie kosztowało. Gdyby wczoraj...

Gdyby nie wydarzyło się to, co się wczoraj stało.... Może dziś nie opłakiwałaby swojej bezmyślności. Towarzyszyłaby bratu i teraz Michałek wchodziłby do kuchni. Dopytywał o obiad. A może właśnie zaraz tak się stanie? Może to tylko okrutny żart? Michał żyje. Na pewno żyje. Dlaczego wszyscy uwierzyli temu chłopakowi? Gdzie jest Antoni? Antoni! On im powie prawdę...

Ale w kuchni chyba tylko Marianna nie daje wiary w te straszne wieści. Ojciec, Gabrysia... Oni uważają, że Michał... Więc może...?

Więc może jednak Bóg istnieje? I teraz zsyła na nią karę? A ta śmierć to cena, jaką przyjdzie jej zapłacić za zabicie pierwszej w życiu miłości?

Bezradnie wiedzie wzrokiem po zastygłych w ruchu zgromadzonych. Wyglądają, jakby z nich też, w jednej chwili, uszło życie. I nagle czuje nieprzewartą chęć ucieczki z tego miejsca - jeszcze nic nie jest stracone. Przecież Boga nie ma. Nie ma żadnej kary - pędem rzuca się w stronę otwartych na oścież kuchennych drzwi. Przy schodkach, jak zawsze, stoi rower. Niczym automat wsiada na niego i nie oglądając się za siebie, rusza w stronę Kamieńczyka. Nie słucha płaczu, który

dobywa się z wnętrza domu, próbując zapomnieć o obrazie, który za sobą zostawia. Tak jak wtedy, gdy Zosia traciła swoje dziecko, Marianna, ile tchu, mknie polną drogą, nie zważając na nic dookoła. I tak jak tamtego dnia, nie wierzy, że to, co się stało, dzieje się naprawdę.

Tumany suchego piachu unoszące się spod kół przyklejają się jej do twarzy, do policzków mokrych od łez. Pędzi do utraty tchu. Do utraty zmysłów. „Michał żyje! Michał żyje!” - powtarza bezgłośnie w rytm własnego oddechu. A mijani ludzie odprowadzają ją z zaciekawieniem do miejsca, gdzie kończy swą drogę - pod domem doktora. Jednym mocnym szarpnięciem otwiera furtkę. Porzuca rower na trawniku.

I uderza ją niezwykła cisza. Przy drzwiach do gabinetu, pod którymi zawsze w ciągu dnia jest tłoczno i gwarno, teraz wszyscy milczą. Oczekujący pacjenci stoją ze spuszczoneymi głowami, omijając jej wzrok. Jakby nikt nie śmiał teraz na nią spojrzeć. I tylko jedna osoba nie śledzi jej wędrówki od furtki. Antoni siedzi na schodkach. Siwą głowę trzyma w dłoniach. Pusty wzrok wbija w udeptane klepisko. Twarz ma białą, niemal siną. Wygląda, jakby nie słyszał i nie widział świata dookoła. Marianna mija go i otwiera drzwi.

W środku panuje zadziwiający chłód. W ciemności korytarza dostrzega Krystynę tkwiącą pod ścianą gabinetu. Jej kredowobiała twarz odcina się wyraźnie od panującego wokół półmroku. Na widok Marianny otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale uprzedza ją Adam Wieruszewski, który pojawia się nagle w drzwiach do gabinetu. Od bieli jego fartucha złowrogo odcina się plama świeżej krwi. Lekarz spogląda na twarz Marianny. Przez moment patrzą bez słowa na siebie. Po czym mężczyzna rozkłada szeroko ramiona, tarasując przejście.

- Nie powinnaś tam wchodzić - mówi zdecydowanym tonem, przywracając jej na moment rozsądek.

- Muszę go zobaczyć! - Podnosi głos, choć nigdy nie ośmieliłaby się na to wobec doktora w innych okolicznościach.

On patrzy na nią z góry i dziewczyna dostrzega w jego spojrzeniu smutek. A potem także rezygnację. Wieruszewski kapituluje. Jedyne, co może w tej chwili dla niej zrobić - bo już wie, że jej nie zatrzyma - to przygotować na widok, który zastanie w środku.

- Na twoją odpowiedzialność... Michał skręcił kark w momencie upadku, ale dostał się pod kopyta i koń stratował mu twarz. To nie jest widok, który uda ci się kiedykolwiek zapomnieć.

- Proszę mnie przepuścić!

Mężczyzna odsuwa się powoli na bok, wpuszczając Mariannę do środka. W gabinecie panuje zaduch i unosi się osobliwy, metaliczny zapach hemoglobiny. Ciało Michała leży na środku pokoju, na stole zabiegowym. Zostało przykryte białym płótnem, spod którego wystają jedynie pokryte pyłem czarne buty do konnej jazdy - buty, o które tak długo prosił ojca. Marianna wciąga powietrze i na bezdechu, powoli podchodzi do krawędzi stołu. Już wie. Już rozumie, że nie ma nadziei. Że wszystko skończone... To, co zobaczy, będzie jej karą. Karą, wymierzoną jej za głupotę, za zranienie Zygmunta. Jej wina leży pod białym prześcieradłem, a ona, teraz, odbędzie swoją pokutę...

Jednym szybkim ruchem zrywa zasłonę. Patrzy. Nie rozumie, co widzi. W miejscu, gdzie jeszcze dziś rano błyszczały rozradowane oczy chłopca, teraz zieleje czarna, jeszcze pulsująca niezastygłą krwią dziura. Z nosa, wbitego przez końskie kopyto w czaszkę, sterczy kość i tylko na wargach, nieokaleczonych, nietkniętych śmiercią, widnieje łagodny uśmiech. Te usta wydają się z niej szydzić. Tak, jakby los chciał jej przez nie coś powiedzieć. „Miłość za miłość.

Odebrałaś ją sobie, Zygmuntowi, Krystynie, ja teraz odbieram ją tobie".

Czarna otchłań na twarzy chłopca rozlewa się po całym pokoju i Mariannę ogarnia pustka. Słyszy podniesiony głos lekarza i dźwięk własnego ciała osuwającego się bezwładnie na podłogę...

Pogrzeb musi się odbyć szybko. Panujący upał sprzyja postępującemu rozkładowi zwłok. Od momentu, gdy Marianna otrząsa się z omdlenia w gabinecie doktora Wieruszewskiego, zachodzi w niej dziwna przemiana. Jakby to, co ujrzała na stole zabiegowym, było najgorszym, co ma ją spotkać w związku ze śmiercią brata. Z jej twarzy nie schodzi pozbawiony emocji wyraz zacięcia i to ona załatwia wszystkie formalności pochówkowe. Nadzoruje przygotowania związane z przyjazdem żałobników, szykuje pokoje, pomaga w sprzątaniu. Zamawia u krawcowej we wsi dwie letnie czarne sukienki. Wydaje dyspozycje kucharce Wieruszewskich, która w tym trudnym momencie zastępuje we dworze Gabrielę. Gospodyni nie ma teraz głowy, by wykonywać codzienne czynności.

Bliscy obserwują dziewczynę ze smutkiem i zdziwieniem - czy to możliwe, by śmierć brata obeszła ją tak mało? Ale nikt przecież nie wie, że pod maską spokoju toczy ona walkę z rozpaczą. Marianna czuje odpowiedzialność za to, co się stało. Wyrzuca sobie, że za mało czasu poświęcała Michałowi, że żyli zupełnie obok siebie. Że nigdy go nie kochała wystarczająco, podświadomie obwiniając za śmierć matki. I przez całe życie darzyła go niechęcią za coś, na co przecież nie miał wpływu.

I ma jeszcze to przeczucie, niemal pewność, że gdyby nie podeptała tego, co poczuła do Zygmunta, dziś wszystko wyglądałoby inaczej. Każde metodyczne, pozornie pozbawione emocji działanie Marianny jest więc próbą

przeżycia. Im więcej zadań na siebie nakłada, tym mniej musi myśleć, im więcej bierze na swoje barki, tym mniejszy ciężar wyrzutów sumienia do niej dociera. Toczy więc tę walkę ze sobą, by nie postradać zmysłów, by przetrwać najgorszy moment - w nadziei, że czas pozwoli jej zaleczyć ranę. Może kiedyś...? Gdy skończy się to upalne lato.

Michał zginął w poniedziałek, a ceremonia pogrzebowa ma się odbyć w czwartek przed południem. Mariannie na zawiadomienie krewnych i przygotowanie domu na ich przybycie zostaje niewiele czasu. Nie może liczyć na Gabrielę. Ojciec z kolei, od tamtej chwili w kuchni, do nikogo się nie odzywa. Siedzi zamknięty w swoim gabinecie, na zmianę płacząc i pijąc. Marianna patrzy na to z niepokojem, ale wie, że nic na to nie poradzi - czas żałoby każdy musi przeżyć po swojemu. Zresztą pamięta śmierć matki. Wtedy również ojciec przez wiele dni z nikim nie rozmawiał, a powrót do normalności zajął mu parę miesięcy. Jednak wówczas sytuacja była zgoła inna. W domu był noworodek, wyczekiwany syn. Ktoś, dla kogo trzeba było wstawać co rano, dla kogo należało się podnieść - żyć dalej. A teraz...

I jest jeszcze ktoś, komu nagle jedyny cel istnienia wymknął się z rąk - Leokadia. Przeżyła w życiu niejedną śmierć bliskich, ale czy na taki ogrom rozpacz można się uodpornić? Dlatego doktor Adam, dzień po śmierci dziecka, zostaje wezwany do dworu przez zaniepokojoną Mariannę i zapisuje starszej pani silne leki uspokajające, które pozwalają, by przespała ten najgorszy czas. Jednak to nie jej stan niepokoi go najbardziej. Ze zdziwieniem, ale i strachem obserwuje przyjaciółkę córki, która wydaje się panować nad tym, co dzieje się w domu. Ale ma doświadczenie i wie, że tak naprawdę są to tylko pozory, a Mariannę od popadnięcia w obłęd dzieli cienka granica. Tłumienie emocji nie jest dobrym lekarstwem. A Marianna została z ich spiętrzeniem zupełnie

sama. Opuszczona w domu, w którym dorośli nie unieśli ciężaru tego, co się stało.

Wieruszewski pomaga więc w tych dniach na tyle, na ile pozwalają mu obowiązki zawodowe. Przygotowuje ciało do przewiezienia go do dworu. Nie dopuszczając nikogo z członków rodziny, sam ubiera zwłoki chłopca i robi wszystko, co w jego mocy, by zmasakrowana twarz w końcu zastygła i przestała broczyć krwią. A nie ułatwia mu tego wyjątkowo wysoka temperatura.

Kiedy nieduża biała trumna dociera do domu, zostaje postawiona na przygotowanym wcześniej stole w salonie. Pokój wypełniają kwiaty. Ich zapach miesza się z dymem gromnic. Głowę dziecka lekarz przykrywa całunem, tak by makabrycznego obrazu oszczędzić bliskim i licznym oplakującym. Można rozpocząć zwykły porządek czuwania.

W środę przed południem do Kamieńczyka dociera ciotka Weronika, a kilka godzin po niej żona Konstantego - Małgorzata. Sam stryj nie zdąży na pogrzeb, bo jak się okazuje, niemal prosto po ostatniej wizycie wyruszył na dwa tygodnie do Rosji w interesach. Przed wieczorem przyjeżdża jeszcze młodsza siostra pana Aleksandra, która od momentu wyjścia za mąż mieszka w majątku pod Ciechanowem. I na tym kończy się lista żałobników, których Marianna musi rozlokować w pokojach. Dom wypełnia się ludźmi, ale i tak panuje w nim całkowita cisza.

Jest już dość późno, bo sierpniowe słońce chyli się ku horyzontowi. W salonie, wśród zapalonych świec i białych kwiatów, gromadzi się liczna grupa osób oplakujących Michała. W powietrzu unosi się szept cichej modlitwy, co chwilę przerywany czyimś szlochem lub nadejściem kolejnego żałobnika. Wielu chce pożegnać to miłe, wesołe dziecko.

Jedni wychodzą, zastępują ich następni. Marianna stoi przy oknie, oparta o pianino, z oczami wbitymi w czyste i błyszczące lakierki na stopach brata. Nie ma śmiałości ani siły, by spojrzeć na biały gruby całun, na który ktoś sypnął płatkami róż. Nieopodal przysiada ciotka Weronika, a za jej plecami staje doktor Adam. Przy drzwiach wejściowych, przez które bezustannie ktoś wchodzi, dostrzega Krystynę, która bezgłośnie, wymawiając słowa modlitwy, natrafia na wzrok przyjaciółki. Nieznacznie kiwa jej głową.

Marianna nie ma pojęcia, czy Krysia wie, co wydarzyło się w niedzielę. Być może tylko się domyśla. Jednak wyrzuty sumienia nie pozwalają jej teraz zbliżyć się do rozmodlonej dziewczyny. Cóż miałaby jej powiedzieć? Przecież Krystyna i tak by nie zrozumiała. Ta sprawa z Zenkiem to przecież kolejna cegła w murze, który wzrastał między nimi od jakiegoś czasu. Już za późno, by udało się go zburzyć. I może Krystyna również to czuje, bo nie podchodzi do Marianny, żeby pocieszyć ją choć jednym słowem. Może jednak wie...

Na krzesłach i stołkach wokół trumny siedzą okoliczni znajomi Boruckich, wielu z nich dziewczyna nawet nie zna. Za nimi tłoczy się kilka kolejnych osób i to wśród nich odnajduje spuszczoną głowę Zenka, którego usta nie poruszają się we wspólnej modlitwie. Wygląda na skupionego. Ale może wcale nie rozmyśla o śmierci Michałka?

Jego obecność wywołuje w sercu Marianny falę zażenowania. W świetle dnia ciężko jest się zmierzyć ze wspomnieniem tamtej nocy. Chciałaby zrzucić na Zenona odpowiedzialność za to, co stało się w altanie, ale wie, że oboje są winni. Dała mu przecież ciche przyzwolenie, a to, że sprawy wymknęły się jej spod kontroli... Cóż, to jest tylko jej grzech i to jej pokuta spoczywa teraz na katafalku.

Mężczyzna jest wyraźnie zmieszany sytuacją. Długo wbija wzrok w podłogę i tylko raz unosi na nią oczy. I jest w tym

spojrzeniu wstyd. A może także prośba o wybaczenie? Zenek czuje się współwinny? I chciałby jej pomóc w tym trudnym momencie? Ale widocznie rozumie, że to, co zrobili, raz na zawsze obojgu zamknie drogę do choćby jednego słowa wyjaśnienia. Słowa... Dopóki nie padną, można będzie udawać, że nic się nie stało, że jego ręce, usta... Oddech zbyt gorący nigdy nie głaskał jej skóry. Tak, wspomnienia nabierają realnego kształtu dopiero wtedy, gdy ubierze się je w słowa, gdy wyrzeźbi się w pamięci czarownikami, przymiotnikami, ulepi w zdania. Do tego czasu można wierzyć, że to był tylko sen. „To” pozostanie więc snem...

Przy drzwiach znowu robi się tłoczno. I wtedy, w nowej grupie osób dostrzega jego. Mężczyzna przez chwilę szepcze coś do ucha stojącej nieopodal Krystyny, po czym ona nieznacznym ruchem głowy wskazuje na kąt pokoju. Zygmunt wie dzie wzrokiem za tym gestem i zatapia spojrzenie w oczach Marianny.

Od momentu, gdy w kuchni zapadł na nią wyrok, tego spotkania bała się najbardziej. Łatwiej jej znieść widok martwego brata, niż jeszcze raz zobaczyć tę stalową obojętność, którą dostrzegła w nim tamtego wieczora. Teraz jednak, choć w środku wszystko w niej wrze, zachowuje kamienną twarz. Ile jeszcze bólu i upokorzenia uda jej się znieść?

Ale w jasnych oczach Zygmunta nie odnajduje tego, czego się obawiała. On patrzy na nią ze spokojem. Może nawet z pewną czułością, której wcześniej u niego nie widziała. Ale to ulotne wrażenie szybko się rozmywa, a mężczyzna odwraca głowę, jakby już nic więcej nie chciał jej swym spojrzeniem przekazać. W skupieniu przygląda się teraz trumnie, po czym opuszcza wzrok i zastyga w tej pozycji na ciągnącą się w nieskończoność chwilę.

I Marianna przypomina sobie ten wieczór, nie tak dawno temu, gdy siedziała tu, przy pianinie. Grała Chopina, a powietrze wypełniał zapach ukrytych pragnień i ogrodu. Zygmunt nachylał się nad nią i patrzył w taki sposób, że uwierzyła, iż to lato będzie szczególne. W pokoju, tak jak dziś, płonęły świece, ale nie były to gromnice, a tam gdzie stał stolik do gry, nie spoczywało martwe ciało jej brata. Ile się wydarzyło od tamtej chwili... Jak wszystko się pogmatwało. Nieodwracalnie... A tamten wieczór już nigdy nie wróci.

I pod przymkniętymi powiekami Marianny, jak w poszczególnych klatkach filmu, przewija się scena, gdy ona odrywa się od okna. Pada mu do nóg i błaga o przebaczenie. Prosi, by zapomniał o tym, co zrobiła, żeby cofnęli czas. Żeby ją pokochał. Tak jak ona wciąż kocha jego. I wtedy Zygmunt kładzie swoją dłoń na złotych włosach dziewczyny, głaszcze je delikatnie i mówi, że to, co zrobiła, jest nieważne, że on ją rozgrzesza. I wówczas Michał się budzi. Wstaje z trumny, jak z zasłanego na biało łóżka. Z twarzy opada mu woal, a pod nim wciąż jaśniejają roześmiane oczy.

Z zamyślenia wyrywa dziewczynę świdrujący wzrok Zygmunta i nie odnajduje w nim tego upragnionego przebaczenia - mężczyzna znowu jest chłodny, zdystansowany. I ta chwila wydaje się Mariannie wiecznością, bolesną jak wyrzut sumienia. Są tu tylko we dwoje, prowadząc rozmowę, do której nie może już dojść. Czasu nie da się odwrócić.

Zygmunt powoli opuszcza głowę, jakby się tym ukłonem żegnał z nią na zawsze, i wychodzi z pokoju. Powinna za nim pobiec... Błagać, by zapomniał. Powiedzieć, że już zapłaciła swoją cenę... Ale nic takiego nie robi.

Po chwili widzi go przez okno. Mężczyzna idzie powoli tą samą drogą wśród pól, którą kiedyś z nim przebyła. Kłosa

zostały ścięte i jego postać długo majaczy wśród rzyska. Lato już niedługo się skończy.

Salon wypełnia płacz kilku osób. A może to ona płacze?

Epilog

W wymarłym domu słyhać głośnie tykanie zegara. Czas po pogrzebie zatrzymuje się w miejscu, o jego upływie świadczy tylko zmieniająca się pogoda, która dzisiaj przynosi drobny deszcz i gęstą, szarą pokrywę chmur. Marianna siedzi w opustoszałej kuchni, wpatrując się w krople spływające po szybie. Bezwładnie głaszcząc ręką okładkę leżącą na stole książki o filozofii prawa.

Od śmierci Michała mija zaledwie tydzień, na jego grobie kwiaty nie zdążyły jeszcze przywiednąć, a mimo to ojciec codziennie donosi nowe, świeże. Zresztą więcej czasu spędza, wpatrując się pustym wzrokiem w tablicę nagrobną - na której obok imienia żony widnieje teraz jeszcze to drugie - niż we własnym domu.

Gabriela powoli wraca do gospodarskich obowiązków, rozumiejąc, że tylko praca może odciągnąć jej myśli od śmierci chłopca. I teraz też - pojechała z Antonim do rzeźnika. Życie toczy się więc dalej, choć inaczej, ciszej, wolniej, bez celu...

Marianna czuje się jak zawieszona w próżni. Opuszczona i zmęczona. Pozostawiona sama sobie, niemal przez wszystkich porzucona. Krystyna wyjechała w góry. A wraz z rodziną Wieruszewskich - która z Dworca Głównego Luxtorpedą ma dotrzeć do Zakopanego - do Warszawy zabrali się goście księdza Piotrowskiego. Wuj dziwił się trochę tej nagłej decyzji Zenona - w końcu mieli wraz z Jasińskim pozostać u niego do końca sierpnia - ale nie nalegał na dalszy pobyt. Młodzi mają przecież swoje sprawy, no i jeszcze te doniesienia o wojnie... Może tak będzie lepiej.

Deszcz się wzmaga, wiatr szarpie liśćmi i wątlými gałązkami krzaków bzu, które posadzono, by zasłoniły widok na zabudowania gospodarskie. Na wydeptanej trawie pod wejściem kuchennym tworzą się coraz większe kałuże. Głuche

uderzenia kropli zagłuszają dźwięk powozu, który zatrzymuje się z boku budynku, więc Marianna zdaje sobie sprawę, że Gabriela wróciła, dopiero wówczas, kiedy ta przekracza próg.

- Jesteś sama? - gospodyni pyta od drzwi, kładąc na blacie kredensu zawinięte w szary papier mięso.

- Sama.

- A gdzie Zośka? - Nie wiem.

Gabrysia zdejmuje z siebie przemoczony szal, ściąga z głowy zupełnie mokry czarny kapelusik. Ze zgrzytem uchyla żeliwne drzwiczki pieca i w wygasłe niemal palenisko wrzuca kilka szczap drewna. Odsuwa pogrzebaczem fajerkę i nastawia czajnik.

- Napijesz się herbaty?

Marianna wygładza dłonią pomięty materiał spódnicy. Czerń jest taka niepraktyczna - widać na niej każdy paproch, sól wytraconą z wyschniętych łez...

- Marianno!

Dopiero teraz reaguje. Podnosi nieprzytomne spojrzenie na gospodynię.

- Tak?

- Pytałam, czy chcesz herbaty.

- Nie, dziękuję.

- A może jesteś głodna? Nie wiem, kiedy będzie kolacja. O której może wrócić twój ojciec...

- Nie, dziękuję, Gabrysiu, nie mam na nic ochoty. Mogę poczekać na tatę.

Gabriela napełnia mały imbryk czarnymi listkami, zalewa wrzątkiem. Z oszklonej witrynki wiszącej nad kuchnią bierze filiżankę i stawia na stole. Siada naprzeciwko dziewczyny. Przygląda jej się uważnie, mieszając powoli cukier.

- Uczysz się? - Zerka na książkę leżącą przed dziewczyną.

- Przeglądam...

- Powinnaś więcej jeść. - Gospodyni ignoruje odpowiedź.
- Ostatnio okropnie schudłaś. Rozchorujesz się, a nam wszystkim wystarczy już zmartwień.

Marianna puszcza mimo uszu te uwagi, wie, że Gabrysia mówi to tylko po to, żeby zagłuszyć panującą wokół ciszę. Przecież przez ostatnie dni w tym domu nikt prawie nic nie je.

- Może powinnaś spróbować się czymś zająć. Przygotować wyprawę na wyjazd do Warszawy... Nie możesz tak beczynnie siedzieć. Dobrze rozumiem, że to, co się stało Michałowi, to dla ciebie straszny cios... Ja przecież też cierpię, ale musimy próbować żyć dalej...

Dziewczyna słucha z uwagą. Widocznie role się odwróciły. Teraz to ona popada w apatię, gdy tymczasem Gabriela powoli odzyskuje siły. Może tylko pozornie?

Dłubie łyżeczką w cukiernicy.

- Nie mogę tak dalej żyć...
- Możesz, możesz... Czas wszystko złagodzi.
- Nie mogę żyć dalej, bo śmierć Michała to moja wina.
- Głupstwa opowiadasz. Nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie. Równie dobrze można by obwiniać Antoniego. Przecież był tam wtedy... Michał nie żyje przez swoją brawurę, przez dziecięcy nierozsądek...

- Nie, Gabrysiu. Jeśli ktoś był nierozsądny, to tylko ja.

Kobieta upija łyk z filiżanki. Patrzy na zapadniętą twarz dziewczyny.

- Nie możesz tak myśleć...
- Michał zapłacił za moje grzechy, za głupotę. Dlatego tylko ja ponoszę odpowiedzialność.
- Nikt nie ponosi odpowiedzialności. Przecież ci tłumaczę...
- Gabrysia nie wie, co ja najlepszego zrobiłam, jak bardzo się myliłam...

- Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

Dwie ciężki krople spadają na haftowaną serwetę przykrywającą zniszczony kuchenny blat stołu. Może nadszedł właściwy moment, by zrzucić z siebie ten ciężar? Marianna unosi oczy pełne łez na gospodynię.

- Gabrysia dobrze wie, co się ostatnio ze mną działo. Zupełnie oszalałam. Straciłam głowę dla niego...

- Dla tego Jasińskiego? - pyta powoli, ze spokojem.

- Tak... I zrobiłabym dla niego wszystko, o co by poprosił. A nawet wtedy, gdyby nie prosił... Rozumie Gabriela? Ja chciałam, żeby mnie zapragnął, tak jak ja jego. Myślałam, że jeśli mu udowodnię, jaka jestem dojrzała, na jak wiele mnie stać, wtedy on mnie pokocha, ale... Wszystko zniszczyłam.

- Czy ty... Czy wy?

- Nie, on mnie nie chciał, więc postanowiłam zrobić mu na złość i wtedy pojawił się Zenek.

- Mój Boże, coś ty zrobiła?

- Nic, nic, teraz to już nieważne... Ale ja wiem, że śmierć Michała to kara dla mnie. Ja myślę, że Zygmunt mógł mnie pokochać, że odpychał mnie, żeby mnie przed sobą ochronić. Uważał, że jestem za młoda... No i mam być jego studentką. Ale wtedy... Ja tego nie rozumiałam. I teraz Michała już nie ma. Zygmunt wyjechał... A ja nie potrafię o nim zapomnieć, przestać myśleć. Nie wiem, jak mam go przestać kochać? Jak to wszystko odwrócić?

Gabriela wstaje z krzesła i podchodzi do Marianny. Przyciąga jej zapłakaną twarz do piersi i długo, mocno tuli.

- To nie twoja wina... Nie twoja... Każdy popełnia błędy. Ja też...

Dziewczyna unosi oczy na wpatrzoną w okno gospodynię. Nie pyta o nic. Czeka, aż tamta sama wyzna jej swój sekret.

- Ja... Ja kiedyś też byłam zakochana, ale... - Nabiera powietrza, robi długą pauzę. - Też zrobiłam coś okropnego.

Widocznie w młodości każdy musi popełnić jakiś błąd... Namiętność wzięłam za miłość i odrzuciłam człowieka, który naprawdę mnie kochał.

- Ten Waldemar...?

- Tak... On zabił się przeze mnie, bo postanowiłam oddać się człowiekowi, który mnie pociągał, który mi imponował... To był błąd, choć wtedy widziałam to inaczej. Owoc takiego związku nie mógł się narodzić.

Marianna patrzy na twarz Gabrieli z niedowierzaniem. Przecież ona nie mogła...

- Zrobiłaś to co Zosia? Kobieta kręci głową.

- Nie, nie zrobiłam. Ale myślałam o tym. Choć do dziś, Bóg mi świadkiem, noszę w sobie ten grzech.

- Więc gdzie jest to dziecko?

- Straciłam je... Straciłam wszystko. A później... Później przyjechałam tu, żeby zapomnieć. Trzeba było żyć dalej. W pewnym sensie udało mi się uciec od tego, co się wtedy stało.

- Kim był ten drugi, ten, dla którego Gabrysia porzuciła Waldemara?

Gabriela zamyka oczy. Gładzi złote włosy dziewczyny. Może nie powinna jej mówić?

- Sądzę, że się domyślasz... - szepcze niemal niedosłyszalnie.

I Marianna już wie. Rozumie, ale nie wypowie głośno jego imienia. Czuje narastający ból. Dwie osoby, które tak kocha, które są w jej życiu najważniejsze... A jedna jest oprawcą tej drugiej. Czy czuje teraz złość na stryja? Czy jest nim rozczarowana? Okazało się przecież, że w niczym się nie różnił od tego parobka, który porzucił brzemienną Zosię.

Być może, gdyby poznała historię Gabrieli wcześniej, byłby to dla niej cios. Ale teraz... Teraz Marianna już nie ma złudzeń. Życie to nie liberalny artykuł w „Wiadomościach Literackich”. W normalnym świecie, jej świecie, równość płci

to mrzonka. Ale gdy się wie, jak wiele przeszła Gabriela i co przydarzyło się Zosi, czy można się godzić na taki porządek rzeczy? Czy Marianna ma prawo się godzić? A może właśnie ona powinna zacząć żyć inaczej? Szczęśliwiej? Może jeszcze nie teraz. Nie teraz... Ale już niedługo. Nie będzie jak one wszystkie. Ofiary?

Gabrysia bierze dłonie dziewczyny w swoje spracowane ręce i długo patrzy jej w oczy. Może myślą o tym samym? Może dla Marianny jest jeszcze nadzieja?

- Dlatego dobrze, że wkrótce wyjedziesz. To najlepsze lekarstwo. Kiedy znajdziesz się daleko stąd, wszystko będzie łatwiej ci znieść. W Warszawie poukładasz sobie życie na nowo. W końcu uda ci się zapomnieć...

- A czy tobie się udało?

- Zapomniałam. Prawie zapomniałam.

Marianna mocniej wtula się w czarne fałdy sukienki gospodyni. Przymyka oczy. Tak, musi stąd uciec, nabrać dystansu, przestać rozpamiętywać. Żyć lepiej niż one... tutaj. Warszawa...

Dwa dni później pan Aleksander, po otrzymaniu depechy od Weroniki, odwozi Mariannę na stację kolejową. Zarówno ciotka, jak i ojciec uznali, że dla dziewczyny będzie najlepiej, jeśli czas pozostały do rozpoczęcia studiów spędzi już w Warszawie. Z dala od domu i przygnębiającej atmosfery, która zapanowała po śmierci Michała.

Czekając na pociąg, stoją obok siebie, ale nie rozmawiają. On się nie odzywa, bo nie chce obarczać córki swoimi lękami i przygnębieniem. Ona - bo nie potrafi opanować entuzjazmu, a wie, że uraziłaby nim ojca. Zaraz i tak każde z nich pójdzie w swoją stronę.

Choć Mariannę od domu dzieli dopiero kilkanaście kilometrów, już teraz czuje ulgę. A za chwilę, gdy wsiądzie do pociągu i lokomotywa ruszy w obłokach pary, raz na zawsze

będzie mogła wymazać to lato z pamięci. Zapomni. Zapomni o Zosi, Leokadii, Gabrysi. O tych wszystkich nieszczęśliwych kobietach. Odnajdzie siebie.